ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 9/612 1998

• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

J. KARSKI: **OŚWIADCZENIE BERLIŃSKIE PRZEMÓWIENIE PREZYDENTA RP**

REDAKCJA: **POLSKA, NIEMCY: CO DALEJ?**

L. UNGER: **WIELKI BRAT: CZERWONY I CZARNY**

M. WNUK: **WIELKIE MIASTO BIAŁYSTOK**

SPIS RZECZY

Jan Karski:	*Oświadczenie*	3
–	*Berlińskie przemówienie Prezydenta RP*	5
Ks. Józef Tischner:	*Ewangelia – nadzieją czy wspomnieniem?*	13
Andrzej Wyczański:	*O kryzysie nauki w Polsce*	26
Leszek Kuźnicki:	*Rola edukacji w kształtowaniu przyszłości Polski*	54
Andrzej Koraszewski:	*Spory o państwo*	59
	OBSERWATORIUM	
Redakcja:	*Polska, Niemcy: co dalej?*	72
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli. Wielki brat: czerwony i czarny*	79
Stefan Abner:	*Z nordyckiej perspektywy*	99
		74
	KRAJ	74
Mieczysław Wnuk:	*Wielkie miasto Białystok*	104
Krzysztof Wolicki:	*O AWS, Balcerowiczu i politycznej poprawności*	113
Andrzej Micewski:	*Osobliwości polskie*	122
Ewa Berberyusz:	*Kartki ze skażonej strefy*	127
	SĄSIEDZI	
–	*List do kardynała Angelo Sodano* .	135
Bohdan Osadczuk:	*Ukraina: kryzys władzy i gospodarki*	138
	KRONIKA KULTURALNA	
Maria Danilewicz Zielińska:	*O Karolinie Lanckorońskiej – w setną rocznicę urodzin – 1998* . .	141
Leo Lipski:	*Jak powstawał „Piotruś"*	143
–	*Wyróżnienia POLCUL Foundation* .	146
	SPRAWY I TROSKI	
Anna Delick:	*Cyberkawiarnie w Polsce*	148
–	*Oświadczenie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*	152

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień/Septembre 1998

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr med. W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 11-ty – DM 100,00 ..... **F. 333,00**

Zdzisław Baran, Hamilton Square, N.J. (USA) – po raz 2-gi – – dol. 35,00 ..... **F. 210,00**

Stefania Bauer, San Francisco, CA (USA) – dla uczczenia pamięci mojej kochanej przyjaciółki kpt. Hanny „Kali" Weynerowskiej, zmarłej 20.06.1998 r. w San Francisco, artystki-malarki, bohaterki AK, wielkiej patriotki – dol. 100,00 ..... **F. 600,00**

Zofia Cruz, Santa Barbara, CA (USA) – zamiast kwiatów na grób Andrzeja Pleszczyńskiego – dol. 50,00 ..... **F. 300,00**

C.P. Czuchwicki, Panorama, SA (Australia) – po raz 25-ty .. **F. 220,00**

Dla uczczenia pamięci Andrzeja Pleszczyńskiego, zmarłego 29.06.1998 w Santa Barbara, CA, nigdy nie zapomnianego Męża, Ojca i Dziadka – żona Irena, córka Helena i syn Władysław z rodzinami – dol. 500,00 ..... **F. 3.000,00**

Dla uczczenia pamięci Hanki Gordziałkowskiej-Weynerowskiej wybitnej malarki, podpisującej się „Kali", zmarłej 20.06.1998 r. w San Francisco, przesyłają z USA Danuta i Henryk Hiżowie – dol. 100,00 ..... **F. 600,00**

Dla uczczenia pamięci dr. Sergiusza Nakłowicza, długoletniego więźnia sowieckich łagrów – żona Jadwiga Nakłowicz – dol. 100,00 ..... **F. 600,00**

Andrzej Ehrenkreutz (Australia) ..... **F. 200,00**

Ryszard Głodkowski, Nancy (Francja) ..... **F. 1.000,00**

Jadwiga i Jerzy Jankowscy, Coquitlam (Kanada) – pamięci zmarłego 3.03.1998 Juliusza Borkowskiego, wiernego i oddanego czytelnika *Kultury* – dol. can. 79,50 ..... **F. 318,00**

Lech Krysiewicz, Montreal (Kanada) – po raz 12-ty – dol. can. 80,00 ..... **F. 320,00**

Grace Loeffler, Milford, Conn. (USA) – w 10-tą rocznicę śmierci Freda Loefflera – Męża i w 3-cią rocznicę śmierci Grażyny Włodkowskiej-Pawlak – Przyjaciółki – dol. 300,00 **F. 1.800,00**

Bolesław T. Łaszewski, Nowy Jork – po raz 28-my – dol. 76,00 **F. 456,00**

W 5-tą rocznicę śmierci Ojca, Edwarda Raczyńskiego, zmarłego 30.07.1993 r. w Londynie, wiernego czytelnika *Kultury* – Viridiana Rey z siostrami Wandą Dembińską i Katarzyną Raczyńską ..... **F. 1.500,00**

Zofia i Kazimierz Romanowiczowie, Jours (Francja) – zamiast kwiatów na grób Zbyszka Herberta ..... **F. 200,00**

Ciąg dalszy WPŁAT na str. 175

Oświadczenie

Narastający konflikt wokół krzyży ustawianych na terenie tzw. żwirowiska stanowiącego integralną część byłego KL Auschwitz nie służy dobrze Polsce.

Jak wiadomo, władze polskie zgodziły się respektować osiągniętą w międzynarodowym dialogu zasadę, iż teren tej przeklętej ziemi pozbawiony będzie konotacji religijnych. Nie będzie na nim znaków i symboli żadnej religii czy wyznania. Żadnej oznacza tyle, co oznacza. Ani krzyży, ani Gwiazd Dawida, ani symboli islamskich, ani buddyjskich.

Z jakichś powodów znaleźli się w Polsce ludzie za nic mający powagę swojej ojczyzny i autorytet Kościoła. Wbrew stanowisku biskupa ordynariusza diecezji, na której terenie znajduje się Oświęcim, znoszą na żwirowisko krzyże. Widzą, że rodzi to ból Żydów, dla których to miejsce pozostaje największym cmentarzem w ich historii. Wiedzą lecz znoszą.

Czyny te nie mają nic wspólnego z wiarą czy religią. Są przejawem nie licującej z katolicyzmem pychy i chęci poniżenia naszych „starszych braci" w wierze w Boga. Napawają dojmującym wstydem.

Napawają wstydem, bowiem używanie religii i jej symboli do celów politycznych jest ś w i ę t o k r a d z t w e m.

Podobnym świętokradztwem jest przywoływanie, dla usprawiedliwienia motywów uprawianej w Oświęcimiu polityki, imienia Ojca Świętego, gdy cytuje się Jego słowa: „Brońcie krzyża". Te bliskie sercu każdego chrześcijanina, a zwłaszcza katolika słowa odnoszą się do nauki płynącej z męczeństwa Zbawiciela, na której wspiera się jak na opoce wierność Kościołowi. Przywoływanie tych słów na wsparcie indywi-

dualnych żądzy poniżenia przedstawicieli innej religii jest zuchwałym bluźnierstwem.

Te nowe krzyże są fałszerstwem Krzyża Chrystusowego. Są fałszerstwem słów, wypowiedzi i intencji Ojca Świętego.

Nigdy nie spodziewałem się, że u schyłku mego życia, którego część poświęciłem bezskutecznej walce o „naszych starszych braci" ginących w czasie Holocaustu, doczekam chwil, gdy moi rodacy podniosą bluźnierczo znak krzyża przeciw tym, poprzez których Bóg się nam objawił.

Waszyngton, 6 sierpnia 1998

Jan KARSKI

Berlińskie przemówienie Prezydenta RP

Panie i Panowie!

Propozycja Przewodniczącego Centralnej Rady Żydów, pana Ignatza Bubisa, by polski prezydent wygłosił laudację na cześć tegorocznego laureata Nagrody imienia doktora Leo Baecka, Prezydenta Republiki Federalnej Niemiec, prof. Romana Herzoga to był pomysł zaiste europejski, a dla mnie osobiście niezwykle zaszczytny.

Możemy przy okazji tej prestiżowej nagrody i europejskich zasług jej tegorocznego laureata, porozmawiać o sprawach niezwykle ważnych dla naszej wspólnej przyszłości, porozmawiać tu – w środku Europy – w mieście, które jeszcze niedawno było symbolem podziału Niemiec, Europy i świata na dwa przeciwstawne bloki, a dziś niemal na naszych oczach staje się wielką metropolią, stolicą Niemiec i jednym z głównych miast naszego kontynentu, w mieście położonym dziś niemal na pograniczu polsko-niemieckim.

Berlin miastem wielu kultur

Berlin był zawsze miastem wielu kultur, budowanym w ciągu minionych ośmiuset lat przez Niemców i Słowian, przez francuskich hugenotów i holenderskich rzemieślników, a dziś przez tureckich, portugalskich, a także polskich robotników, pracujących w Berlinie na „czarno" i na „biało", nielegalnie i legalnie.

Nie można też wyobrazić sobie dziejów Berlina bez berlińskich Żydów, którzy przybywali do tego miasta z zachodu i ze wschodu, przyciągani przez liberalną politykę osadniczą kolejnych władców pruskich, w czasie gdy w innych rejonach Europy szalały wojny i nietolerancja.

Nie można pisać historii tego miasta pomijając wkład berlińskich Żydów do jego kultury, nauki, gospodarki i polityki.

Nie można pisać historii Berlina nie wspominając o tym, że to miasto na przełomie wieków dla tysięcy Żydów ze Wschodu było bramą na Zachód, czego po dziś dzień można znaleźć pamiątki w przydworcowej dzielnicy Scheunenviertel.

Nie można też pisać historii Berlina pomijając fakt, że to tu, w dzielnicy rządowej, w latach 1933-45 siedzieli ludzie, którzy nie tylko wymyślili diabelski plan podboju świata, zniewolenia i zdziesiątkowania narodów słowiańskich oraz wytępienia „rasy żydowskiej", ale że też stąd ten diabelski plan w dużej mierze zrealizowali...

Drodzy państwo, nie chcę – jak to się mówi po niemiecku – „przynosić sów do Aten" czyli po polsku „wwozić drzew do lasu" i opowiadać w Berlinie historii niemieckich Żydów, zwłaszcza w obecności tak świetnych jej znawców. Ponieważ jednak z okazji Nagrody Leo Baecka chcę powiedzieć parę słów o stosunkach żydowsko-niemiecko-polskich, niechaj wolno mi będzie przypomnieć jednego z najciekawszych żydowskich myślicieli epoki Oświecenia, Salomona Majmona, który w wieku XVIII również się znalazł w Berlinie.

Salomon Majmon pochodził ze wschodnich kresów dawnej polsko-litewskiej Rzeczypospolitej. Na przypadkowo znalezionej książce nauczył się niemieckiego i pchany wiedzą wyruszył na studia do Berlina. Nie wpuszczono go jednak do stolicy Prus jako „obdartego Polaka", więc pieszo wrócił do Poznania, skąd po trzech latach ponownie, już jako student, przybył do Berlina, gdzie zaopiekował się nim Moses Mendelssohn, ten sam o którym w roku 1743 celnik berliński zapisał słynne słowa, że tego dnia przez jego bramę „przeszło sześć wołów, siedem świń i jeden Żyd..." („sechs Ochsen, sieben Schweine und ein Jude" sein Tor passierten). Z czasem Majmon stał się filozofem, o którym Immanuel Kant wyrażał

się w samych superlatywach, i którego Goethe zaprosił do Weimaru. Pod koniec życia, gdy rozszarpywana przez Prusy, Rosję i Austrię Rzeczpospolita Obojga Narodów rozpaczliwie, ale nieskutecznie, ratowała się reformami przed zgubą, Majmon w 1790 roku zadedykował swój „Versuch über die Transcendentalphilosophie" polskiemu królowi-reformatorowi, Stanisławowi Augustowi, wzywając naród żydowski, by dzięki oświacie i sprawiedliwości „starał się o pozyskanie coraz to większego poważania u narodu, wśród którego żyje".

Bardzo wielu wybitnych berlińskich i niemieckich Żydów miało – i ma – swe korzenie w Polsce, lub we wschodnich prowincjach Prus, które dziś są częścią Polski.

Rabin Leo Baeck – symbol trwania...

Patron dzisiejszej nagrody, dr Leo Baeck, urodził się w Lesznie, mieście, w którym w XVII wieku znalazł schronienie Amos Comenius, wielki czeski pedagog, następnie studiował we Wrocławiu, a rabinem został w 1897 roku w Opolu. Myślę, że zetknął się tam również z językiem polskim.

Cieszę się, że polscy mieszkańcy dawnych niemieckich miast na Dolnym Śląsku czy Pomorzu powoli zaczynają odkrywać te korzenie i przyznawać się do swoich poprzedników. Tak jest we Wrocławiu, gdzie przed aulą uniwersytetu znowu wiszą portrety wrocławskich noblistów z czasów niemieckich, jak na przykład Theodora Mommsena czy Maxa Borna, i gdzie pieczołowicie odnawiany jest stary cmentarz żydowski, między innymi z grobem Lassalle'a. Tak jest w Barlinku, gdzie powstaje muzeum Emanuela Laskera, szachowego mistrza świata. Tak może, czy powinno, też stać się w Jarocinie, skąd pochodził liberalny polityk XIX w. Eduard Lasker i w wielu innych polskich dziś miastach i miasteczkach, w których niezafałszowana lokalna historia – polska, niemiecka, żydowska – powinna się odzywać pełniejszym głosem.

Jest to historia wspaniała i tragiczna zarazem, pełna wzajemnych fascynacji i animozji, przenikania i odpychania, w której po stronie niemieckiej antysemityzm stykał się z antyslawizmem, po stronie polskiej natomiast z wrogością do wszystkiego, co niemieckie. A jednak przez całe wieki w Euro-

pie Środkowo-Wschodniej ta niemiecko-żydowska symbioza była faktem. Zniszczyło ją dopiero nazistowskie szaleństwo.

Ofiarą całopalenia padły miliony Żydów tak polskich, jak niemieckich.

Ofiarą eksterminacji padły miliony Polaków.

Ofiarą działań wojennych, oraz wojennej i powojennej zawieruchy padły miliony winnych i niewinnych Niemców.

Wymieniam te ofiary jednym tchem, choć wiem, że tego robić nie wolno.

Czymś innym – mówi się – jest ofiara planowego, przemysłowego ludobójstwa na całym narodzie, czymś innym ofiary bestialskiej polityki wyniszczenia całej warstwy przywódczej jakiegoś narodu, a pozostałych upodlenie i zamienienie w niewolników, i wreszcie czymś innym są ofiary zemsty ofiar. Tak mniej więcej toczy się dyskusja tu w Berlinie w związku z planowanym mauzoleum ofiar Holocaustu. Nie chcę się do tego sporu włączać.

Chcę natomiast – podejmując myśl Milana Kundery i György Konrada z lat osiemdziesiątych – powiedzieć, że zniszczenie tej naszej symbiozy niemiecko-żydowsko-polskiej, podobnie jak i niemiecko-żydowsko-czeskiej czy niemiecko-żydowsko-węgierskiej sparaliżowało całą tą naszą Europę Środkową, która została pozbawiona kulturowej wymiany, mentalnego przenikania i cywilizacyjnej osmozy. Ta nasza część Europy zawsze była mieszanką kultur, religii, języków, i temperamentów, a Żydzi, Niemcy, i Polacy bardzo często należeli tu do ludzi pogranicza, mieszkających w różnych państwach i zadomowionych w różnych kulturach.

Stąd – przy wszystkich różnicach – tak łatwo możemy znajdować analogie postaw i porównywać poszczególne losy. Na przykład postawę doktora Leo Baecka, przewodniczącego berlińskiej gminy żydowskiej w czasie III Rzeszy, więźnia Theresienstadtu, choćby z postawą Adama Czerniakowa, Senatora Rzeczypospolitej, przewodniczącego warszawskiej gminy żydowskiej – od września 1939 do samobójczej śmierci na początku likwidacji Getta Warszawskiego w 1942 roku – w jego gabinecie. W Judenracie do końca wisiał portret Marszałka Piłsudskiego.

Jeśli mówimy dziś, że nasza część Europy po czterdziestoletniej izolacji – którą wielu porównywało do biblijnej

wędrówki Żydów przez pustynię – wraca dziś do normalności, to musimy zdać sobie sprawę z tego, że sprawdzianem tej normalności jest również odradzanie się gmin żydowskich w Europie Środkowej, również w Polsce, która przed wiekami była nazwana „rajem Żydów", a w której w wyniku hitlerowskiego ludobójstwa znajdują się największe cmentarzyska milionów Żydów z całej Europy, w tym trzech milionów Żydów polskich.

Dziś, nasza normalność to również poczucie wstydu za haniebną kampanię antysemicką w roku 1968, której skutki staramy się wyrównać, przywracając, zmuszonym wówczas do emigracji polskim Żydom, polskie obywatelstwo.

Odradzanie się gmin żydowskich, jak i mniejszości niemieckiej w Polsce, oraz – miejmy nadzieję – polskiej grupy kulturowo-etnicznej mieszkającej w Niemczech, to dowód europeizacji naszych społeczeństw, otwierania się narodów mniej lub bardziej zamkniętych w czasach „zimnej wojny", wzajemnego przenikania i ruchliwości społecznej.

Nie chciałbym tu podejmować dyskusji na temat społeczeństw wielokulturowych, ani na temat zagrożeń ze strony nowych egoizmów skrywanych za hasłami „priorytetu polityki wewnętrznej nad zagraniczną", nowego określania interesów narodowych, ograniczania obcokrajowcom dostępu do rynku pracy przy równoczesnym domaganiu się ułatwień dla zbytu własnych towarów zagranicą itd. To wszystko są tematy, które będą nas zajmować w niedalekiej przyszłości.

Panie i Panowie, drodzy przyjaciele

Jeśli zapuściłem się przedtem w historię, to dlatego, że wymagała tego pamięć berlińskiego rabina, Leo Baecka, podobnie jak jego czeskiego krajana z XVII-wiecznego Leszna, Amosa Comeniusa, wielkiego humanisty. Mówiłem o akceptacji „cudzej" historii w Polsce, i wspomniałem o akceptowaniu „cudzej" historii tu w Berlinie, ale przecież ani u nas w Polsce, ani tu w Berlinie nie jest ona tak zupełnie „cudza". Nic bowiem w Europie nie jest ani wyłącznie „swojskie" ani wyłącznie „cudze". W końcu wszyscy jesteśmy spadkobiercami całej historii europejskiej.

Jeśli mówię o tym wszystkim bez lęku, bez odważania słów, czy aby nie popełnię *faux pas* porównując nieporównywalne i przerzucając mosty tam, gdzie niejeden strażnik narodowych wyłączności woli się okopać w wyobrażeniu wyjątkowości swego własnego narodu, to dlatego, że starsi i bardziej doświadczeni ode mnie ludzie w ciągu ostatnich lat mieli odwagę i charakter, by wypowiedzieć właściwe słowa, we właściwym czasie, na właściwym miejscu.

Mam tu na myśli wszystkich tych, którzy po tej straszliwej wojnie mieli odwagę, mimo ruin, cmentarzysk, potwornych urazów wrogości i nienawiści, wyciągnąć rękę do sąsiada i poprosić go o przebaczenie, mieli odwagę, a zarazem potrafili w sposób wiarygodny, ujmujący i szczery naszkicować wizję przyszłości wartą zabiegów i starań.

Roman Herzog – odwaga mądrego słowa...

Do grona tych osób należy nasz dzisiejszy Laureat. Można powiedzieć, że Roman Herzog nie miał łatwego startu jako prezydent. W roku 1994 zwrotnice polityki niemieckiej i europejskiej po roku 1989 były już nastawione. Jego poprzednik na tym urzędzie, wiele razy z ogromnym wyczuciem i przenikliwością nadawał sensy niemieckim sporom z przyszłością i teraźniejszością.

A jednak to Roman Herzog już w czasie swej pierwszej wizyty zagranicznej jako głowa państwa niemieckiego – było to w Warszawie z okazji 50-tej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego – znalazł proste, jednoznaczne słowa, na które od niemal trzydziestu lat czekały miliony Polaków. Przez trzydzieści lat słowa polskich biskupów – „przebaczamy i prosimy o przebaczenie" skierowane do biskupów niemieckich – były zawieszone w powietrzu.

Pan, drogi przyjacielu, odpowiedział na nie na placu Krasińskich w Warszawie, zwracając się do Polaków, ofiar wojny i prosząc ich o przebaczenie za to, co „im wszystkim zostało wyrządzone przez Niemców", a nie jak to zwykle mawiano „w niemieckim imieniu". Od tego momentu rzeczywiście pękły w Polsce ostatnie lody.

Przeszłość istnieje oczywiście w świadomości wielu ludzi,

ale już nas nie zatruwa, a Pan pozyskał w wielu z nas szczerych przyjaciół, którzy w tych następnych latach Pańskiej prezydentury dokładnie wsłuchiwali się w Pańskie słowa, a kiedy trzeba było – jak na przykład w styczniu 1995 roku w czasie smutnego i niepotrzebnego polsko-żydowskiego sporu o to czyj jest Oświęcim – również w Pańskie taktowne milczenie.

Centralna Rada Żydów w Niemczech przyznaje nagrodę im. Leo Baecka tym ludziom, którzy w szczególny sposób zasłużyli się dla wspólnoty żydowskiej w Niemczech. Pańskie zasługi w tej mierze wykraczają poza Niemcy. Przypadło bowiem Panu kontynuowanie historycznego dzieła pojednania niemiecko-izraelskiego, które rozpoczęli w minionych dziesięcioleciach Pańscy poprzednicy na urzędzie. Godne uwagi były słowa, jakie wypowiedział Pan w czasie swej pierwszej wizyty w Izraelu: „nam Niemcom przypada zadanie podtrzymywania pamięci o najbardziej ponurym okresie naszej historii i uprzytamnianie następnym generacjom, do czego byli zdolni Niemcy, do czego mogą być zdolni ludzie. Nie mówię tego, by wspierać tezę o winie zbiorowej. Nie wierzę w nią. Wiekszość moich krajan urodziła się już po upadku III Rzeszy albo w ostatnich latach hitlerowskiej dyktatury miała na nogach dziecięce kapcie. Ta generacja jest wolna od indywidualnej winy, ale nie jest wolna od obowiązku wyciągnięcia nauk z historii."

Jak jednak w naszych dość lekkomyślnych, szybkich i powierzchownych czasach przeciwdziałać zanikowi pamięci historycznej? Jak walczyć z rakiem amnezji, który toczy narody Europy, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o pamięć ofiar „cudzych", nawet jeśli – jak Żydzi – byli lub są oni naszymi wewnętrznymi sąsiadami od stuleci?

Jako człowiek praktyczny i rzeczowy wybrał Pan nie tylko słowa – mądre i właściwe – ale również wsparł autorytetem swego urzędu konkretne przedsięwzięcie. Przejął Pan patronat nad budową w Warszawie muzeum polskich Żydów, instytucji koniecznej dla naszej polskiej, ale i europejskiej pamięci. To muzeum pozwoli choć w części odtworzyć nieistniejący już materialny świat polskich Żydów i uprzytomnić Polakom, zwłaszcza tym, którzy żyjąc w dzisiejszej Polsce wschodniej mieszkają – jak to się u nas określa nieprzetłu-

maczalnym na język niemiecki słowem – w „pożydowskich domach", jak bogatego kulturowo świata są spadkobiercami. Dziećmi tamtego zdruzgotanego przez hitlerowską barbarię świata były tak wspaniałe postaci jak Janusz Korczak, Isaac Bashevis Singer, Ludwik Zamenhof i miliony bezimiennych chasydzkich „wschodnich Żydów", którzy niekiedy z takim zniecierpliwieniem byli odbierani przez oświeconych i nowoczesnych Żydów berlińskich. A jednak to oni, ci lekceważeni „chałaciarze" ze wschodu stworzyli zamordowaną przez hitlerowców i ich kolaborantów wspaniałą kulturę w języku jidish.

Podsumowanie

Składam Panu, panie Prezydencie Federalny, serdeczne słowa podziękowania za tę Pańską inicjatywę. Dziękuję także Panu Przewodniczącemu Ignatzowi Bubisowi, i wierzę, że w przyszłości jego osobiste zaangażowanie pomoże zatrzeć nie tylko wiele z polsko-żydowskich, ale i z żydowsko-żydowskich sporów.

Panie i Panowie, nie sposób mówić o przyszłości Europy, o zbliżeniu między naszymi narodami, o projekcie Europy otwartej głoszonym przez dzisiejszego laureata w wielu przemówieniach, o „rozszerzaniu wyspy dobrobytu – jak to Pan powiedział – na wschód", i o roli Polski w tym procesie, tak jak to sobie my wyobrażamy, bez odnoszenia jej do przeszłości naszego kontynentu.

A dzisiejsza uroczystość ma charakter specjalny, ze względu na jej patrona, jej laureata i – jak sądzę – również ze względu na Wasz, Panie i Panowie, wybór autora tej laudacji. Żydowsko-niemiecko-polski trójkąt, pełen tak obolałych urazów, tak nierównoboczny można by powiedzieć, wymaga bardzo delikatnego dialogu, na temat przyszłości ale i na temat przeszłości. Składając serdeczne gratulacje dzisiejszemu laureatowi dziękuję Panom za zaproszenie mnie na tę dzisiejszą uroczystość i za uwagę Państwa.

Ewangelia – nadzieją czy wspomnieniem?

Właśnie byłem świadkiem szczególnego sporu, w którym jak w soczewce odbija się codzienne życie Kościoła. W parafii Niwa koło Nowego Targu zbudowano kościółek ku czci św. Brata Alberta. Kościółek jest wyjątkowo udany, pięknie wtopiony w krajobraz. Wyłonił się problem obrazu do głównego ołtarza. Są dwie koncepcje: duszpasterza i artysty. Duszpasterz widzi Brata Alberta z chlebem w rękach, wokół niego biedacy, umieszczeni tak, aby chleb był nieco ponad ich głowami. Malarz, Marian Gromada, góral z pobliskiego Ostrowska, proponuje inną scenę: Brat Albert pochylony całuje stopy ubogiemu a z górnej połowy postaci ubogiego wyłania się Chrystus. Artysta uważa, że propozycja duszpasterza ukazuje „tryumfalizm Kościoła", natomiast jego wizja jest bliższa Ewangelii, w której napisano: „Cokolwiek uczyniliście tym maluczkim, mnieście uczynili".

Nie wiem, jak zakończy się spór*. Obydwie strony są świadome odpowiedzialności. Wiedzą, że obraz powieszony w ołtarzu stanie się czymś więcej niż tylko „przedmiotem do oglądania". Ludzie będą klękali, przyswajali sobie jego znaczenie, modlili się. Dla jednych obraz będzie pociechą, dla innych wyrzutem sumienia, dla wszystkich wyzwaniem do wewnętrznej przemiany.

W toczącym się sporze można wypatrzyć napięcie między

* Po wysłaniu mego artykułu otrzymałem wiadomość, że spór o obraz do głównego ołtarza w kościółku na Niwie koło Nowego Targu został rozstrzygnięty po myśli artysty-malarza (J.T.).

dwoma punktami widzenia: Urzędu i wiary. Duszpasterz wie: hierarchia należy do natury religii i Kościoła. Kościół jest Urzędem o określonej strukturze. Stąd bierze się „wizja dobra", które zstępuje z góry i trafia w wygłodzonych ludzi. Artysta ma inną wizję: istnieje hierarchia dóbr, ale wiara na tym polega, żeby hierarchię odkrywać poprzez ubogich; artysta chce pokazać „duszę instytucji". Jak można zakończyć spór? Czy można sobie wyobrazić Urząd bez wiary i wiarę bez Urzędu? Można. Wyobraźnia wszystko przyjmie. Ale czy życie przyjmie? A może należałoby zapytać inaczej: czy spór ten jest znakiem życia, czy znakiem obumierania wiary i instytucji? Paul Ricoeur wykazuje znakomicie, że rdzeniem języka religijnego jest język symbolu i przenośni, w którym słowa i obrazy ulegają wewnętrznemu rozdarciu i „znaczą więcej niż znaczą". Ale język ukazuje w tym przypadku tylko to, co stanowi rzecz samą. Spór i konflikt jest rdzeniem życia religijnego. Aby wydobyć na jaw głębię tajemnicy wiary, potrzeba będzie jeszcze niejednego obrazu, niejednego słowa i niejednego sporu.

Jesteśmy zatem skazani na napięcia i konflikty. Rozróżniamy jednak: są konflikty zabójcze i konflikty, które dodają sił. Z jakimi konfliktami ma dziś do czynienia Kościół? Od czasu do czasu dochodzą do nas głosy obwieszczające „śmierć Kościoła". Byłoby dziwne, gdyby takich głosów nie było. Nasze czasy kochają ogłaszać śmierć. Fryderyk Nietzsche ogłosił „śmierć Boga", Michel Foucault „śmierć człowieka", Francis Fukuyama „śmierć historii", dlaczego nie można ogłosić „śmierci Kościoła"? Radziłbym jednak zachować dużą ostrożność w ogłaszaniu cudzej śmierci. Sam słyszałem wiadomości o mojej własnej śmierci. Byłoby lepiej, gdyby uczeni mężowie zechcieli ćwiczyć się w proklamacji narodzin. O ile wiem, od czasu, gdy Trzej Królowie ogłosili narodziny Zbawcy, nikt tego nie robi. Kto wie, czy ryzyko nie byłoby mniejsze?

Zanim jednak dotknę właściwego tematu, chcę złożyć pewne wyznanie. To, co powiem, nie ma racjonalnego usprawiedliwienia. Nie sądzę jednak, że jest głupie. Jakieś argumenty czy motywy można by w końcu podać. W ostatecznym rozrachunku jednak dowodem pozostaje wolna i nieprzymuszona decyzja, która z zewnątrz wygląda jak „zakład Pascala".

Wyznanie

Mam takie przekonanie, że rzetelne dzieje chrześcijaństwa – Ewangelii – mamy nie za sobą, lecz przed sobą. Dotychczasowe dzieje były trudnym poszukiwaniem tożsamości Kościoła w sporze z innymi – z judaizmem, z pogaństwem, z odszczepieńcami itd. Dziś stajemy przed okresem, w którym poszukiwanie i potwierdzanie tożsamości będzie się dokonywać poprzez odkrywanie podobieństw. Kiedyś Cyprian Norwid napisał, że narody łączą się nie tylko przez to, co je do siebie upodabnia, ale również przez to, co je od siebie różni. To samo dotyczy chrześcijaństwa i Kościoła. Dotychczas potwierdzaliśmy różnice, z których wylęgały się przeciwieństwa i krwawe sprzeczności. Nadszedł czas odwrotu. Zabitych już nie wskrzesimy, ale pokochawszy różnice, może dojrzejemy do nieco mądrzejszej miłości.

Z tego, co powiedziałem, wynika, że w zanadrzu skrywam jeszcze dwa założenia.

Po pierwsze: nie widzę wiary jako stanu raz na zawsze zamrożonego, lecz widzę ją jak rzekę miotaną konfliktami i napięciami, która raz się burzy, raz płynie spokojnie; czasem woda w rzece natrafia na zakole i robi sobie tam przystań, wtedy wydaje się, że wiara obumarła wystarczy jednak niewielki wstrząs i wszystko się zmienia. Ktokolwiek mi mówi, że jego wiara jest skończona i skończona jest jego niewiara, podejrzewam, że nie mówi o wierze, lecz o złudzeniu wiary.

Po drugie: staram się oceniać Kościół przez pryzmat Ewangelii. Ewangelia jest siłą Kościoła, odejście od Ewangelii jest słabością Kościoła. Wiem, że taka ocena nie przychodzi łatwo. Stwarza wrażenie, jakbym dokładnie wiedział, czym jest Ewangelia i na czym polegają odstępstwa od Ewangelii. Tego także dokładnie i do końca nie wiem. Gdy zachodzi taka potrzeba, szukam i pytam. Mam również pewne wejrzenie w „dzieje dusz". Widzę mnóstwo postaci będących w sporze z Kościołem. Często jest to bardzo bolesny spór. Większość z nich stara się o pozostanie w Kościele, zachowanie jakichś związków. Gdy zapytamy, co ich trzyma przy Kościele, odpowiadają jak Piotr: „Panie, do kogóż pójdziemy, słowa żywota Ty masz".

Po tym wyznaniu proponuję rozważyć: jak nazwać „podstawową więź", która łączy wiernego z Kościołem jako świadkiem Ewangelii? Dopiero potem możemy porozmawiać o zagrożeniach. Jakie siły mogą tę więź przeciąć?

Więź podstawowa

Przed wieloma laty prowadziłem w kościele Msze św. dla przedszkolaków. Kazanie polegało na rozmowie z maluchami. Schodziłem ze stopni ołtarza, stawiałem pytania i podsuwałem małym uczestnikom pod nos mikrofon, aby ich poglądy na świat stały się powszechnie znane. Dowiadywaliśmy się wielu niezwykłych rzeczy, między innymi tej, że patronem święta pracy (1 maja) jest „święty Gierek". Edukacja socjalistyczno-katolicka pozostawiała w dziecięcych głowach cuda godne większego podziwu, niż sklonowana owca. Pewnej niedzieli opowiadam o stworzeniu świata. Pan Bóg potworzył już te wszystkie płazy, gady i orangutany i trzeba teraz przejść do człowieka. Pytam więc: „A kto ze wszystkich stworzeń najbardziej się Panu Bogu udał?" I wtedy do mikrofonu podchodzi dziewczynka około pięciu lat i odpowiada: „Chyba ja".

Kościół ogarnęła wesołość. Ale gdybyśmy przycisnęli do muru każdego z obecnych i wydobyli z niego szczere wyznanie, usłyszelibyśmy prawdopodobnie to samo. Człowiek niesie przez życie swoje „aksjologiczne Ja" – siebie rozumianego jako wartość. Jest tym, czym jest ta „wartość". Pomimo wad i ograniczeń wydaje mu się, że jest wartością niezastąpioną, cenną i godną absolutnego uznania. Człowiek jest w swym aksjologicznym Ja absolutem dla samego siebie. Jest to jednak przedziwny absolut, ponieważ nie wystarcza samemu sobie. Z głębi swego serca domaga się absolutnego uznania od strony „innego".

Przypomnijmy w tym miejscu Hegla. Hegel poświęcił całą „Fenomenologię ducha" dziejom walk „o uznanie". W najkrwawszych wojnach nie chodziło o chleb, nie chodziło o legowisko ani jakąś tam „przestrzeń życiową", ale o „uznanie". Niewolnik chciał „uznania" pana, pan szukał „uznania" w oczach niewolnika a wszystko inne było już tylko dodatkiem. Fundamentem demokracji jest wzajemne uznanie obywateli;

gdy ludziom przestanie zależeć na tym „uznaniu" a zapragną „uznania" ze strony królującej jednostki, demokracja zniknie.

Cofnijmy się w czasie i przypomnijmy ogłoszenie Dekalogu. Jak zaczynają się słynne „przykazania"? Zaczynają się przypomnieniem o wybraniu. Przemawia Bóg, który wybrał i wyprowadził z domu niewoli. Jako wybrańcy Boga „nie będziecie zabijać", „nie będziecie kraść", „nie będziecie kłamać". Nie patrzcie na innych, inni nie są wybrańcami Boga. Przez pięć lat w seminarium duchownym, oglądałem napis umieszczony w kaplicy wokół ołtarza: „Nie wyście mnie wybrali, ale ja was wybrałem, abyście szli i owoc przynosili i owoc wasz trwał". Na zewnątrz srożył się stalinizm a w nas trwała świadomość „wybrania". Ono było trzonem naszej aksjologii. Czy było to nasze szaleństwo, czy nasza prawda?

To, co Hegel nazwał „uznaniem", w religii nazywa się „wybraniem". Bóg „uznaje" – „wybierając". Wybrał Abrahama, wybrał Mojżesza, wybrał Marię z Nazaretu. W doświadczeniu wybrania dane jest nam pierwsze doświadczenie wolności. Także ci, którzy nas kochają, w jakimś sensie wybierają. I my kochając – wybieramy. Uczymy się być istotami wolnymi, czerpiąc przykład z wolności, którą napotykamy u innych i która nas wybiera. Wybieramy wedle tego, jak nas wybrano. Dzięki tym wyborom nasze aksjologiczne Ja staje się aksjologicznym My. Wolność chrześcijanina wzoruje się na wolności Boga. Stąd bierze się „więź", czyli „religio": człowiek wybiera wierność Temu, kto pierwszy go wybrał. „Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę".

Dopiero mając na oku więź wzajemnego wybrania, możemy zapytać o zagrożenia. Oczywiście, zagrożenia są – zewnętrzne i wewnętrzne. Najpierw rozważmy zagrożenia wewnętrzne. Czy jest w samym człowieku jakaś siła, która byłaby w stanie zagrozić tej więzi? Potem zapytajmy o zagrożenia zewnętrzne. Czy są takie siły w otaczającym nas świecie, na przykład w naszej współczesnej kulturze?

Zagrożenie wewnętrzne

Św. Paweł napisał: „Któż nas odłączy od miłości Chrystusa? Czy prześladowania, czy śmierć.. ?" Nie ma takiej

siły, albowiem „miłującym wszystko pomaga do zbawienia". Słowa te kryją dramat. Z pewnością są wyrazem dumy człowieka z własnego człowieczeństwa, które jest wyższe niż demoniczne moce doczesności. Są jednak również przejawem tragizmu: czy miłość nie bywa złudzeniem miłości i czy nie potrafi sprowadzić człowieka na bezdroża? Czy nie lepiej byłoby niejednemu, gdyby uciekł od pewnych „miłości"?

Wierze w wybranie towarzyszy niepokój: Czy wszyscy są wybrani? Czy jest możliwe, by Bóg jednych wybrał a innych porzucił? To był wielki problem Hioba. Hiob, podobnie jak przed nim Abraham, „wbrew nadziei uwierzył nadziei". Czy dobrze, że uwierzył? Może gdyby nie uwierzył, że to Bóg zesłał na niego chorobę, poszedłby – jak zauważył kiedyś Leszek Kołakowski – do dermatologa a nie czekał na boskie zmiłowanie. W naszych czasach miliony ludzi znajdują się w sytuacji podobnej do Hioba. Ryszard Kapuściński w cyklu reportaży pt.: „Heban", publikowanych w niedzielnych wydaniach *Gazety Wyborczej*, opisuje los głodującej i krwawiącej Afryki. Przed naszymi oczami snują się sceny z piekła rodem. Kto ma jeszcze odwagę mówić o „wybraniu" i „uznaniu"? Podobne obrazy przychodzą ku nam z naszej własnej przeszłości: Oświęcim, Kołyma. Warłam Szałamow opisuje wrażenie, jakie zrobił na nim tomik poezji, który wpadł mu do rąk, gdy siedział na Kołymie. Nie o to chodzi, że był to głos z innego świata, ale o to, że był to głos absurdu. W świecie, w którym zbrodnia była czymś normalnym, poezja stała się czymś absurdalnym. Czy podobnym absurdem nie jest ewangeliczna mowa o „wybraniu"?

Fryderyk Nietzsche powiedział: „Człowiek staje się ateistą, gdy poczuje się lepszy od swego Boga". Soren Kierkegaard w rozważaniach nad dylematami Abrahama dodaje: po przygodach z wierzącym ojcem „Izaak stał się ateistą". Pamiętamy, jakie owoce zrodził widok cierpienia dzieci w duszy Dostojewskiego.

Może jednak są siły, które odrywają człowieka od wiary w miłość Chrystusową? Nie muszą to być siły demoniczne. Człowiek woli odebrać Bogu istnienie, niż oskarżyć Go o zło tego świata. Trzeba mieć szacunek wobec tej tragicznej a jednak wielkiej aksjologii.

Jest jeszcze inne niebezpieczeństwo, zagrażające wierze

w „wybranie", na które zwraca uwagę psychoanaliza. Można rozbudzić w człowieku instynkt masochistyczny i wtrącić go w stan swoistego „rozkochania" w cierpieniu. Można uczynić cierpienie częścią aksjologicznego Ja – częścią siebie. Kim wtedy jestem? Jestem raną, jestem wielkim bólem, jestem niezagojoną blizną. Wiszę na krzyżu i mój krzyż jest moją chlubą. Można tak pokochać krzyż, że się zrezygnuje z zejścia z krzyża w dniu zmartwychwstania. Zejście z krzyża oznaczałoby bowiem odebranie człowiekowi męczeńskich „odznaczeń". Instynkt masochistyczny pozostaje jednak w ścisłym związku z sadyzmem. Wtedy ten, kto cierpi, nie znosi widoku szczęśliwych. Inni też powinni cierpieć. A jeśli chwilowo nie mają powodu do cierpień, powinni cierpieć dlatego, że męczennik cierpi a oni nie. Ukrzyżowana „wiara" nie jest w stanie znieść obok siebie widoku krzyży, na których nie ma żadnego łotra. Bóg jeden wie, ile w dzisiejszych polskich głosach o nieprzebaczanie komunistom jest wołania o zaludnienie Golgoty.

To także jest niebezpieczeństwo. Widział je Luter, gdy podkreślał, że to wiara zbawia a nie uczynki. Chodziło, oczywiście, o te „uczynki", z którymi związany jest „krzyż". Zachodzi jednak istotna różnica między sytuacją, w której człowiek odchodzi od „miłości Chrystusowej", bo czuje się „lepszy od swego Boga" i sytuacją, „w której wydaje mu się, że w swym cierpieniu, jest lepszy od swych braci".

Nie mogę i nie chcę oceniać ludzkich rozstań z wiarą. Chcę powtórzyć: wiara nie jest spokojnie płynącym strumieniem, lecz wielkim wewnętrznym sporem człowieka o siebie, o swą miłość, o swego bliźniego i swego Boga. Niekiedy w spór ten wtrąca się duszpasterz. Mądry duszpasterz może zrobić wiele dobrego, głupi sieje niebywałe spustoszenia. Czy jednak jakiś duszpasterz jest zdolny do tego, by podtrzymać w cierpiącym człowieku wiarę w absolutne wybranie? Nie, nie jest zdolny. Urząd natrafia tu na nieprzekraczalną granicę. Wiara jest łaską i Urząd o tym wie. Cokolwiek by się krytycznie o Urzędzie powiedziało, przekonanie, że ostatecznie „wiara jest łaską", stanowi zdecydowane samoograniczenie roszczeń do totalnej władzy nad człowiekiem.

Zagrożenia zewnętrzne

Właśnie ukazało się nowe wydanie książki Leszka Kołakowskiego pt.: „Świadomość religijna i więź społeczna". Jest to wielce pouczająca praca. Dotyczy sytuacji religijnej w Niderlandach po zwycięstwie Reformacji. Pokazuje wewnętrzne napięcia Kościołów zreformowanych: z jednej strony mówi o ucieczce od Urzędu, który przypominałby Kościół katolicki, z drugiej o budowaniu nowych Urzędów, których inkwizytorskie zapędy okazują się jeśli nie większe to co najmniej równe katolickim. Gdzieś między jednym a drugim plącze się wiara mistyków, niezależna i indywidualna, otoczona podejrzeniami wszystkich. Przed laty mówiło się, że książka jest metaforycznym przedstawieniem rozkładu komunizmu. Dziś książka może być potraktowana jako historyczne wprowadzenie do zrozumienia sytuacji w polskiej religijności.

Reformacja dokonała niezwykłego kroku: zakwestionowała Urząd jako instytucję pośredniczącą w absolutnym wyborze. Bóg nie ogranicza swego miłosierdzia miłosierdziem „funkcjonariuszy". Bóg sam wybiera, sam się objawia, sam zbawia. Człowiek, który bierze do rąk Biblię, otrzymuje bezpośrednio światło Ducha Świętego, potrzebne do jej rozumienia i stosowania. Dzięki wynalazkowi druku i zerwania z monopolem łaciny Biblia mogła znaleźć się w rękach każdego jako tako wykształconego człowieka. Oczywiście, otwarło to pole dla swawoli interpretacyjnej. Czy jednak swawola ta była większa niż przedtem, gdy interpretacje musiały służyć bezpośredniemu lub pośredniemu uznaniu władzy Urzędu? Poza tym swawola miała jednak granice. Jedne z nich pochodziły z metod naukowych, które stały się nieodzownym elementem badań nad Słowem, inne z obecności wspólnoty. Interpretacje Biblii dokonywały się mimo wszystko w ramach pewnej wspólnoty. Horyzont duchowy wspólnoty był nadal horyzontem rozumienia Słowa. I choć nie była to już wspólnota „rzymska", to jednak była wspólnota.

Można przy tej okazji zapytać, jaką rolę w zwycięstwie Reformacji odegrał techniczny wynalazek druku i w związku z tym, jakie znaczenie może mieć dla przyszłości wiary nowa, multimedialna cywilizacja. Najbardziej prawdopodobna

odpowiedź jest taka: rola ta nie jest jednoznaczna. Jeśli ktoś chciałby dziś budować jakikolwiek Urząd w oparciu o monopol informacyjny, ten wcześniej czy później przegra. Monopol jest nie do utrzymania. Co jednak nie znaczy, by w naszej cywilizacji nie powstawały zamknięte kręgi informacji, które traktują informację jak pokarm: przyswajają tylko tę, która im smakuje. Ktoś czyta tylko gazety sportowe, ktoś inny tylko *Gazetę Wyborczą*, ktoś inny z całego serwisu kilkudziesięciu telewizji wybiera tylko muzykę. Dobrym przykładem jest „Radio Maryja". Tysiące ludzi żywi przekonanie, że tylko tu „mówią prawdę". Mimo postępów demokratyzacji życia społecznego, rośnie rozpiętość między „systemami względnie izolowanymi". Rozpiętość ta przenika również do Kościoła. Jedni, aby ocalić wiarę, radzą zamknąć oczy i zatkać uszy, inni – na przykład abp Józef Życiński – komputeryzują diecezję.

Nowoczesna technika jest formą, która domaga się treści. Im większa formalizacja, tym bardziej kategoryczne wołanie o treść. Wołanie to jest szansą dla wiary.

Zapytałem wyżej: czy możliwa jest wiara poza Urzędem? W zasadzie tak. Można „poczuć się wybranym" do życia pustelniczego, uciec od świata na pustynię, zamknąć się w jaskini, wyjść na słup i czekać na kruka, który ukradnie kawałek chleba grzesznikowi a przyniesie świętemu. Dziś nie ma już tak skrajnych wyborów, ale bo też trudniej o pustynię, której by nie wytropili ekolodzy. Są jednak podobne wybory na krótszy dystans. Wtedy ucieka się od niedzielnej Mszy św. w lasy i góry, nad morza i jeziora, by tam „poczuć się bliżej Boga". Nie ma tam co prawda Eucharystii, ale nie ma też ludzi: piskliwych dewotek, świeżo nawróconych komuchów, kandydatów na posłów z ramienia ugrupowań chrześcijańskich, którzy „muszą się pokazać", rodzin z wiecznie płaczącymi dziećmi, durnego kazania i pełnego namaszczenia zbierania składki. Dzisiejsza polska wspólnota może być czasem trudna do strawienia. Stojąc kiedyś za ołtarzem w jednym z kościołów krakowskich i mówiąc: „podajcie sobie znak pokoju", odkryłem w sobie brzydkie zadowolenie: „Jak to dobrze, że nie muszę przekazywać znaku pokoju tym wszystkim komuchom i kandydatom na posłów z Bożej łaski, lecz wystarczy, że uściskam dłonie ot tak symbolicznie samym

ministrantom". Wyznaję to ze skruchą, ale czy to moja wina, że nie ma we mnie ani cienia skłonności masochistycznych?

Odejście od wspólnoty religijnej może się kończyć poza Kościołem, poza religią. Jest wiele możliwości. Jedną z nich jest nadal romantyczny i pewny siebie indywidualizm w duchu Maxa Stirnera. Inną jest indywidualizm tragiczny Alberta Camusa, czy wręcz rozpaczliwe osamotnienie Jean-Paul Sartre'a. Są także surogaty religijnej wspólnoty – od nacjonalistycznej po rasistowską – każda ze swoim bóstwem i swoją kapliczką. Wszystko to wymagałoby odrębnego opracowania.

Spróbujmy jednak pozostać w Polsce. Co jest dziś naszym szczególnym problemem? Problemem jest wyzysk religii do celów politycznych. Idzie o to, by budować wspólnoty polityczne w oparciu o więzi religijne. Religijne uznanie i wybranie ma się stać fundamentem uznania politycznego. Polityka wtargnęła do wnętrza Kościołów. Podziały i spory polityczne przeniknęły w głąb religii. Ośrodkiem nieporozumień są „prawa człowieka". Prawa „Polaka-katolika" są na polskiej i katolickiej ziemi większe niż „prawa człowieka". Tak rodzi się „katolicyzm polityczny"– katolicyzm, którego znaczenie określa bliżej dialektyka dążeń do władzy.

Zobaczmy, jak wygląda mechanizm powstawania i legitymizacji tej postawy.

Na początku są niezadowoleni. Niezadowolenie bierze się najczęściej z upokorzenia. Polska transformacja ustrojowa dokonywała się bez przelewu krwi, ale nie bez wzajemnego poniżania i upokarzania. Są ludzie, którzy czują się upokorzeni przez zdobywców władzy: koledzy zdobyli władzę i nie podzielili się nią. Upokorzyli ich również komuniści, którzy wprawdzie stracili władzę, ale zdobyli bogactwo i także się nim nie podzielili. Na dodatek przyszła „gruba kreska", ogłoszona przez katolickiego premiera. To także upokorzyło, ponieważ spowodowało, że „przestępcy chodzą po ulicach i się śmieją". Potem „liberałowie" dogadali się z komunistami i dziś razem „manipulują" mediami. Jedynym „głosem prawdy" okazuje się dla wielu zawiedzionych „Radio Maryja" i związany z Radiem *Nasz Dziennik* a częściowo także krakowski tygodnik rodzin katolickich *Źródło*.

Taki był początek a jaki jest owoc?

Weźmy pod uwagę konkretny przykład. Oto przed

kilkoma miesiącami powstał zespół wspierający poczynania „Radia Maryja" i odpierający zarzuty jego krytyków. Prof. Janusz Kawecki, przewodniczący zespołu, mówi, że „Zespół liczy 23 osoby, wśród których są członkowie Akademii Nauk, profesorowie, pracownicy nauki, redaktorzy". Twierdzi następnie, że dzięki niemu przełamany został w mediach monopol jednostronności, „nie dopuszczający alternatywy lub nawet dyskusji (np. tylko 12 regionów). Poznaniu tego drugiego punktu widzenia z pozycji katolickiej i narodowej pomaga właśnie Radio Maryja". Szuka się więc alternatywy dla postkomunizmu i liberalizmu. Co w tym złego? Czy nie jest to zadanie każdego polityka? Na razie wszystko w porządku. Zapytajmy jednak, gdzie ją znajduje? Znajduje w tradycji „polskiej i katolickiej". Teraz już sypią się konkretne „rozwiązania". Prywatyzacja czy rozkradanie majątku narodowego? Reforma rolnictwa czy poszerzanie obszaru nędzy? Reforma górnictwa, czy stwarzanie rynków zbytu dla górnictwa niemieckiego? Wstąpienie do Europy czy nowy rozbiór Polski? Czy zbliżenie do Zachodu, czy do Rosji? Ostatnio wybuchła jeszcze jedna „alternatywa": dlaczego w Oświęcimiu na żwirowisku ma stać tylko jeden krzyż, jeśli może ich stać wiele? Znamienne, że wszystkie te „alternatywy" pachną ideologią dawnego Paxu. Ale nie to jest najważniejsze. Szczególnie godna uwagi jest nazwa, jaką się zespół posługuje: „Zespół Wspierania Radia Maryja w Służbie Bogu, Kościołowi, Ojczyźnie i Narodowi Polskiemu". Z samej nazwy wynika, że odtąd każdy, komu nie będzie się podobać Radio i wymyślane w nim „alternatywy", będzie miał do czynienia nie tylko z członkami Zespołu, ale także z Narodem, Ojczyzną, Kościołem i Bogiem. Podobna argumentacja powtarza się częściej. Właśnie ukazała się odezwa przedwyborcza (wybory samorządowe) Stowarzyszenia „Rodzina Polska", podpisana przez prof. dra hab. Piotra Jaroszyńskiego z KUL. Czytamy w niej: „Osoby, które na pierwszym miejscu stawiają Pana Boga i którym leżą na sercu sprawy Polski jeszcze przez kilka najbliższych dni mogą zgłosić swoje kandydatury..." Jeśli ktoś jutro nie odda głosu na kandydatów „Rodziny Polskiej", będzie miał – podobnie jak w przypadku „Zespołu Wspierania" – do czynienia bezpośrednio z Panem Bogiem.

Co jest dziś zagrożeniem polskiej religijności? Właśnie to: manipulowanie transcendentym wybraniem do celów politycznych. Kiedyś mówiło się: „gdyby nie było religii, należałoby ją stworzyć", ponieważ religia pomaga utrzymać w ryzach dzikie społeczeństwo. W Polsce religia jest. Skoro jest, należy jej odpowiednio użyć.

Tak oto polityczne a nawet partyjne My zaczyna zagarniać dla siebie My Kościoła. Co w tej sytuacji robi Kościół? Oczywiście, stara się o tożsamość, o autonomię. Nie przychodzi to łatwo, ponieważ łatwiej przychodzi mu zwalczanie wrogów niż nadgorliwych przyjaciół. Kościół w Polsce nawyknął do prześladowań i nie widzi w nich specjalnego niebezpieczeństwa dla siebie. Nie zdążył jednak – z historycznych względów – nawyknąć do politycznych pieszczot a dziś to one są jego największą groźbą.

Ciąg dalszy wyznania

Od dłuższego czasu obserwujemy w Kościele proces głębokich przemian. Częściowym przejawem tych przemian są napięcia, o których mówiłem: spór artysty malarza z proboszczem, powrót ze zdwojoną siłą dylematów Hioba, sprawy wynikające z transformacji ustrojowej, demokracji, stosunku do ideologii politycznych itp. Napięcia te rzucają się w oczy. Czy są oznaką życia, czy obumierania wiary i Kościoła? Aby odpowiedzieć przynajmniej w przybliżeniu na te pytania, trzeba sięgnąć głębiej i uchwycić napięcie podstawowe naszego życia. Nie bacząc na ryzyko, spróbujmy zrobić krok w głąb.

Moja hipoteza jest prosta: mniej ważne są konflikty wiary, ważny jest sposób podejścia do konfliktów i sposób ich przezwyciężania.

Powiedziałem na wstępie: mija czas poszukiwania tożsamości Kościoła poprzez podkreślanie różnic, a nadchodzi czas poszukiwania tożsamości poprzez podkreślanie podobieństw. W tym kontekście szczególnego znaczenia nabrało słowo „dialog". Wyznacza ono nie tylko kierunek rozwoju, ale również służy jako zasada nowego rozumienia całej doktryny wiary. Wiara jest w swej istocie „dialogiem"– dialogiem

Boga z człowiekiem i wzajemnym dialogiem wierzących. W dialogu różnice nie stają się sprzecznościami i nie niszczą, lecz służą budowaniu pojednania.

Nie byłoby jednak tego odkrycia, gdyby nie stanęło w nowym świetle pojęcie jeszcze bardziej fundamentalne – pojęcie dobra. Dialog dlatego jest aż tak „cenny", że jest wyrazem uczestnictwa w dobru i sposobem urzeczywistnienia dobra pomiędzy ludźmi. Znamy wszelkie zarzuty, jakie można wytoczyć przeciwko pojęciu dobra. Można mówić o subiektywizmie, o przesądach, o nieuleczalnym braku ścisłości, o chorobie na platonizm. Zarzuty te jednak nie zdołały wypłoszyć tego pojęcia z naszego języka, naszych głów, ani naszej filozofii. Ostatnio pojawiło się ono ze zdwojoną siłą w myśli Emmanuela Levinasa. Wciąż przewija się przez teksty Charlesa Taylora. W tekstach Jana Pawła II zajmuje ono miejsce naczelne, spychając w cień pojęcie „bytu", które przez dłuższy czas służyło jako narzędzie określania istoty wiary. Znaczenie wiary określa się dziś raczej poprzez „dobro". Można sobie wyobrazić, jakie konsekwencje praktyczne ma ta przemiana.

Jedną z nich jest przypomnienie spotkania ze złem. Religia nie może pozwolić na zapomnienie. Wiara w dobroć Boga musi przejść przez próbny ogień pieca krematoryjnego. Jeśli nie przejdzie, nie osiągnie właściwej głębi.

Sednem naszej sprawy jest konkretny sposób rozwiązywania konkretnego konfliktu. „Zło dobrem zwyciężaj". Co zrobić, by te słowa nie były abstrakcyjnym mitem, lecz blaskiem naszej codzienności? Od odpowiedzi na to pytanie zależą losy Ewangelii.

ks. Józef TISCHNER

O kryzysie nauki w Polsce

W polskim środowisku naukowym słyszy się niekiedy skargę, że nasza nauka tkwi ciągle w PRL, że należy zerwać z taką tradycją i budować naukę na nowo. Brzmi to bardzo niewesoło z racji sposobu rozumowania, którego jest wyrazem. Oczywiście istniejące uczelnie, Polska Akademia Nauk czy nawet Komitet Badań Naukowych – choć pod inną nazwą – mają dawną, peerelowską metrykę. Niepokoi natomiast ideologiczne ocenianie nauki, tak jak nas uczono w latach 1950-ych, gdy przeciwstawiano naukę socjalistyczną burżuazyjnej. Takie rozróżnienie chyba jednak nie przekonało wówczas uczonych, którzy wolą dzielić naukę na dobrą i złą, którzy są świadomi faktu, że nauka polega na kumulacji wiedzy, i tej, która da się udowodnić i zachować dłużej, i tej, która odchodzi, nie wytrzymując krytyki. O zerwaniu ciągłości w nauce nie może być mowy – byłaby to postawa pozanaukowa – choć twierdzenia naukowe muszą ulegać zmianom.

Stwierdzenie powyższe jest dość elementarne, ale jego przypomnienie jest wciąż potrzebne, bo ciąży na nas niejednokrotnie sposób myślenia z czasów PRL, który bardzo trudno wykorzenić. Warto natomiast podkreślić, że nikt z Polaków nie uważał nauki ówcześnie rozwijanej w PRL za coś obcego, choć nie oznaczało to akceptacji wszystkich głoszonych twierdzeń. Po okupacyjnych działaniach, szczególnie niemieckich, mających na celu likwidację polskiej nauki, wszyscy, niezależnie od sympatii czy wrogości wobec sowieckiej dominacji, wszyscy pracownicy nauki i studenci zajęli się z poświęceniem odbudową nauki i jej instytucji. Pokolenie piszącego dobrze pamięta odgruzowywanie budynków i noszenie worków z książkami, czy zbieranie pomocy naukowych, by uruchomić studia i warsztaty pracy naukowej. One zaś powstawały i mnożyły się, by wspomnieć nowe uniwersytety w Lublinie, Łodzi, Toruniu czy Wrocławiu, albo politechniki w Łodzi, Wrocławiu, Gliwicach czy Gdańsku. Nie było to zadanie łatwe, bo skromna, przedwojenna kadra została zdziesiątkowana, a nie przybyły żadne posiłki uczonych z zagranicy, z Zachodu czy ze Wschodu. I naukę budowało się w głębokim przekonaniu, że jest to nasza nauka.

Następnym etapem, tym razem już rozbudowy naszej nauki, było stworzenie Polskiej Akademii Nauk. Niezależnie od zakładanych celów ideologicznych czy istniejących przetargów na górze, dla środowiska naukowego był to istotny postęp. Po pierwsze powstała wreszcie ogólnopolska korporacja uczonych, postulowana od XVIII wieku, na którą złożyły się w 1/3 grono członków dotychczasowej Polskiej Akademii Umiejętności i w 1/3 Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Wbrew temu, co się niektórym naukowcom teraz wydaje, nikt nie odmawiał przyjęcia takiego członkostwa, a wielu o nie zabiegało. Istotniejsze było jednak utworzenie sieci instytutów badawczych, które z zapałem, ofiarnością i pełną kompetencją tworzyli dotychczasowi profesorowie uczelni i to najczęściej owi najwybitniejsi. Byli to m.in. Wł. Szafer, T. Lehr-Spławiński, S. Białobok, J. Groszkowski, R. Kozłowski, W. Stefański, St. Skowron, S. Pieńkowski, O. Achmatowicz, A. Piekara, K. Kuratowski, W. Trzebiatowski, R. Szewalski, A. Krupkowski, B. Dobrzański, J. Kielanowski, Fr. Górski, A. Opalski, J. Supniewski, L. Hirszfeld, T. Olczak, W. Budryk i in. Świadomie przytoczyliśmy tę listę, oczywiście niepełną, twórców instytutów Akademii, by pokazać, że były to dzieła bardzo wybitnych uczonych, którzy dobrze rozumieli potrzeby nauki i dążyli do stworzenia wyspecjalizowanych instytutów badawczych, by tę naukę udoskonalić.

Być może ich zabiegom zawdzięczamy, że PAN nie naśladował wiernie swego zagranicznego wzoru, nie zabiegał o monopol prowadzenia badań naukowych, kładąc właśnie nacisk na współpracę z uczelniami. Instytuty Akademii były też odsunięte od badań tzw. obronnych i czerpania funduszy od wojska, mimo iż to było normalne za granicą. Powstało,

choć nie od razu, szerokie zaplecze społeczne Akademii w postaci komitetów naukowych, które obejmowały parę tysięcy uczonych. Nie od rzeczy będzie wreszcie przypomnieć – co nie było nigdzie zapisane – że placówki Akademii stały się od początku schronieniem dla ludzi podejrzanych politycznie, którzy częściowo nie mieli szans zrobienia kariery na uczelni, podobnie stąd wychodziły inicjatywy nawiązywania współpracy naukowej z Zachodem.

Pojawienie się sieci najczęściej dobrych instytutów badawczych prowadziło do szybkiego postępu badań i to w całej nauce, jako że przepływ kadry naukowej i współpraca z uczelniami były zjawiskiem normalnym. Był to system, wypróbowany w nauce zagranicznej, szczególnie zachodniej, gdyż dzięki koncentracji kadry naukowej i wyposażenia placówki takie mogły stopniowo torować drogę całej naszej nauce do postępu badawczego i czołówki światowej. Podobnym celom służyły sieci instytutów takich instytucji naukowych jak na przykład Max Planck Gesellschaft (dawniej Kaiser Wilhelm Gesellschaft) w RFN lub Centre Nationale de Recherche Scientifique we Francji, czy sieci placówek badawczych nowocześnie pracujących akademii, jak Niderlandzka Królewska Akademia Nauk, Austriacka Akademia Nauk, czy sławna Królewska Szwedzka Akademia Nauk.

Wskazane trzy czynniki, tj. powstałe i nieźle wyposażone zespoły badawcze, wczesne i szerokie otwarcie na Zachód, wreszcie mniejsze aniżeli na uczelniach rygory polityczne w odniesieniu do personelu naukowego, szybko przyniosły rezultaty i to w podwójnej postaci. Z jednej strony był to postęp badawczy, z drugiej narastanie postaw krytycznych i to w odniesieniu do istniejących w PRL stosunków politycznych, gospodarczych, społecznych, nie tylko polityki kulturalnej i naukowej. Oczywiście głosy krytyczne pojawiały się w całym środowisku naukowym, ale w instytutach PAN było ich więcej, co wykazała m.in. postawa kadry naukowej w dobie wydarzeń 1968 r.

Władze polityczne zareagowały na tę sytuację na dwa sposoby. Po pierwsze starano się skłócić środowisko naukowe. Wcześniej jeszcze przeprowadzono surowy rozdział pracowników uczelni i placówek badawczych, hamując przepływ kadry i zakazując łączenia pracy na przykład w placówkach

PAN i na uczelni. Następnie przystąpiono do różnicowania płac i statusu pracowników – wówczas na przykład pojawiło się na uczelniach pojęcie nauczyciela akademickiego, które zastąpiło termin pracownika nauki. Wreszcie w 1963 r. zgodnie z obowiązującymi wzorami, powołano Komitet Nauki i Techniki, który był organem rządu do spraw nauki, ustalał programy badawcze, a jednocześnie miał naukę nadzorować i regulować poprzez wpływ na finansowanie badań. Działania KNiT nie były zresztą zbyt skuteczne, stąd późniejsze jego przekształcenia, natomiast rozdzielenie placówek badawczych, szczególnie PAN i uczelni oraz umiejętna propaganda polityczna, trafiły na podatny grunt w wyczulonym ambicjonalnie środowisku naukowym, które udało się skłócić na długo.

Z powyższego przeglądu porażek i sukcesów, które miała za sobą nasza nauka w momencie powstania III Rzeczypospolitej w 1989 r. można by wyprowadzić raczej pozytywne wnioski, choć nie jest to bilans pełny. Brak w nim na przykład tzw. instytutów resortowych, które miały różny charakter – od laboratoriów przyzakładowych po wielkie instytuty badawcze, choćby w dziedzinie energii jądrowej – a które wymagałyby osobnego omówienia. Jednakże ich kadra badawcza odgrywała mniejszą rolę w środowisku naukowym, a ich losy zależały bardziej od aktualnych sponsorów, najczęściej resortów, aniżeli od sytuacji w całej nauce polskiej. Warto tu przypomnieć, że przedstawiciele szkół wyższych i placówek Akademii byli szczególnie liczni wśród ludzi negocjujących jako opozycja przy okrągłym stole, a następnie budujących zręby III Rzeczypospolitej. Nie było to wynikiem przypadku. O ile bowiem strajki robotnicze osłabiały system PRL, niejako z zewnątrz, to nauka wraz z wynikającą z niej krytyką rozsadzała tę strukturę od środka, podcinała wiarę w istniejący system, jego skuteczność i sens istnienia. Zdawało się, że w III Rzeczypospolitej nauka, jako jeden z głównych czynników prowadzących do likwidacji PRL, stanie w rzędzie zwycięzców. Nasuwa się pytanie dlaczego tak się nie stało.

Nowa kadra polityków, często pełnych dobrych chęci, ale słabo przygotowanych do pełnienia odpowiedzialnych funkcji amatorów, do tego zapatrzonych w mało znany sobie Zachód i podziwiających jego osiągnięcia, kadra ta nie doceniła roli

nauki. Według ich rozumowania zapóźnienie technologiczne naszej gospodarki miała usunąć prywatyzacja i przejęcie przez czołowe, zachodnie koncerny naszych fabryk. W takim zaś wypadku badania tzw. stosowane wydawały się zbędne, a podstawowe tym bardziej, skoro można było czerpać pełną ręką z nauki i stworzonej przez nią technologii na Zachodzie. Jedynie potrzeby kształcenia na poziomie wyższym, z racji odstawania naszych wskaźników wykształcenia od europejskich, zwracały uwagę władz, co jednak nie kojarzyło się zwykle z badaniami naukowymi, ani nawet z potrzebą zwiększenia wydatków na szkolnictwo wyższe. Trwający nadal spór w łonie środowiska naukowego, być może podsycany i ustawiany świadomie, ułatwiał władzom sytuację. Zresztą ponawiające się ataki na PAN unicestwiały ewentualne alarmy z tej strony, mimo iż właśnie placówki Akademii dostarczyły proporcjonalnie najwięcej kadry dla nowych władz politycznych, w tym 2 premierów i bardzo wielu ministrów.

Skutki niedoceniania nauki ze strony władz nie kazały na siebie długo czekać. Doszło przede wszystkim do cięć finansowych, które sprawiły, że uprzednio skromne fundusze na badania spadły mniej więcej do połowy. Dokonano tego pod starym peerelowskim hasłem, że centralna dyspozycja tymi funduszami doprowadzi do ich bardziej oszczędnego i racjonalnego wykorzystania i że umożliwi ich wydawanie na cele pozanaukowe czy na nieefektywne, zbędne prace badawcze. Taka centralizacja dysponowania całością funduszy budżetowych na naukę prowadziła do sytuacji, że kto inny decydował o możliwościach prowadzenia określonych badań, a kto inny był odpowiedzialny za ich wyniki. Było to ustalenie zgodne ze zwyczajami poprzedniego okresu, ale sprzeczne z zasadami racjonalnego postępowania i podstawami porządku demokratycznego, natomiast przynosiło korzyści resortowi finansów.

Wczesne reformy objęły szkolnictwo wyższe, jako że problemy szerszej czy węższej autonomii uczelni były zagadnieniem dyskutowanym od lat i postulowanym znacznie wcześniej. Obok szerokiej, choć dostosowanej do poziomu szkoły, autonomii, dla formalnego przyspieszenia dojrzewania kadry naukowej skasowano stanowisko naukowe docenta, a

profesora nadzwyczajnego uznano za stanowisko wewnątrzuczelniane, które nie wymaga zatwierdzenia przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną. Dawną procedurę zachowano, wraz z nominacją prezydencką, tylko dla tytułu profesora zwyczajnego. Wprowadzono też sposób obsadzania stanowisk naukowych drogą konkursu. Wreszcie, obok ułatwień dla nowo powstających, prywatnych szkół wyższych, zaczęto wprowadzać, już pozaustawowo, odpłatność za pewne typy czy okoliczności studiów, np. podyplomowych, zaocznych itp. Natomiast ustawa, podobnie jak działania, które miały ją poprawić, czy uzupełnić, nie interesowała się zupełnie pracą badawczą, prowadzoną przez tzw. nauczycieli akademickich, pozostawiając troskę o nią bądź indywidualnym chęciom czy ambicjom pracowników, bądź Komitetowi Badań Naukowych, który poprzez ewentualne działania finansowe miał tę pracę ułatwiać.

Istniejąca od 1990 r. ustawa o szkołach wyższych okazała się nie najlepszym rozwiązaniem. Autonomia, formalnie dozowana zgodnie z opinią Rady Głównej Szkół Wyższych, rzadko prowadziła do unowocześniania programów i odejścia od rutyny akademickiej. Wprowadzone konkursy na obsadzanie stanowisk naukowych stały się szybko fikcją, z racji chociażby braku „rynku" pracy naukowej w Polsce i są zbędną formalnością przy przyjmowaniu z góry upatrzonych pracowników. Taki świadomy dobór kadry nie byłby zły, gdyby nie fakt, że są to niemal z reguły właśni pracownicy, jako że ciągle dominuje model kariery naukowej od początku studiów po stanowisko profesora, stale na tej samej uczelni. Prowadzi to do tworzenia zamkniętych środowisk, odciętych od świata nauki i nowoczesności, tym bardziej że dłuższe zagraniczne wyjazdy zdolniejszych pracowników prowadzą nierzadko do ich wieloletnich absencji lub wręcz zerwania z macierzystą uczelnią.

Na to ostatnie zjawisko silnie wpływa niedostateczne finansowanie szkół wyższych. To ubóstwo powoduje z jednej strony niejednokrotnie negatywną selekcję młodego narybku naukowego, z drugiej poszukiwanie dodatkowych zarobków na innych uczelniach, czy też poza szkolnictwem wyższym. Oba te zaś czynniki przy wzroście napływu studentów muszą prowadzić do spadku jakości nauczania, do rutyny i dezaktua-

lizacji wykładanego materiału, do sformalizowania ocen itd. Występuje też brak dbałości o prace pisemne, nieobecność profesora na seminariach i egzaminach, przy przygotowywaniu i obronie prac magisterskich itp. Jednocześnie studentów denerwuje szczególnie fakt, że na tej samej uczelni, u tych samych wykładowców, można odbywać studia bezpłatne i płatne. W obu wypadkach są one wieńczone podobnym dyplomem, choć ilość zajęć bywa bardzo różna, a koszty nieproporcjonalne do uzyskiwanej wiedzy i umiejętności. Jeżeli dodamy, że zwykle przeciążona, a często zabiedzona młodsza i średnia kadra naukowa musi w terminie robić badania na stopień doktora, a jeszcze bardziej uciążliwe dla uzyskania habilitacji, to trudno się dziwić, że jej dydaktyczne i naukowe wyniki nie mogą być najlepsze. W rezultacie kadra naukowa uczelni ulega w tej sytuacji osłabieniu i poziom studiów obniżeniu.

Istnieją oczywiście próby zaradzenia tym niedostatkom, wychodzące częstokroć z Rady Głównej i jej otoczenia, jednakże nie są one najczęściej trafne, a to z paru względów. Po pierwsze traktują szkolnictwo wyższe jako osobne, autonomiczne zjawisko, oddzielone od pozostałych regionów nauki, czy nawet ignorujące ich istnienie. Jednocześnie treść owych projektów nie mówi nic o nauce, a konkretnie o badaniach naukowych, jak gdyby uczelnie były tylko szkołami, a nie stanowiły bardzo zróżnicowanego, ale potężnego potencjału naukowego. Po drugie, wśród tych projektów pojawiają się pomysły, by dla formalnego wzrostu kadry naukowej zrezygnować z habilitacji, poprzestając na doktoracie, jako na stopniu kwalifikującym do samodzielnej pracy naukowej i dydaktycznej, co praktycznie oznaczałoby dalsze obniżenie poziomu naukowego uczelni, przekształcenie ich w szkoły zawodowe typu półwyższego.

To ostatnie żądanie łączy się z postulatem likwidacji Centralnej Komisji d/s Tytułu i Stopni Naukowych, a przynajmniej do bardzo znacznego ograniczenia jej kompetencji i nadzoru. Jest to konsekwencja poprzedniego stanowiska, tj. odejścia od charakteru naukowego uczelni, tym bardziej znamiennego, że wychodzącego głównie z kręgów słabszych naukowo. Zresztą podobne omyłki czyni również Rada Główna, która w pogoni za zwalczaniem wieloetatowości, osłabia

możliwości podniesienia poziomu naukowego uczelni. Chodzi o to, że do władz i gremiów stanowiących uczelni mogą wchodzić jedynie pracownicy zatrudnieni na pełnym i pierwszym etacie, natomiast ci, którzy mają na przykład 1/2 etatu czy nawet cały etat, a pracują głównie gdzie indziej, nie mają prawa głosu.

Takie pojmowanie interesów uczelni stanowi paradoks. Wybitni uczeni bowiem nie oczekują jako bezrobotni pełnego i pierwszego zatrudnienia na uczelni, natomiast mogą często dać się namówić do poświęcenia części swego czasu szkole wyższej. Klasycznym tego przykładem jest sprawa zatrudnienia na uczelniach doświadczonych naukowców z instytutów PAN. Jeśli się ich zatrudnia na 1/2 etatu lub na drugim etacie, to ich głos i wpływ na pracę naukową i dydaktyczną uczelni będzie wątpliwy. Jeśli natomiast zostaną zatrudnieni na pełnym, pierwszym etacie, to praktycznie wyrwie się ich z badań prowadzonych w dobrym zespole naukowym i w oparciu o odpowiedni warsztat badawczy, co musi prowadzić do stopniowego obniżania ich waloru naukowego. Takie rygorystyczne, administracyjne rozstrzygnięcia są nieracjonalne i szkodliwe dla szkół wyższych, podczas gdy rozsądne łączenie takich funkcji – na przykład pracy na pełnym etacie w placówce badawczej a na połówce na uczelni – byłoby pożyteczne i dla badań naukowych, i dla szkoły wyższej, tej o ambicjach naukowych oczywiście.

W tej sytuacji nie należy się dziwić, że pracownicy szkół wyższych wysoko sobie cenią Komitet Badań Naukowych, który głosi, że bez jego istnienia nie będzie dostępnych dla pracowników uczelni funduszy na pracę naukową – na wyposażenie, instrumenty, książki, wreszcie na dodatkowe zarobki. Dlatego powstanie w 1990 r. Komitetu Badań Naukowych było witane z radością przez dużą część środowiska naukowego, które chciało w nim widzieć instytucję nową, opartą na wybranym gronie członków-uczonych i mającą być „dobrym wujkiem" nauki. Było w tym sporo złudzeń, ale piękne deklaracje o funduszach dostępnych dla wszystkich, o preferowaniu, wręcz zarzucaniu pieniędzmi najlepszych, o zerwaniu z cichym finansowaniem nieudolnych biur konstrukcyjnych i wspieraniem złej gospodarki, o zerwaniu z nie-

uzasadnionym uprzywilejowaniem pewnych placówek itd. robiły wrażenie. Tworzyło to wokół Komitetu dobrą aurę i nikt nie dostrzegał groźby monopolu i nieograniczonej władzy owego resortu. Nikt też nie zastanawiał się czy pieniędzy wystarczy, czy rzeczywiście dzielić je będą i to bezstronnie sami naukowcy, nie urzędnicy, czy wreszcie system, w którym decyzja jest oddzielona od odpowiedzialności za nią jest prawidłowy, a szczególnie właściwy dla pracy naukowej.

Rzeczywistość okazała się znacznie skromniejsza, choć dróg wyjścia z niej trudno było szukać. Pieniędzy było z reguły o wiele za mało, a podział ich chociażby na badania podstawowe i badania stosowane był zwykle dyskusyjny. Podobnie dyskusyjny był podział na fundusze statutowe, które stanowiły podstawę istnienia placówek badawczych i na granty, czy inne wydatki celowe, które stanowią raczej dodatkową pomoc dla badań w instytucjach, które istnieją na innych podstawach finansowych. Oczywiście o wycofaniu się Komitetu z finansowania prac projektowych i konstrukcyjnych nie mogło być mowy i mnóstwo pieniędzy poszło na czołg, którego produkcji nie będzie, na samolot, którego nikt nie chciał kupić, na helikopter itd. Kiedy zgodnie z kryteriami Komitetu najlepsze placówki badawcze domagały się realizacji zasady preferowania jakości, zagrożono nieposłusznym restrykcjami finansowymi. Wreszcie zła ordynacja wyborcza ułatwiała tworzenie w obrębie Komitetu i podporządkowanych mu zespołów układów i grup nacisku, które myślały przede wszystkim o interesach partykularnych, a nie całości nauki.

Wady działania Komitetu, które wyliczyliśmy, nie oznaczają, że cała jego działalność jest błędna i godna potępienia, bo instytucji wolnej od wad i błędów nie ma. Są one jednak wyrazem przede wszystkim braku opracowania jasnej i spójnej polityki naukowej i jej realizowania. Nie można bowiem za politykę naukową uważać ani wykazu priorytetów dość przypadkowo dobranych, ani iluzji na temat bogatej przyszłości, nawet w oparciu o pełną dobrej woli uchwałę Sejmu z 1995 r. Na dodatek jedyna szersza podstawa do wypracowania takiej perspektywicznej polityki, a mianowicie przygotowana wspólnie z PAN ocena stanu nauki w Polsce, dokonana przez komitety naukowe Akademii, jak dotąd nie została przez KBN wykorzystana.

Wszystkie błędy w strukturze i działaniu KBN byłyby do wybaczenia, gdyby istniała szansa, że Komitet zdoła uzyskać radykalne powiększenie budżetu przeznaczonego na naukę, na tyle poważne, że pozwoliłoby na racjonalną politykę naukową i likwidację kryzysu nauki. Piszemy tu świadomie, że chodzi o fundusze budżetowe, bo opowiadanie o finansowaniu badań przez wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe na Zachodzie wynika z nieporozumienia, co postaramy się wykazać dalej. Natomiast analiza procedury powstawania budżetu wskazuje, że centralizacja funduszy jest pułapką. Powiększenie udziału z aktualnego 0,47% produktu krajowego brutto, jak to wypada w tym roku, do około 2%, jak wynosi średni udział wydatków na naukę w obrębie Unii Europejskiej, jest mrzonką, a nawet dojście do postulowanych przez Sejm 1,0% PKB nie wydaje się w najbliższym czasie osiągalne. W strukturze budżetu wymagałoby to obcięcia odpowiednich kwot w innych resortach, na co się takowe nie zgodzą, szczególnie gdy mają szansę i ją wykorzystują, by właśnie ze skromnych funduszy KBN coś uzyskać dla siebie. W tej sytuacji poważne zwiększenie budżetu KBN nie jest realne, co potwierdzają obserwacje bojów toczonych w Radzie Ministrów i Sejmie na ten temat, bojów w których jedynym, skromnym sojusznikiem KBN była ze zrozumiałych względów Akademia.

Istotne jest natomiast, by powyższe krytyczne uwagi nie były odczytane jako atak na KBN i jego istnienie. Autor krytykował strukturę Komitetu, kiedy ten powstawał i zaczynał działać, przewidując wiele negatywnych zjawisk, które to ostrzeżenia w większości się sprawdziły. Nie chodzi więc o powtarzanie krytyki, ale o uświadomienie KBN i środowisku naukowemu, że nadszedł czas, by Komitet sam spróbował ocenić swoje siły i swe możliwości i by wyciągnął z tego racjonalne wnioski, ale wziąć je pod uwagę trzeba dla dobra całej nauki i dla dobra samego KBN. Chodzi więc o to, by racjonalna krytyka nie była źródłem konfliktu, lecz diagnozą i zachętą do wspólnego działania dla dobra nauki i KBN również. Natomiast bez reformy KBN jako instytucji kluczowej, która ma wyłączne uprawnienia do formułowania polityki naukowej i finansowania badań, o poprawieniu sytuacji nauki w Polsce – nie ma co mówić.

Nie będziemy tu rozważać przyczyn ani celów ataków w środowisku naukowym i w mass mediach skierowanych przeciw Polskiej Akademii Nauk, bo jest to zjawisko nie tylko niepokojące, ale wręcz groźne dla naszej nauki. Można lubić lub nie lubić Akademii, ale trzeba pamiętać, że jej placówki torowały drogę naszej nauce do czołówki europejskiej i każde osłabienie tych placówek – co ma miejsce od paru lat – stanowi o poważnym osłabieniu naszej całej nauki. Ta agresywna krytyka, a nawet zapędy likwidatorskie odsłoniły podwójny skutek ujemny, a mianowicie osłabienie prestiżu całej naszej nauki oraz przebudowę Akademii w niewłaściwym kierunku. Jeżeli bowiem drogą faktów pozaustawowych można było wprowadzić pełną elekcyjność w organach tej instytucji i jej placówkach, a jednocześnie uzyskać aprobatę władz dla tak rozszerzonej samorządności Akademii, to nowa ustawa poszła w przeciwnym kierunku.

Nowa ustawa była przygotowywana pod presją przesadnych obaw o istnienie Akademii, zagrożonej z powodu braku nowej ustawy. W tej atmosferze przygotowania projektu poszły w dużym stopniu drogą nieformalną, a członkowie PAN nie interesowali się treścią nowej ustawy, troszcząc się jedynie, by nowa zastąpiła starą. W rezultacie powstała ustawa, która nie znajduje analogii w żadnej strukturze znanych europejskich akademii nauk, ani tradycyjnej, akademii starszego typu, złożonej jedynie z korporacji, ani w nowoczesnej, prowadzącej przy pomocy własnych placówek badania naukowe.

Pierwsza zmiana dotyczy kierownictwa, które obejmuje całkowicie prezes, przejmując prawa i obowiązki sekretarza naukowego, którego stanowisko ulega likwidacji. Prezes również przejmuje niektóre uprawnienia dotychczasowych sekretarzy Wydziałów. W rezultacie prezes prowadzi wszystkie sprawy organizacyjne, finansowe, osobowe, prawne i całą administrację, co oznacza że prezesem może być tylko menadżer, a nie wybitny uczony, taki jaki symbolizuje naukę i prestiż Akademii. Jednocześnie prezes według tej ustawy przejmuje nadzór nad placówkami, wykonywany w poprzednich latach przez Wydziały, co wobec rożnorodności prowadzonych badań oznacza, że nie będzie to nadzór naukowy – co jest główną zaletą nowoczesnych akademii – lecz administracyjny. Prezes też powołuje dyrektorów placówek, przy czym rady naukowe placówek nie mają prawa wyłaniania kandydatów na to stanowisko, jak to było dotychczas. I wreszcie władza prezesa została dodatkowo wzmocniona poprzez uprawnienie do nadawania instytutom osobowości prawnej – a bez takiej osobowości nie ma instytutu – oraz o przepis, który pozwala prezesowi jednoosobowo karać dyscyplinarnie członków Akademii, co stanowi *curiosum* prawne i zwyczajowe. Trudno też liczyć na bliską współpracę placówek Akademii ze szkołami wyższymi, skoro nowa ustawa utrzymała w placówkach stanowiska naukowe nie występujące na uczelniach.

W tej sytuacji można przewidywać raczej administracyjny, a nie naukowy tryb działania Akademii i spodziewać się szybkiego narastania konfliktów w jej łonie. Niepewne też staje się jej funkcjonowanie jako sieci ważnych placówek badawczych, które to instytuty w zakresie przynajmniej badań podstawowych mają torować drogę postępu całej naszej nauce. W sumie wydaje się, że nowa ustawa raczej pogorszyła, w stosunku do zmodyfikowanej poprzedniej, sytuację wewnętrzną i niezależność zewnętrzną Akademii, a to musi się źle odbić na całym potencjale naszej nauki.

Najbardziej zróżnicowana, choć z pewnością nie lepsza jest w ostatnich latach sytuacja dawnych instytutów resortowych i podobnych placówek, teraz przemianowanych na jednostki badawczo-rozwojowe. Wbrew doktrynie głoszonej przez niektórych polityków, którzy mówili, że przedsiębiorstwa i cała gospodarka będą finansowały ten rodzaj badań, twierdzenie takie okazało się iluzją. Wprawdzie wielkie koncerny międzynarodowe prowadzą intensywne badania naukowe, łożąc na nie wielkie sumy pieniężne, ale szczególnie w naszym kraju, daje to negatywne wyniki. Po pierwsze przedsiębiorstwa te prowadzą badania dla własnych potrzeb, a nie dla konkurencji i ich najważniejsze wyniki są nie ujawniane – nie wchodzą do obiegu naukowego po prostu dlatego, by zachować dla dawnego przedsiębiorstwa wynikające z nich korzyści. Po drugie zaś owe wielkie koncerny, które przejęły ważne zakłady przemysłowe w naszym kraju, mają u siebie, we Włoszech, w Niemczech czy w Ameryce własne

placówki badawcze i konstrukcyjne i nie mają powodów, by je dublować w Polsce.

W tej sytuacji badania tego typu prowadzone dotychczas w Polsce ulegają stopniowo likwidacji, tym bardziej, że pozostałe zakłady przemysłowe toną w długach i nie mają ochoty inwestowania w badania naukowe. Dawne więc instytuty przekształcają się z placówek badawczych w usługowe, albo też wspierane pośrednio, jak w wypadku rolnictwa, nie mają większych szans rozwojowych. Jednocześnie nowa ustawa o jednostkach badawczo-rozwojowych skazuje je na pełną zależność od Komitetu Badań Naukowych, gdzie cieszą się skromnym uznaniem, a z drugiej strony przepisy, które przekształciły ich rady naukowe w pracownicze, osłabiają ich charakter naukowy. Można się wprawdzie pocieszać, że prywatyzując gospodarkę, oddając fabryki w ręce koncernów zagranicznych, kupujemy tą drogą postęp techniczny, ale przez to samo ograniczamy naszą funkcję do roli wykonawców, rezygnując z własnej myśli technicznej, a może i z kadry badawczej. To ostatnie zastrzeżenie jest o tyle istotne, że na przykład wobec rezygnacji z budowy elektrowni jądrowej, możemy się stać wkrótce jedynym krajem w Europie, który nie tylko nie ma takich elektrowni, ale również nie posiada specjalistów w tej ważnej a zarazem groźnej dziedzinie, to zaś oznacza nie bezpieczeństwo, ale bezradność w tym zakresie.

Wskazane wyżej zjawiska kryzysowe, tj. źle pomyślane i błędnie sformułowane zasady prawne oraz fatalny stan finansowania badań mogą stanowić jednak sytuację przejściową, która przy pewnym wysiłku i zabiegach może być szybko naprawiona. Trwały kryzys w naszej nauce jednak istnieje, a dotyczy on stanu kadry naukowej i jej przemian. Kadra zaś naukowa nie jest elementem dodatkowym, lecz zasadniczym w nauce i jest to element nie do zastąpienia w żaden mechaniczny sposób, a jednocześnie jest to czynnik najtrudniejszy do odtworzenia. Na podstawie kadry naukowej potrzeba odpowiednich warunków materialnych i instytucjonalnych, a przede wszystkim odpowiedniego doboru ludzi oraz czasu, skoro pełnowartościowym uczonym staje się pracownik po 20-25 latach pracy badawczej. Trzeba przy tym natrafić na ludzi z pasją badawczą i umożliwić im działanie, a także

pociągnięcie innych do intensywnej pracy naukowej, liczonej nie w godzinach urzędowania, lecz w dniach i nocach poświęconej zaspakajaniu pasji poznania i rozwijaniu nauki.

Wspominaliśmy wyżej, że od drugiej połowy lat 1970-tych wprowadzono w dziedzinie nauki oszczędności pieniężne i etatowe, które odczuwalnie zmniejszyły napływ młodej kadry do szkół wyższych i placówek badawczych. Jednocześnie owe słabe uposażenie powodowało systematyczne dorabianie wśród młodej i średniej kadry naukowej, a to z kolei prowadziło do opóźnienia w uzyskiwaniu doktoratu, szczególnie habilitacji. A ponieważ lata 1980-te nie poprawiły sytuacji w tym zakresie, zaś okres po 1989 r. doprowadził do dalszego pogorszenia materialnego położenia nauki, obecny jej stan należy uznać za bliski katastrofy. Statystycznie da się to odczytać w postaci dwóch wielkości, a mianowicie opóźnienia dojrzewania kadry naukowej i w nieprawidłowej strukturze jej wieku.

Według danych Centralnej Komisji d/s Tytułu i Stopni Naukowych w 1995 r. przeciętny wiek uzyskiwania stopnia doktora habilitowanego wynosił 47,2 lat, przy czym stosunkowo najwcześniej habilitowali się przedstawiciele nauk medycznych (przeciętnie 45,9 lat), a najpóźniej technicznych (przeciętnie 48,6 lat). Oznacza to, że przynajmniej z punktu widzenia formalnego, pracownik naukowy dopiero przez ostatnie 23 lata przed przejściem na emeryturę (tj. po skończeniu 70 lat) stawał się pracownikiem naukowym, czy naukowo-dydaktycznym o pełnych kwalifikacjach, natomiast podobną ilość lat przygotowywał się do tej funkcji jako młodszy pracownik nauki.

Według tych samych danych profesorem pełnym (zwyczajnym) zostawało się w Polsce średnio w wieku 53,5 lat, z tym, że najwcześniej tytuł naukowy uzyskiwano w naukach ścisłych (przeciętnie 50,2 lata), a najpóźniej w humanistyce (przeciętnie 55,1 lat). Oznacza to, że najczęściej w Polsce profesorem czynnym jest się przez niewiele ponad 15 lat, a więc droga do uzyskania tego tytułu, a z nim pełnych uprawnień naukowych, trwa u nas blisko 30 lat, licząc od momentu ukończenia studiów wyższych. Oba powyższe przykłady – oparte wprawdzie na danych z 1995 r., ale nadal aktualnych – pokazują, że uzyskiwanie habilitacji i profesury, czyli tzw.

dojrzewanie naukowe, trwa u nas niezwykle długo i uzyskanie pełnowartościowej kadry naukowej jest procesem niesłychanie długotrwałym i przez to, wbrew czy raczej na skutek bardzo niskich zarobków, bardzo kosztownym.

Tak powolny proces dojrzewania kadry naukowej spowodował, że jej wiek jest nieproporcjonalnie wysoki. Według danych GUS, na 38.527 pracowników nauki (z doktoratem i wyżej) w 1995 r. było 6334 profesorów, natomiast wśród tych profesorów 58,9% miało już 60 i więcej lat ukończonych, a tylko 9,4% tych profesorów miało mniej aniżeli 50 lat. Natomiast wśród doktorów i doktorów habilitowanych 45% przekroczyło 40 lat, a 9,3% nawet miało 60 lat i więcej. Warto dodać, że stosunkowo młodsi profesorowie i doktorzy habilitowani byli wówczas zatrudnieni w szkołach wyższych, a najstarsi w tzw. jednostkach badawczo-rozwojowych, choć różnice te nie były wielkie. W sumie z danych tych można wyczytać, że w ciągu najbliższych 10 lat – licząc od 1995 r. – odejdzie na emeryturę blisko 60% profesorów, czego nie zdoła zastąpić napływ młodych na to stanowisko.

W ramach wspomnianych ocen stanu 90 dyscyplin naukowych uprawianych w Polsce, dokonanych przez PAN i KBN, 57 komitetów naukowych PAN wyraziło opinię na temat stanu kadry naukowej w danej dziedzinie. W jednym wypadku tylko, a mianowicie w oceanologii, stwierdzono dobry stan kadry i ciągłość pokoleń, natomiast w 56 wypadkach wystąpiły konstatacje na temat starzenia się kadry naukowej, braku napływu młodych adeptów nauki, wreszcie występowania wyraźnej luki pokoleniowej. Brak informacji na temat stanu kadry w pozostałych opracowaniach nie oznacza oczywiście, że występuje tam sytuacja korzystna kadrowo, lecz jedynie że autorzy nie poruszyli w swych rozważaniach tej kwestii. Nie ma więc podstaw do uznania, że sytuacja kadrowa jest tam lepsza.

Powyższe informacje na temat groźnej sytuacji w zakresie kadry naukowej w Polsce, jeżeli do tego dodamy wskazane wyżej restrykcje finansowe i nietrafne rozwiązania ustawodawcze, upoważniają chyba do twierdzenia o występowaniu poważnego kryzysu w nauce uprawianej obecnie w Polsce, kryzysu który musi zaciążyć na całym kraju na wiele lat. Chciałoby się szukać winnych tego kryzysu i w pierwszym

rzędzie wskazać na okres późnego PRL, gdy w latach 1976-89 z racji gospodarczych, a bardziej chyba politycznych, nauka była dziedziną podejrzaną, na którą łożenie pieniędzy nie wydawało się słuszne. Taka konstatacja jest tylko w części prawdziwa, ponieważ największe oszczędności na nauce i najmniejsze zainteresowanie jej sytuacją wystąpiło w dobie III Rzeczypospolitej, tj. po 1989 r. i od tych lat można o rzeczywistym kryzysie w nauce polskiej mówić.

Jest to zjawisko tym bardziej zastanawiające, że o ile w okresie późniejszego PRL nauka była wyraźnie po stronie opozycji, w III Rzeczypospolitej znalazła się licznie reprezentowana, i w Sejmie z Senatem, i w kolejnych rządach, i nic nie uzasadniałoby jej lekceważenia przez władze, jak też społeczeństwo, z mass mediami włącznie. Jest to tym większy błąd, że nasza nauka, obok kultury, była znacznie bliżej czołówki światowej aniżeli nasza gospodarka, administracja czy wojsko, nie mówiąc już o polityce, a także znacznie bliżej z czołówką światową współpracowała, była jej częścią.

Szukając przyczyn obojętnego stosunku do nauki władz i społeczeństwa III Rzeczypospolitej, jej niedoceniania, czy wręcz braku zainteresowania jej krytycznym położeniem, należy chyba rozpatrzyć szerszą sytuację polityczną i sposoby jej pojmowania. Wydaje się, że tak władze jak też społeczeństwo są zafascynowane krajami Zachodu, ich rozwojem, sukcesami, poziomem życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego i naukowego. Wyrazem tej fascynacji jest oczywiście chęć szybkiego znalezienia się w obrębie Unii Europejskiej i rozumując w sposób uproszczony, pójście w ślady innych krajów, jej członków. Naśladowanie to może mieć jednak dwojaki charakter, albo przejmowania gotowych wzorów i rozwiązań, bez silenia się, by uzyskać podobne własne wyniki, albo szukania dla siebie roli komplementarnej, uzupełniającej w stosunku do pozostałych krajów, roli partnera. Nie trzeba wykazywać, że to drugie rozwiązanie byłoby trudniejsze, ale chyba bardziej pożyteczne tak dla nas, jak dla pozostałych krajów Unii. W każdym razie przykładem zaniedbania, czy wręcz bezmyślności w tym zakresie może być nie tylko nauka, ale również nasze rolnictwo, które się spokojnie odpisuje na straty, zamiast przeprofilować jego produkcję i wykorzystać rezerwę rąk roboczych, uważaną za zbędną. Podobnie niefra-

sobliwy jest stosunek do sieci drożnej, która przecież ma służyć i nam, i potrzebom całej Europy, a którą się traktuje jako problem, od którego najlepiej uciec, mimo krwawego żniwa, które co roku przynoszą złe i wąskie drogi, żniwa rekordowego w skali europejskiej. W tej sytuacji można dojść do wniosku, że w praktyce politycznej naszych decydentów przeważa opcja satelity, a nie partnera w Unii Europejskiej, dostawcy tanich rąk do pracy, a nie twórczego myślenia. W każdym razie bez sprawnej i dobrej nauki roli partnera w Unii Europejskiej nie osiągniemy i z tego należy sobie zdawać sprawę.

Pozostaje wreszcie pytanie czy można liczyć na odwrócenie sytuacji, na poprawę stanu i roli nauki w Polsce, czy też cały wysiłek paru pokoleń polskich uczonych, którzy świadomie naukę tę tworzyli, należy bezpowrotnie spisać na straty. Nie ma wprawdzie sygnałów, że zmiana taka nadchodzi, ale warto przypomnieć dwa fakty, które świadczyłyby o możliwości zmiany stanowiska polityków wobec nauki. Pierwszy z nich to niemal jednomyślna uchwała Sejmu z października 1995 r. żądająca podniesienia finansowania szkół wyższych do poziomu 1,5% PKB, a badań naukowych do 1,0% PKB. Uchwała ta była zlekceważona przez mass media, ale zapadła przy zgodnym stanowisku wszystkich klubów parlamentarnych, koalicji i opozycji łącznie. Druga pozytywna decyzja, podobnie jak poprzednia nie zrealizowana, to postanowienie Rządu na temat priorytetów budżetowych na rok 1996. Ustalono wówczas, że priorytetem pierwszym będzie sprawa bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego państwa, natomiast na drugim miejscu w hierarchii ważności zadań budżetowych postawiono naukę. Zmiana gabinetu, jaka nastąpiła na przełomie 1995 i 1996 r., równała się zarzuceniu owych ustaleń o priorytetach.

Ratowanie naszej nauki – bo o to w tej chwili chodzi – poprzez jej wzmocnienie i zdynamizowanie, wymaga przede wszystkim racjonalnej, długofalowej polityki naukowej. Jak już podkreślaliśmy, doraźne preferencje typu tzw. priorytetów badawczych, czy to w zakresie uprzywilejowanych dyscyplin, czy wyposażenia w aparaturę, niczego nie załatwią. Jest to łatanie dziur w przykrótkiej kołdrze, dodawanie jednym by

odebrać drugim, wyraz chwilowej oceny, jeżeli nie skutek działania grup nacisku i przypadkowych iluzji. Polityka naukowa winna sięgać horyzontu 15-25 lat i dotyczyć całego kompleksu czynników składających się na tworzenie i funkcjonowanie nauki. Należy uwzględnić kształtowanie i doskonalenie kadry naukowej, a to poprzez warunki materialne jej działania (uposażenia, aparatura, lokale, materiały, książki, czasopisma), jak też nacisk na kierunki rozwojowe, które rokują najszybsze i najbardziej efektywne wyniki, a to w ramach rozeznania tendencji w nauce światowej, jak też naszego przygotowania do takiego uczestnictwa. Trzeba też wyważyć proporcje między badaniami podstawowymi, a stosowanymi, pamiętając o dwóch istotnych zasadach, a mianowicie że bez badań podstawowych nie ma stosowanych, bo nawet importując wyniki tych pierwszych zabraknie ich pogłębionej znajomości i dostrzeżenia perspektyw. Po drugie zaś badania podstawowe są częstokroć tak blisko związane ze stosowanymi, czego przykładem biochemia, że preferowanie jednych kosztem drugich jest nieporozumieniem.

Oczywiście wyliczanie takich „pobożnych życzeń" do niczego nie prowadzi, pełno ich w czasopismach, na spotkaniach i konferencjach, podczas gdy sytuacja nie ulega poprawie. W tym wypadku należy przede wszystkim zacząć od systematycznej odbudowy kadry naukowej i to poprzez działania dwukierunkowe. Po pierwsze trzeba stworzyć – o czym wszyscy wiemy – przyzwoite warunki płacy dla całości kadry naukowej, w tym wypadku takie, jakie nie będą powodować selekcji negatywnej przy napływie młodzieży do nauki. Nie chodzi tu o bardzo atrakcyjne stypendia, równe pensji profesorskiej, bo to nie przekonuje młodych, świadomych warunków pracy całej kadry naukowej. Chodzi więc o to, by dla młodych ludzi kariera naukowa przedstawiała się ciekawie pod względem intelektualnym i nie groziła klęską od strony materialnej.

Drugi warunek to intensywne kształcenie, możliwie urozmaicone intelektualnie, a zróżnicowane rzeczowo. Miejscem kształcenia pomiędzy magisterium a doktoratem może być macierzysta uczelnia czy placówka, ale pod warunkiem uczestniczenia w imprezach naukowych krajowych i zagranicznych, a nie zamykania się w obrębie katedry czy insty-

tutu. Promotorom należałoby przypominać, że oprócz doradzania i popędzania, warto zachęcić do studiów uzupełniających, chociażby w niewielkim zakresie, do poznania dyscyplin pokrewnych, bo postęp badawczy najszybszy i najbardziej interesujący odbywa się często na stykach różnych dyscyplin.

Doktorat jest momentem wejścia do kręgu nauki, do pewnego stopnia samodzielności intelektualnej – habilitację przecież robi się samemu – i ważne byłoby, aby na egzaminach doktorskich, w miejsce przypadkowo dołączanej ekonomii czy filozofii weszły elementy naukoznawstwa, pojmowane jako zarys teorii poznania i mechanizmów postępu wiedzy, aż po zasady organizacji nauki oraz współpracy krajowej i zagranicznej. Wiedza naszych uczonych w tym zakresie jest żenująca, a jeżeli nauka ma być samorządna, to trzeba by naukowcy ją znali i mogli być za nią odpowiedzialni. Należy się natomiast stanowczo zastrzec przeciw tendencjom traktowania doktoratu, jako momentu uzyskiwania pełnych kwalifikacji naukowych, postulatu likwidacji habilitacji. Nie łudźmy się – brak habilitacji przyspieszając karierę naukową nie oznacza bynajmniej wzrostu wiedzy i umiejętności, lecz przeciwnie, zgodę na masową kadrę „niedouczków", którym piękny tytuł profesorski nie zastąpi kwalifikacji. Tendencja ta, wprawdzie opatrzona powołaniami na zagraniczne przykłady, w gruncie rzeczy nawiązuje do podobnych awansów kwalifikacyjnych z 1953 i 1968 r., awansów o charakterze pozanaukowym, które sporo kłopotu przysporzyły naszej nauce. Lepiej chyba zająć się pomocą i ułatwieniami w zdobywaniu rzeczywistej wiedzy i umiejętności naukowych, drogą m.in. habilitacji, czego dotąd właściwie nie czyniono.

Okres pomiędzy doktoratem a habilitacją jest zwykle najtrudniejszy w karierze naukowej. Wprawdzie można by, jak wspomniano, obniżyć poprzeczkę likwidując habilitację, ale takie postępowanie w krajach, gdzie istnieje konkurencyjny rynek pracy naukowej jest dopuszczalne, u nas natomiast zdegradowałoby radykalnie poziom kwalifikacji w środowisku nauki. Było u nas przez wiele lat regułą, że po doktoracie starano się wyjechać na dłuższy pobyt stypendialny za granicę. Jest to zabieg niezbędny, ale nader utrudniony. Nie jesteśmy

już w świecie traktowani jako ofiary systemu, które trzeba koniecznie wspomagać. O stypendium jest więc trudniej i trzeba się liczyć również z potrzebą znalezienia w kraju środków na podobne wyjazdy, drogą bądź tworzenia bezpośredniego takich funduszy, bądź poprzez umowy wymienne z zagranicznymi partnerami, w obu wypadkach licząc się ze znacznymi kosztami. Są też inne drogi uzyskiwania środków na doskonalenie i współpracę z zagranicą, a mianowicie międzynarodowe konkursy stypendialne, czy praktyki naukowe, ale wiedza na ten temat na uczelniach czy w instytutach naukowych jest niewielka, a odpowiednich ośrodków informacyjnych brak.

Nie łudźmy się jednak, że wysłany na stypendium zagraniczne młody doktor wróci po roku z gotową pracą habilitacyjną. Po pierwsze obciążony zazwyczaj rodziną nie zawsze się zdecyduje na roczny czy dłuższy pobyt – chyba że niezwykle atrakcyjny finansowo. Ponadto jest sprawą bardzo istotną, by stypendysta za granicą czytał, obserwował, uczestniczył w nowych pracach badawczych, a nie pisał rozprawę siedząc zamknięty w pokoju hotelowym. Nie należy też w wypadku młodego naukowca zadawalać się jednym pobytem stypendialnym. Jeden dłuższy pobyt w dobrym ośrodku naukowym to raczej minimum, które należałoby uzupełnić następnymi, może krótszymi, w paru ciekawych ośrodkach zagranicznych.

Istnieje jednak na etapie habilitacji problem znalezienia spokojnego, dłuższego okresu, by przygotować rozprawę habilitacyjną – tak w sensie eksperymentalnym jak gromadzenia materiałów – a w obu wypadkach przetrawienia zgromadzonych obserwacji i pisania. W normalnym toku pracy na uczelni, adiunkt – w praktyce człowiek do wszystkiego, od ćwiczeń począwszy na wykładach kończąc – ze skromnym bilansem czasowym (rodzina, dorabianie) i nie wystarczającym warsztatem badawczym do dyspozycji, często kilkanaście lat biedzi się nad ukończeniem rozprawy i odbyciem przewodu habilitacyjnego. Wydaje się, że system stażów wymiennych i to 2-3 letnich w instytutach badawczych dobrej marki, czy to Akademii czy też resortowych byłby rozwiązaniem, które przyspieszyłoby i poprawiło poziom habilitacji. Składałby się na to odpowiedni warsztat naukowy i zaplecze

osobowe do fachowych rozważań i dyskusji, wreszcie odciążenie od pracochłonnych obowiązków dydaktycznych. Jednakże obecne zróżnicowanie statusu pracowniczego, uposażeń, a niekiedy skłócenie środowiskowe, praktycznie taką współpracę utrudniają, jeśli nie w ogóle wykluczają. Są to bariery do obalenia, ale jedynie w ramach całościowej, wspólnej polityki naukowej, a przyniosłyby wymierne korzyści w formie przyspieszenia dojrzewania naukowego, poznania przez młodego naukowca różnych środowisk badawczych, wreszcie zbliżenia części uczelnianej i instytutowej społeczności naukowej, tak uparcie rozdzielanej od lat.

W wypadku stażów pożyteczna byłaby symetria, a mianowicie wprowadzenie 2-3 letnich stażów, raczej już pohabilitacyjnych, odbywanych przez pracowników instytutów badawczych na uczelniach. Pracownicy ci zyskiwaliby na tym praktycznie (doświadczenie dydaktyczne) i intelektualnie, z racji konieczności rozszerzenia wiedzy w miejsce jej uprzedniego pogłębiania. Zyskiwałoby też środowisko uczelniane poprzez pojawienie się nowych postaci z bezpośrednimi doświadczeniami, wyniesionymi z warsztatu badawczego instytutu. Taki stażysta nie stanowiłby konkurencji dla kariery uczelnianej innych, a wnosił nowe pomysły i nową wiedzę do grona wykładowców.

Pozostaje wreszcie trzeci element tworzenia nowej kadry naukowej, a mianowicie starsi, doświadczeni profesorowie. Przypominamy, że według danych GUS w 1995 r. 60% tych uczonych miało 60 i więcej lat, co oznacza że w najbliższych paru latach odejdą oni z uczelni i placówek badawczych, będąc tylko w części zastąpieni przez młodszych, jako że w wieku 50-59 lat było wówczas jedynie 32% profesorów. Ze starą kadrą odchodzi natomiast nie tylko możliwość ich pracy naukowej, bo większość uczonych nie rezygnuje z udziału w badaniach po przejściu na emeryturę, tracimy natomiast doświadczenie badawcze, niezbędne do kierowania zespołem czy dla kształcenia młodych, doświadczenie bardzo trudne do zastąpienia. Nasz system emerytalny stara się konsekwentnie uniemożliwić dalsze kontynuowanie pracy naukowej, gdyż emerytura nie ma nic wspólnego z ilością lat i jakością wykonywanej pracy, a dawniej istniejące dodatki dla naukowców-emerytów skasowano, nie kasując oczywiście

podobnych przywilejów dla innych kategorii emerytów.

W praktyce pozostawienie profesorowi-emerytowi cząstki zatrudnienia jest nieracjonalne, bo 20-25% pensji profesorskiej koliduje już z emeryturą, a nie zapewnia minimalnego wykorzystania profesora na uczelni (seminarium, wykład). W takich wypadkach występują dwa rozwiązania, oba nie najlepsze. Albo traci się ważny i cenny potencjał naukowy, tak bardzo potrzebny wobec luki pokoleniowej, albo w pełni zatrudnia kontraktowo, z zawieszeniem emerytury. To drugie rozwiązanie ma tę wadę, że pochłania nadmiernie skromne fundusze uczelniane i w jakiś sposób blokuje awans młodszych. Najlepszym rozwiązaniem byłoby – jeśli nie sposób powrócić do odebranego dodatku na pracę naukową – uzyskanie formalnego prawa do zatrudnienia na 1/2 etatu profesorów-emerytów na okres przejściowy, z zachowaniem przez nich pełnych świadczeń emerytalnych. Takie rozwiązania stosuje się przecież w innych dziedzinach w kraju i zagranicą. Wówczas można by rzeczywiście wykorzystać siły intelektualne i doświadczenie starszych uczonych dla wychowania następców i dokończenia prac badawczych, bez marnowania istniejącego jeszcze potencjału naukowego. Byłoby to z korzyścią dla nauki – uczelni czy instytutu – jak również dla ZUS, który dostawałby składkę emerytalną z tytułu częściowego zatrudnienia.

Trudno zresztą wymienić wszystkie istniejące drogi dla odbudowy kadry naukowej, która się obecnie rozsypuje, jest zaś rzeczą oczywistą, że nie obejdzie się bez znacznego zwiększenia finansowania tak samych badań jak też szkolnictwa wyższego. To ostatnie wymaga zresztą wyczyszczenia strony finansowej, odejścia od pozorów bezpłatności, która okazuje się kosztowna i od płatności, która okazuje się mało warta. Podział na studia dzienne bezpłatne – choć nie zawsze – i inne płatne, na tej samej uczelni nie jest żadnym rozwiązaniem, a wprowadza niejasność, złą gospodarkę i wiele podejrzeń ze strony kształcących się, którzy widzą w tym po prostu niesprawiedliwość. Wydaje się, że byłoby najzdrowszym rozwiązaniem wprowadzenie wyraźnego podziału na uczelnie bezpłatne i płatne, te pierwsze państwowe, ale chyba nie wszystkie, te drugie pywatne czy sprywatyzowane. Jeżeli bezpłatne będą wymagały konkursowego egzaminu wstęp-

nego i prowadziły na studia naprawdę atrakcyjne i na wysokim poziomie, wówczas ten fakt będzie podnosił poziom nie tylko owych bezpłatnych uczelni, ale i pozostałych, bo ludzie nie będą skłonni płacić za znacznie gorsze studia.

Dobra uczelnia to nie tylko taka, która starannie wypełnia program i realizuje *pensum* dydaktyczno-naukowe. Dlatego bardzo niepokojące są takie zjawiska, jak „robienie stopni" naukowych, a nie prowadzenie badań, jak uzależnienie owych badań od otrzymania specjalnych funduszy z KBN itd. Rozdzielenie, jakie nastąpiło pomiędzy funkcjami dydaktycznymi uczelni (nauczyciele akademiccy) i naukowymi, a szczególnie osobne, z innych źródeł, ich finansowanie, jest na dłużą metę poważnym błędem. Osłabia to wielki potencjał naukowy szkół wyższych, oddzielając ich funkcję dydaktyczną od nauki. Pamiętajmy zaś, że nie ma dobrej uczelni bez prowadzenia badań naukowych i w normalnych krajach nie rozdziela się procesu dydaktycznego od naukowego uważając, że grozi to przynajmniej obniżeniem procesu dydaktycznego, jeśli nie w ogóle degradacją uczelni.

Zdajemy sobie sprawę, że przy niedofinansowaniu uczelni z budżetu MEN każda możliwość zdobycia dodatkowych funduszy, szczególnie z KBN – na badania i nie na badania – jest okazją, którą chce się zachować i o której to instytucji hojność się zabiega. Jest to jednak sytuacja groźna dla uczelni nie dlatego, że są to obce fundusze, a przecież bardzo pożyteczne, ale dlatego że rozbijają jedność zadań i funkcji szkoły wyższej. Po prostu te i nie tylko te pieniądze, które można uzyskać z KBN powinny być, i to zwielokrotnione, w budżecie uczelni jako całości, bo uczelnia musi odpowiadać za to, co się w niej dzieje i w zakresie dydaktyki, i badań oraz wiedzieć na co idą posiadane fundusze.

Paradoks z rozdzieleniem decyzji finansowych od odpowiedzialności za prowadzone za nie badania jest jeszcze bardziej wyraźny w wypadku instytutów badawczych i przytaczanych uprzednio krytycznych uwag nie należy tu powtarzać. Można tylko jedno stwierdzić jeszcze, a mianowicie, że coroczne, arbitralne i niekonsekwentne przydzielanie funduszy, i to w bardzo różnych formach i rozmiarach, zmusza do wycofywania się z trudnych i długofalowych zadań badawczych, dla których prowadzenia właśnie owe instytuty zostały

powołane. Owa niefrasobliwa niekonsekwencja w finansowaniu – a chodzi tu o zasadnicze, tzw. statutowe finansowanie, a nie o dofinansowywanie jak na uczelniach – obniża wartość badań prowadzonych w owych instytutach. Pozbawia to w praktyce całą naszą naukę możliwości podejmowania szerszych i bardziej ambitnych, długofalowych programów, realizowania tego co trudne i w warunkach uczelnianych nie jest do wykonania. Wydaje się czasem, że przydzielanie funduszy bardziej jest podporządkowywane zasadzie wzmocnienia władzy decyzyjnej, aniżeli myśleniu o dobru całej naszej nauki.

Komitet Badań Naukowych zdaje sobie oczywiście sprawę z niedostatecznego finansowania nauki, stara się więc co roku coś poprawić czy zmienić, aby ulepszyć działanie istniejącego systemu, ale przecież ta sama kwota czy w banknotach, czy podzielona w bilonie taką samą ma wartość. Obserwując przez parę lat tryb tworzenia i ustalania budżetu na Radzie Ministrów i w komisjach sejmowych nie można mieć złudzeń, że inne resorty zgodzą się oddać część swych udziałów w budżecie na rzecz KBN. Jedynym ratunkiem wydaje się decentralizacja funduszy na naukę, tak by Ministerstwo Edukacji Narodowej, Polska Akademia Nauk, Ministerstwo Obrony Narodowej, Ministerstwo Rolnictwa, Ministerstwo Zdrowia itd. musiały uzyskać czy wygospodarować w swoim budżecie pieniądze na badania i to właśnie na te, za które dany resort odpowiada. Wówczas zabezpieczenie odpowiednich kwot musiałoby nastąpić, skoro nie można by za ich istnienie obciążyć odpowiedzialnością kogo innego, w tym wypadku KBN i tam udawać się po potrzebne fundusze. Doświadczenie uczy, że wówczas pieniędzy znajdzie się znacznie więcej, bo centralizacja funduszy w KBN przynosi pożytek jedynie Ministerstwu Finansów.

Propozycja decentralizacji finansowania nauki nie jest jednoznaczna z postulatem likwidacji Komitetu Badań Naukowych. Mógłby on dalej działać jako dysponent funduszy na zadania i inwestycje naukowe ogólnokrajowe oraz wykonywać funkcje pomocy interwencyjnej w wypadku szczególnie ciekawych badań. Mógłby również czuwać nad realizacją ogólnej polityki naukowej, choć w tym wypadku trzeba się zastrzec przeciw szczegółowym planom i doraźnym

interwencjom. W naukach stosowanych pierwszy głos powinien należeć do korzystających – odpowiednich instytucji czy przedsiębiorstw – w naukach podstawowych do gremiów uczonych, bo kryteria celowości i efektywności takich badań są zbyt trudne, aby się dać podporządkować urzędnikom czy księgowym. Projekt decentralizacji wydaje się, że dojrzał do jego rozważenia i przeprowadzenia, a w tym wypadku inicjatywa winna wyjść właśnie od KBN, jako wyraz poczucia odpowiedzialności za finansowanie nauki. Trzeba się przy tym zastrzec przeciw opowiadaniom o nawrocie do nauki resortowej, bo takiej nie ma, nauka polska jest częścią światowej i nieracjonalna lub racjonalna polityka naukowa decyduje o istnieniu czy o braku wewnętrznych podziałów.

Ostatnim wreszcie warunkiem rozwoju czy nawet odbudowy nauki w Polsce byłoby jej dynamiczne ustawienie i funkcjonowanie. Obecnie, wbrew głoszonym priorytetom, raczej podtrzymuje się przy życiu naszą naukę, przesuwając drobne kwoty raz w jedną, raz w drugą stronę. Taka polityka wegetacji nie daje szans rozwoju, a bez rozwoju nie ma nauki. Brak rozwoju oznacza stagnację i szybkie cofanie się, bo nauka na świecie nie będzie na nas czekać. Czy już osiągnęliśmy taki stan – trudno powiedzieć, ale jesteśmy niebezpiecznie blisko niego i nawet przy znacznym zwiększeniu funduszy, może dojść na przykład do podwojenia uposażeń, ale nie do wyraźnego zwiększenia efektywności badań. Obecnie idą one jeszcze jak gdyby rozpędem czy pasją indywidualnych ludzi, ale jako system są często bliskie zatrzymania.

Jeden z naszych działaczy naukowych powtarzał ciągle o konieczności konkurencji w nauce, o *competition*, jak mówił. Tylko, że ta *competition* polegała głównie na przepychance przy kasie, a nie na lepszych wynikach badań, bo te nie zyskiwały odczuwalnych szans rozwoju i preferencji finansowych. Zresztą finansowanie ściśle powiązane z postępem badawczym jest trudne, ten ostatni bowiem można ocenić dopiero w skali kilkuletniej, a nie corocznie zmieniając kryteria ocen. Natomiast można świadomie tworzyć odpowiednie warunki i wymagać jak najlepszych wyników badawczych od zespołów, które potrafiły się już czymś wykazać i wykorzystać istniejące możliwości rozwoju. Pojawiło się w nauce światowej pojęcie *center of excellence*, czyli ośrodka doskonałego, a może

raczej dążącego do doskonałości, do tego by być najlepszym. Takie zaś placówki wymagają specjalnej troski i opieki nie tylko dlatego, że są dobre, czy nawet w pewnym zakresie najlepsze, ale przede wszystkim z tego względu, że swoim przykładem i swoimi sukcesami zachęcają innych do wysiłku, niejako uczą i zarażają innych swymi osiągnięciami. W tym więc wypadku mamy do czynienia z właściwą *competition*, gdy pasja czy ambicja naukowa skłania innych do intensywnej pracy, gdy całe środowisko naukowe pragnie osiągnąć sukcesy i nikt nie chce być gorszy od swoich kolegów.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nie każdy uczony, nie każdy zespół badawczy, nie każda katedra czy instytut mają szansę stać się „ośrodkiem doskonałości", a przynajmniej ośrodkiem wyróżniających się badań. Na to trzeba i talentu, i doświadczenia, i zaplecza aparaturowego, bibliotecznego, nawet intelektualnego w formie dyskusji, krytyki, refleksji. Niewątpliwie większą szansę stania się takimi ośrodkami mają zespoły badawcze, które już osiągnęły wysoki poziom i dlatego należy je dalej wspierać, aby były najlepsze oraz torowały drogę do lepszych wyników innym i tego rodzaju preferencje są opłacalne.

Nauka jest jednak zjawiskiem międzynarodowym i takie pojęcie jak nauka polska jest umowne – choć wszyscy wiemy co znaczy – i doskonałość naukowa w kraju nie musi być czymś szczególnie cennym w skali międzynarodowej. Takie ostrożne zastrzeżenie nie zmienia ważności poprzedniego postulatu, tj. dążenia do podniesienia poziomu naszej nauki, do zdynamizowania jej działań, a to poprzez wspieranie najlepszych zespołów jako wzorów i zachęty dla innych. Bez tych osiągnięć bowiem dystans pomiędzy naszą nauką a czołówką światową, jeszcze nie tak wielki, będzie się stale powiększał, a to już jest dowodem kryzysu.

Są zresztą dziedziny, w których nie jesteśmy tak bardzo odlegli od standardów światowych, choć nie byłbym skłonny zaryzykować wskazywania w tej chwili – trudnej dla naszej nauki – tych dyscyplin spośród nauk ścisłych czy przyrodniczych, które liczą się w świecie. W tym momencie może lepiej wskazać na możliwości badawcze, jakie przed nami otworzyły się w ostatnich latach, a w małym stopniu zostały wykorzystane i które piszącemu są bliższe, a mianowicie wskazać

na interdyscyplinarne badania nad procesami transformacji.

Proces transformacji, w tym wypadku przejścia od komunizmu czy tzw. realnego socjalizmu do demokracji i kapitalizmu, czy jak kto woli gospodarki rynkowej, okazał się bardzo trudny. Wbrew oczekiwaniom niektórych ekonomistów, socjologów, prawników, psychologów czy politologów, jest on bardziej skomplikowany niż to zapisano we wcześniejszych obserwacjach i ustaleniach badawczych. Oczywiście można poprzez arbitralne decyzje polityczne proces ten realizować w formie uproszczonej, ale koszty gospodarcze, społeczne i polityczne mogą być nadmierne, przekraczać cierpliwość i zrozumienie u ludności, a nie prowadzić do zamierzonych celów. A jest to jednocześnie wielka okazja naukowa, możliwość prowadzenia badań na żywym procesie przekształceń gospodarczych, społecznych, politycznych itd. Jest to rzadka okazja do weryfikacji dotychczasowych ustaleń i osiągnięć w różnych dziedzinach nauk społecznych, wzbogacenia ich o nowe obserwacje i wnioski, oczyszczenia z uproszczonych sformułowań i wątpliwych ustaleń. Taka szansa badawcza zdarza się wyjątkowo, a jednocześnie istnieje szczególna potrzeba pomocy ze strony nauki, pomocy dla polityków-decydentów, specjalnie tych, którzy łączą troskę z poczuciem odpowiedzialności za formułowanie programów i za ich realizację. Chodzi też o pomoc dla przebudowy państwa, gospodarki, społeczeństwa, wreszcie naszego sposobu myślenia, który wciąż jeszcze nie jest wolny od obciążeń poprzedniego okresu. Proces transformacji nie jest zjawiskiem specyficznie polskim, a jako przedmiot badań powinien interesować przedstawicieli nauk społecznych wielu krajów. Jednakże w takim wypadku szansa rozbudowy naszych badań, wejścia ich do czołówki światowej, byłaby ułatwiona. Jest to przykład możliwości tkwiących w naszej nauce, jeżeli damy jej szanse rozwoju.

Przykłady podobne marnowania możliwości, jakie dawać nam może nauka, można by mnożyć. Jednakże celem obecnego tekstu jest nie biadolenie, lecz szukanie wyjścia z kryzysowej sytuacji, w jakiej znalazła się nauka w Polsce. Można by się przy tym zastanawiać, czy wyjście takie jest w ogóle możliwe, ale wiemy, że rezygnacja nigdy żadnego

problemu nie zdoła rozwiązać. Powyżej zamieszczone sugestie nie stanowią oczywiście *panaceum* na wszystkie braki i trudności naszej nauki, ale jakieś drogi wyjścia wskazują i jest szansa, że w ramach dalszych rozważań i dyskusji drogi wyjścia ulegną weryfikacji i rozbudowie. Można zresztą zasygnalizować ostatnio pewne zjawisko pozytywne w obrębie samego środowiska naukowego. Pojawiają się głosy nawołujące do zaprzestania kłótni, do współdziałania na rzecz nauki i jej wydobycia z kryzysu. Nie docierają one wprawdzie jeszcze do polityków-decydentów, ale może i do nich da się dotrzeć i ich przekonać, co niektórzy uczeni niegdyś czynili, lecz nie znalazło to kontynuatorów. Działać zaś trzeba i to już teraz, bo każdy dzień może tylko pogorszyć sytuację i utrudnić przyszłe działania. Dlatego powyższy tekst krytyczny, a nie oskarżycielski, pomyślany jako punkt wyjścia do wysuwania racjonalnych postulatów, być może stanie się pomocą dla przyszłej wspólnej akcji na rzecz naszej nauki.

Andrzej WYCZAŃSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie.

Rola edukacji w kształtowaniu przyszłości Polski*

1. Najważniejszym elementem systemu edukacji narodowej jest nauczyciel. Jak dotychczas część kadry nauczycielskiej jest produktem długookresowej negatywnej selekcji, spowodowanej m.in. niskim poziomem płac i niskim poziomem wymagań.

Radykalne podniesienie wynagrodzeń możliwe jest tylko jednocześnie z podniesieniem wymagań, a podwyżki te powinny być realizowane w sposób selektywny, a nie powszechny, głównie w stosunku do kadry podnoszącej swoje kwalifikacje oraz napływającej do zawodu.

Radykalne podniesienie wynagrodzeń oraz wymagań powinno zapewnić odmłodzenie kadry nauczającej.

Równocześnie potrzebny jest program stałego i systematycznego odnawiania zasobów wiedzy kadry nauczycielskiej.

2. Potrzebna jest prawdziwa rewolucja programowa. Jej istotą musi być przejście od systemu opartego jak dotychczas na zasadzie posłuszeństwa i dyscypliny do systemu opartego na przygotowaniu jednostki do kierowania własnym życiem na zasadzie odpowiedzialności za własne działania i postawy.

To zaś zakłada konieczność nabycia przez nauczycieli umiejętności rozwijania „innowacyjnych indywidualności" poprzez odpowiednie programy i metody nauczania. Należy to traktować jako sprawę kluczową i warunek sukcesu.

Zapewnienie możliwości poruszania się na scenie europejskiej wymaga m.in. znajomości co najmniej jednego języka obcego do roku 2010, a dwóch do roku 2020. Jest to zgodne

* Streszczenie Memoriału Komitetu Prognoz „Polska w XXI wieku" PAN.

z już przyjętym postulatem Unii, że w XXI wieku cała młodzież europejska powinna opanować dwa języki obce.

W sposób zasadniczy powinna wzrastać rola szkoły w dziedzinie kultury. Bo właśnie szkoła musi przeciwdziałać niebezpiecznym tendencjom do „macdonaldyzacji" polskiej kultury oraz zapewniać zachowanie tożsamości narodowej. Dlatego potrzebne jest włączenie do edukacji uczonych, a także członków towarzystw naukowych, przedstawicieli różnych dziedzin sztuki, wychodząc z założenia, że edukacja jest sprawą wszystkich. Uczeń powinien nie tylko wiedzieć, „że" ale i „jak" i „dlaczego". Należy podjąć pracę nad skoordynowaniem i współudziałem wszystkich tych instytucji i organizacji.

Nowoczesna szkoła musi być nie tylko skuteczna w zapewnieniu wiedzy, ale musi być też atrakcyjna. Oznacza to konieczność różnicowania programów dla uwzględnienia specyficznych zainteresowań dzieci. Zakłada to dostrzeganie indywidualnych predyspozycji ucznia i stwarzanie mu możliwości znalezienia w szkole takich form działalności, poza nabywaniem wiedzy, aby mogły one znaleźć swą realizację. Programy muszą być w tym celu znacznie odciążone z treści pamięciowych i abstrakcyjno-teoretycznych na korzyść nie tylko umiejętności praktycznych, lecz także samodzielnych prac i projektów. Nauczyciel powinien być przy tym przewodnikiem, konsultantem i doradcą w procesie samo-edukacji.

3. Przejście do społeczeństwa informacyjnego wymaga uzbrojenia szkół w narzędzia techniczne temu służące oraz zapewnienia wiedzy o wykorzystaniu nowoczesnych środków i technik multimedialnych nie tylko wśród uczniów i nauczycieli, ale w całym społeczeństwie. Chodzi przy tym nie tylko o umiejętność posługiwania się komputerem i środkami komunikacji multimedialnej, ale także o ich zrozumienie.

Do roku 2005 każda szkoła w miastach powinna mieć pracownię komputerową, a do roku 2010 dostęp do internetu. Do końca pierwszej dekady XXI wieku, każdy absolwent szkoły średniej powinien opanować technikę użytkowania komputera i komunikacji multimedialnej, łącznie z elementami programowania komputerów. Będzie to wymagać zasadniczego poszerzenia kształcenia matematycznego oraz upowszechnienia tej wiedzy w społeczeństwie, a więc wzrostu matematyzacji społeczeństwa.

4. Trzeba sobie zdawać sprawę z faktu, że realizacja reformy nie jest możliwa tylko w oparciu o już istniejącą sieć

szkół. Konieczne będą zasadnicze zmiany w przestrzennym rozmieszczeniu szkół i placówek oświatowych. Również i w tworzeniu szkół wyższych potrzebny jest przestrzenny podział zadań i kierunków kształcenia uwzględniających struktury i tendencje rozwojowe regionów.

5. W świetle tych rosnących zadań bardzo rozważnego podejścia wymaga określenie roli państwa w tej dziedzinie. Odmiennie niż w innych dziedzinach państwo we wszystkich krajach, nawet o gospodarce najbardziej liberalnej, takich jak USA, zachowuje kluczową rolę w systemie edukacji. Niezależnie od obowiązków jednostki państwo ponosi odpowiedzialność za stan kwalifikacji ogółu swych obywateli. W tych warunkach wszelkie nieprzemyślane wyzbywanie się tej odpowiedzialności może okazać się tendencją niepokojącą.

Dlatego wypowiadamy się przeciwko przerzucaniu wszystkiego na grę rynkową oraz marginesowemu traktowaniu społecznych zobowiązań i odpowiedzialności państwa w tej dziedzinie oraz zbyt jednostronnemu dostosowaniu do reguł gospodarki rynkowej. Stąd uważamy za wątpliwą koncepcję bonów oświatowych i podobnych inicjatyw, które do tego zmierzają.

Akceptując stopniowo różnicowanie się poziomów wykształcenia, co jest nieuchronną konsekwencją gospodarki rynkowej, uważamy jednak, że musi temu towarzyszyć zapewnienie równych szans w szkolnictwie podstawowym różnicując stopniowo poziomy wykształcenia, dopiero na wyższych szczeblach edukacji.

6. Z tego punktu widzenia kluczową rolę odgrywa funkcjonowanie systemu edukacji na wsi. Decyduje to bowiem o poziomie wykształcenia 38% ludności Polski. Pomoc finansowa i instytucjonalna państwa jest tu niezbędna. Dlatego uważamy, że musi być odbudowana pomoc dla ludności wsi w kształceniu dzieci i młodzieży w formach bardziej przemyślanych i rozumnych oraz bardziej dostosowanych do nowych warunków.

Za jedno z najważniejszych zadań w tym zakresie uważamy objęcie dzieci z regionów objętych obecnie depresją społeczną, zwłaszcza w osiedlach postpegeerowskich, szkołami specjalnie dostosowanymi do tego celu.

Aby nie dopuścić do zwiększenia dystansu w szkolnictwie wiejskim w ciągu najpóźniej 10 lat musimy zapewnić pracownie komputerowe każdej pełnej szkole podstawowej.

7. Niepokoić musi brak, a właściwie chaos w dziedzinie

badań naukowych, niezbędnych dla przeprowadzenia tak głębokiej reformy edukacji. Tylko jednym z przykładów może być brak odpowiednich badań nad ekonomiką edukacji, który stanowi białą plamę w naukach edukacyjnych.

Uważamy, że nie tylko w systemie edukacji, ale w ogóle nie może być dobrego poziomu kształcenia na poziomie wyższym bez powiązania tego kształcenia z badaniami.

8. Stwierdzamy zupełny brak bardziej przemyślanej i dynamicznej polityki wymiany uczniów i studentów z zagranicą. Nasze rozmiary kształcenia zagranicą są wręcz znikome w stosunku do naszych sąsiadów, nawet mniejsze niż w takich krajach jak Ukraina. Zbyt mało obcokrajowców kształci się też w naszych szkołach wyższych.

9. Ogromną rolę przypisujemy rodzinom, a w szczególności matkom w kształtowaniu postaw i zainteresowań edukacyjnych dzieci w okresie przedszkolnym i kształcenia podstawowego. Trzeba popularyzować znaczenie tej roli matek, zapewniając im odpowiednie poradnictwo i wsparcie.

Należy też przeciwstawić się likwidacji klas zerowych w szkołach podstawowych, zwłaszcza na wsi, co obecnie ma miejsce z przyczyn oszczędnościowych.

10. Za sprawę pilną uważamy przezwyciężenie i eliminowanie obecnych antyedukacyjnych postaw naszych środków masowego przekazu, zwłaszcza szczególnie nagannej pod tym względem telewizji.

Wszystkich tych problemów nie rozwiążemy jeżeli dopuścimy do nadmiernej dekoncentracji środków. Dlatego istnieje konieczność przyjęcia określonej strategii rozwiązywania tych problemów, a więc ustalenia najwyższych priorytetów i kolejności działania.

Uważamy w świetle powyższej analizy za najważniejsze dokonanie już w najbliższych latach do roku 2000 odczuwalnego postępu w dwóch dziedzinach, które odgrywają kluczową rolę w powodzeniu reformy, a mianowicie:

1) rozszerzenia zasięgu kształcenia średniego, kończonego maturą, co wymagać będzie zwiększenia nakładów na szkolnictwo ogólnokształcące w ramach ogólnego zwiększenia wydatków na oświatę.

2) zmiany w szkolnictwie wyższym w taki sposób, aby zapewnić pierwszeństwo dla kształcenia kadry dla szkół średnich i wyższych.

Zdajemy sobie sprawę, że wdrożenie tych propozycji wymagać będzie wielkich środków i zasadniczego zwiększenia wydatków na szkoły.

Nie należy więc ukrywać przed opinią publiczną faktu, że przeprowadzenie reformy edukacji narodowej jest niemożliwe bez zasadniczego zwiększenia wydatków gospodarstw domowych na ten cel.

Jednakże samo zwiększenie tych wydatków w rodzinie byłoby niewystarczające, zwłaszcza w warunkach szerokiego zubożenia wielu rodzin. Dlatego musi z tym iść w parze zasadnicze zwiększenie nakładów na ten cel państwa i to już obecnie, a nie dopiero za kilka lat. Jakościowego postępu należy dokonać w tej dziedzinie już w latach 1998-2000. Musi temu towarzyszyć równocześnie opracowanie odpowiedniego systemu kredytów dla kształcącej się młodzieży.

Nie wykluczamy też potrzeby utworzenia Narodowego Funduszu Rozwoju i Modernizacji Edukacji.

Uważamy, że nasze społeczeństwo zrozumie konieczność zwiększenia wysiłku edukacyjnego. Jak to bowiem już wielokrotnie przedstawialiśmy w kolejnych raportach Komitetu „inwestycje w człowieka" są najbardziej opłacalnym rodzajem inwestycji dla społeczeństwa. Są bowiem naszą wspólną inwestycją w przyszłość. Może ona być lepsza tylko wtedy, jeżeli podejmie jej realizację pokolenie lepiej do przyszłości przygotowane. Nasze wspólne narodowe zadanie to sprostanie wymaganiom przyszłości i zajęcie godnego miejsca w komplikującym się świecie, stwarzającym nowe szanse, ale i nowe zagrożenia.

Dlatego sprawa podniesienia poziomu wykształcenia i kwalifikacji naszego społeczeństwa powinna być przedmiotem powszechnej narodowej zgody ponad podziałami partyjnymi i politycznymi.

Warszawa, 14 listopada 1997

Leszek KUŹNICKI
w imieniu
Komitetu Prognoz „Polska w XXI wieku"
Polskiej Akademii Nauk

Spory o państwo

Książę Kropotkin uważał, że ludzie są dobrzy, a źródłem zła są wielkie instytucje, w tym przede wszystkim państwo. Pod koniec swojego życia, po 1917 roku, Kropotkin powrócił do Rosji, żeby w ciągu kilku miesięcy dojść do wniosku, że bolszewicy pokazali jak nie należy robić rewolucji. W komunizmie idea obumierania państwa oznaczała najpierw przejmowanie aparatu państwowego przez partię, a następnie rozszerzanie działania państwa na wszystkie dziedziny życia. W efekcie państwowym funkcjonariuszem był zarówno sprzedawca w budce z piwem jak i babka klozetowa. Komunizm upadł i mogłoby się wydawać, że mamy do czynienia z trendem odwrotnym – obumierania państwa na łonie wolnego rynku, którego niewidzialna ręka zastąpić ma tabuny niekompetentnych urzędników. Zabawne, bo kilkakrotnie już widziałem próby przywoływania księcia Kropotkina na wsparcie owych wysiłków zmierzających do radykalnego ograniczenia roli państwa.

Właśnie otrzymałem od redaktora Giedroycia ostatni memoriał Komitetu Prognoz „Polska w XXI wieku" przy Polskiej Akademii Nauk. Memoriał ten otwiera następujące zdanie: „Nie tylko w naszym kraju, ale na całym świecie ewolucja współczesnego państwa i jego roli w gospodarce stoi w centrum uwagi opinii publicznej i jest przedmiotem intensywnych studiów naukowych." Autorzy stwierdzają autorytatywnie, że nie sprawdziły się prognozy o zmniejszaniu się roli państwa w procesie podziału dochodu narodowego. „Zamiast przewidywanego w połowie lat 80-tych, spadku udziału wydatków państwa w PKB, udział ten w krajach

wysoko rozwiniętych, zrzeszonych w OECD, ogólnie biorąc wzrósł z 29% PKB w roku 1960 i 43% w 1980 r. do 46% u progu lat 90-tych i 48% w 1997 r." Ocena tego zjawiska nie jest bynajmniej prosta. Zarówno Stany Zjednoczone jak i kraje zrzeszone w Unii Europejskiej zdołały w ostatnich latach radykalnie zmniejszyć swoje deficyty budżetowe. Nadal obowiązuje filozofia raczej zmniejszania niż zwiększania obciążeń podatkowych, postępuje proces prywatyzacji, a więc zmniejszania się obszarów własności państwowej, wszystkie państwa rozwinięte (i nie tylko) dokonują radykalnych cięć w swoich wydatkach budżetowych i cięcia te obejmują obszary uważane dotychczas za nietykalne, a więc nakłady na obronę, opiekę zdrowotną, szkolnictwo, wydatki na opiekę socjalną. Podejrzliwi wobec statystyk autorzy twierdzą, że redukcje podatkowe koncentrują się na podatkach od dochodów osobistych, równocześnie jednak głównym źródłem dochodów państwa stają się podatki pośrednie. W efekcie, mamy do czynienia nie tyle ze zmniejszaniem obciążeń, co z radykalną zmianą struktury systemów podatkowych.

Od lat w wielu krajach zachodnich rosło zaniepokojenie polityków z powodu permanentnego deficytu w budżecie państwa. W Stanach Zjednoczonych w okresie prezydentury Ronalda Reagana ten deficyt się potroił. Zadłużenie państwa wzrosło z 995 miliardów do 2,9 biliona dolarów. Administracja, która postawiła sobie za cel ograniczenie obciążeń podatkowych i ograniczenie wydatków państwa równocześnie, zmniejszyła obciążenia, ale nie zdołała zmniejszyć wydatków. Przejmując władzę prezydent Bush zaklinał się, że nie będzie wzrostu podatków. Okazało się to niewykonalne. Upadek komunizmu pozwolił na redukcję nakładów na zbrojenia, ale recesja pociągała za sobą nieunikniony wzrost nakładów na opiekę społeczną. Podczas gdy w 1989 roku amerykański deficyt budżetowy wynosił 152 miliardy, w 1990 podskoczył do rekordowej sumy 290 miliardów dolarów. Fakt, że w krajach najbardziej rozwiniętych wtórnie dzielona część dochodu narodowego ma nadal tendencję rosnącą, w żaden sposób nie oznacza, że jest to zjawisko pozytywne. Spór o charakter, kierunek i tempo ewolucji państwa w krajach zachodnich nie jest już sporem między zwolennikami dalszego rozszerzania państwowej działalności gospodarczej i socjalnej, a raczej

między zwolennikami różnych strategii ograniczania funkcji państwa, tak w życiu gospodarczym jak i w jego funkcjach opiekuńczych.

Niedawno ukazała się książka Daniela Yergina i Josepha Stanislawa, która jest próbą ukazania ewolucji poglądów na temat roli państwa w skali światowej. Tytuł tej książki – „The Commanding Heights" nawiązuje do przemówienia Lenina na IV zjeździe KPZR, kiedy to decydując się na tzw. nową politykę ekonomiczną, a więc na zwrot w kierunku rynku, Lenin gwarantował, że kluczowe pozycje pozostaną w rękach państwa. Czym są owe kluczowe pozycje i co właściwie może i powinno pozostać w rękach państwa? Podtytuł tej książki budzi pewien sprzeciw: „Bitwa między rządem a rynkiem zmienia współczesny świat." Autorzy wspomnianego wcześniej memoriału Komitetu Prognoz PAN piszą, że współczesne państwo w coraz większym stopniu przejmuje na siebie rolę inicjatora i promotora działań na rzecz rozwijania innowacyjności i podnoszenia konkurencyjności przedsiębiorstw swojego kraju... co więcej, to właśnie rządy podejmują polityczne decyzje o reformach mających zwiększyć rolę rynku. Czasem wyborcy świadomie powierzają władzę politykom, od których oczekują reform rynkowych, czasem jednak podobne reformy podejmują rządy autorytarne, często wbrew opinii społeczeństwa obawiającego się, że niewidzialna ręka rynku okaże się ręką gangstera. To ostatnie określenie użyte zostało kilka lat temu przez Jana Olszewskiego, kiedy pełnił on funkcję premiera. Wywołało ono niesłychanie ostrą reakcję Leszka Balcerowicza i obserwatorzy mogli mieć wrażenie, że do dyskusji o gospodarce wkradła się atmosfera sporów o symbole religijne. Oczywiście Leszek Balcerowicz doskonale zna przykłady sytuacji, kiedy wolny rynek zostaje zdominowany przez elementy przestępcze, a co więcej, nie zamierzał twierdzić, że wyłaniający się w Polsce sektor prywatny wolny jest od wszelkiej nieuczciwości. Oburzająca dla niego była nazbyt szeroka generalizacja, zakwestionowanie „świętej" zasady zbawiennego oddziaływania „niewidzialnej ręki rynku". Wkraczamy tu w odwieczny już spór między przeciwnikami systemów opartych na pańszczyźnie i zniewoleniu z jednej strony oraz przeciwnikami systemów odwołujących się do egoizmu i prawa silniejszego z drugiej. Możemy tu powracać do sporu między

Atenami i Spartą, do zwolenników reformacji i Thomasa Morusa, do wojny domowej w Stanach Zjednoczonych, czy wreszcie możemy się zatrzymać przy sporze między Keynesem i Hayekiem. Yergin i Stanislaw rozpoczynają swoją książkę od prezentacji postaw dominujących wśród ekonomistów i polityków w momencie zakończenia II wojny światowej. Zdecydowana większość ówczesnych polityków była głęboko przekonana, że rynek się nie sprawdził, że kapitalizm jest skompromitowany i że jedyną szansą dalszego rozwoju i obrony przed systemami totalitarnymi jest poszukiwanie jakiejś drogi pośredniej między dyktaturą polityczną i całkowitą dominacją państwa w życiu gospodarczym a wolnym rynkiem. Źródłem tych postaw były doświadczenia wielkiej depresji, amerykańskiego New Deal, lęk i podziw wobec tempa w jakim Niemcy hitlerowskie odbudowały przed wojną swoją gospodarkę i potencjał militarny, przekonanie o niebywałym wręcz tempie rozwoju gospodarki sowieckiej. W powszechnym wówczas odczuciu kapitalizm odszedł bezpowrotnie w przeszłość podobnie jak wcześniej odeszło niewolnictwo i feudalizm. Przez kolejne trzydzieści lat świat otrzymywał dowody słuszności tego odwrotu od wolnego rynku. Strategiczne dziedziny przemysłu i usług pozostawały w rękach państwa, gwarantując stały rozwój infrastruktury dla całej gospodarki, sprawny rozwój usług transportowych i komunalnych, rewolucjonizując dotychczasowy sytem opieki zdrowotnej i oświaty. Pierwsze nacjonalizacje w krajach zachodnich zostały znacznie wcześniej skwitowane przez Lenina stwierdzeniem, że kapitaliści nacjonalizują swoje straty. W krajach zachodnich określano to inaczej: tam gdzie w grę wchodzi interes publiczny nie wolno kierować się samym zyskiem. Powojenna nacjonalizacja strategicznych dziedzin przemysłu była motorem ich modernizacji, na modernizację kierowano nie tylko znacznie większą niż dawniej część zysku ale i subwencje państwowe. Nacjonalizacja prowadziła również do uporządkowania stosunków między pracą i kapitałem, do wzrostu płac, którego rezultatem był natychmiastowy wzrost popytu tak na produkty wytwarzane przez przemysł państwowy jak i prywatny. Haracz płacony przez przemysł w postaci większych płac i coraz wyższych podatków wydawał się niemal natychmiast zwracać w postaci nowych zysków na rozszerzających się

rynkach zbytu. Państwowy interwencjonizm regulował, wzmacniał i rozszerzał rynek zgodnie z teoretycznymi przewidywaniami Johna Maynarda Keynesa. Gdzie zatem i kiedy pojawił się próg skuteczności tej formuły i czy gospodarka mieszana była w różnych krajach mieszana wedle tej samej recepty? Większość autorów przede wszystkim zwraca uwagę na różnice w podejściu do interwencjonizmu państwowego w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej. W Stanach nacjonalizacja miała minimalny zakres, interwencjonizm przyjął przede wszystkim formę regulacji, częściowej akceptacji nadzorowanych przez państwo monopoli oraz systemu subwencji. Najrozleglejszy i najbardziej dziś krytykowany fragment tej działalności to ochrona i subwencjonowanie rodzimego rolnictwa. Amerykański interwencjonizm w rolnictwie, zapoczątkowany w swej nowoczesnej formie w połowie lat trzydziestych, nie tylko nie hamował modernizacji, ale w ciągu kilku lat doprowadził do tego, że rolnictwo amerykańskie stało się najbardziej wydajne na świecie, co bez wątpienia okazało się jednym z rozstrzygających czynników podczas II wojny światowej. Również po tej wojnie amerykańskie transporty żywności miały decydujący wpływ zarówno na walkę o rząd dusz w Europie jak i na utrwalanie amerykańskiej dominacji gospodarczej w świecie. Jest rzeczą niesłychanie interesującą, że Daniel Yergin i Joseph Stanislaw całkowicie pomijają w swojej książce historię interwencjonizmu w rolnictwie tak w USA i w Europie Zachodniej, jak i w relacjach na temat Japonii czy Taiwanu. Autorzy piszą o znaczeniu rozpoczęcia reform rynkowych od rolnictwa w Chinach, ale ponownie przemilczają niepowodzenia reform w rolnictwie w Rosji oraz w Ameryce Południowej. Może dlatego właśnie nie zauważyli, że naprawdę działający wolny rynek pojawił się tylko w tych krajach, w których ze stosunków między producentami żywności a miastem udało się wykorzenić wszelkie pozostałości feudalizmu. Obecna (z reguły uzasadniona) krytyka polityki rolnej państw najbardziej rozwiniętych jest niemal zawsze ahistoryczna i całkowicie pomija znaczenie tej polityki dla rozwoju wolnego handlu. Interwencjonizm, który zmierzał do eliminacji sprzecznej z zasadami wolnego rynku dyskryminacji jednej grupy producentów, do czasów Wspólnej Polityki Rolnej

EWG wzmacniał działanie wolnego rynku w granicach jednego państwa, ale prowadził do ograniczenia wolnego handlu na arenie międzynarodowej. Obserwując jednak najnowszą historię gospodarczą świata, widzimy, że trudna droga do klubu państw najbardziej rozwiniętych połączona była nieodmiennie z kontrolowanym i chronionym przejściem rolnictwa do gospodarki rynkowej. Podstawowe dzieło Friedricha von Hayeka, które jest dziś biblią liberałów, nosi tytuł „Droga do pańszczyzny". Interwencjonizm w rolnictwie pomagał zlikwidować pozostałości starej pańszczyzny i tam gdzie był on skuteczny, był również głównym czynnikiem powodującym, że rolnictwo uzyskało sprawność pozwalającą na działanie w ramach wolnego rynku. (Co nie oznacza, że jego wyjęcie spod tej ochrony jest zadaniem technicznie i politycznie łatwym.)

„The Commanding Heights" to obszerny zbiór w gruncie rzeczy dość pobieżnych, chociaż barwnych i interesujących relacji o nawróceniach na wolnorynkowe wyznanie wiary. Jest to swoisty panegiryk na cześć chicagowskiej szkoły ekonomicznej. Nie po raz pierwszy doraźny uniwersalizm i religijne podejście do teorii ekonomicznych osłabia rynek idei. Dyktatura mody bywa czasem równie bezwzględna jak dyktatura polityczna. Autorzy powinni zdawać sobie z tego sprawę opisując jak w latach czterdziestych żaden liczący się zachodni ekonomista nie traktował poważnie pism Friedricha von Hayeka w głębokim przekonaniu, że jest on przedstawicielem ariergardy odchodzącego świata. Argumenty Hayeka nabrały nowej siły dopiero kiedy wyczerpała się skuteczność praktyki opartej na teorii Keynesa. Próg tej skuteczności jest trudny do uchwycenia, w szczególności kiedy stawiamy w jednym szeregu politykę, rządu brytyjskiego po roku 1945 i politykę Nehru w Indiach, gospodarkę nakazową w krajach komunistycznych i próby planowania rozwoju gospodarczego w krajach takich jak Francja. We wszystkich tych przypadkach mieliśmy do czynienia z praktyką krępowania niewidzialnej ręki rynku pod hasłem zwalczania egoistycznych, aspołecznych zachowań, ale i zakres tych działań był różny i końcowe efekty niezupełnie takie same. W krajach zachodnich, w których siła oddziaływania ideologii w polityce była słabsza, a skłonność do pragmatyzmu zdecydowanie większa, rozszerzanie roli państwa było nie tylko wolniejsze, ale i połączone

ze świadomością, że nadmierna ilość interwencji na rynku może prowadzić do popsucia pieniądza. Poszukiwano tu formuły „społecznej gospodarki rynkowej" (sformułowanie wylansowane przez Ludwiga Erharda), która zachowałaby innowacyjność i prężność rynku, łącząc ją z ochroną obywatela przed ekonomicznym gangsterstwem. Nowa misja państwa wyrastała na traumie po wielkiej depresji, państwo miało chronić społeczeństwo przed patologiami rynku, przed gwałtownymi załamaniami systemu finansowego, przed dramatem bezrobocia, przed paraliżującymi życie publiczne konfliktami między pracą i kapitałem. Z inicjatywy Keynesa te próby stabilizacji rynku wykroczyły poza ramy państwowe i jeszcze w latach czterdziestych doprowadziły do utworzenia Światowego Banku i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Na tym etapie myślano o państwie przede wszystkim jako o wielkim Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Państwo miało uwolnić nas od paraliżującego lęku przed przyszłością i tym samym wyzwolić naszą energię. Funkcjonariusze państwowi mieli poczucie misji. W latach czterdziestych w krajach zachodnich stanowili oni nadal zaledwie ułamek siły roboczej. Byli elitą i czuli się elitą tych krajów i to niezależnie, czy mowa tu o urzędnikach państwowych, o nauczycielach, pracownikach poczt, czy kolejarzach. Dopiero niebywały rozrost sektora publicznego, biurokratyzacja tego sektora, narastająca orientacja nie tyle na cel (i klienta) co na budżet i szanse zwiększenia swojego stanu posiadania, zaczął prowadzić do przekształcenia owej misji w pańszczyznę. Hayek przewidywał taki rozwój wydarzeń, co nie znaczy, że umiemy odpowiedzieć na pytanie jak rozwinęłaby się historia, gdyby trauma po wielkiej depresji była słabsza. Dowody na rosnącą niesprawność państwa jako bezpośredniego administratora gospodarki gromadziły się przez lata. Naukowa wiedza i zdrowy rozsądek planistów prowadzić miał nie tylko do zabezpieczenia społecznej sprawiedliwości, ale i do ograniczenia marnotrawstwa sił i środków na ustawiczną konkurencję. Kiedy jednak w miejsce elementarnego poczucia niesprawiedliwości społecznej pojawił się rynek roszczeń, a koncentracja środków zmieniła się w polityczny woluntaryzm okazało się, że w gospodarce mieszanej nastąpiły nieodwracalne zmiany jakościowe. Nie chciałbym tu w żaden sposób gloryfikować

funkcjonariuszy państwowych pierwszego okresu New Deal w Stanach Zjednoczonych czy gospodarki mieszanej w Europie Zachodniej, ale zmiany w mentalności funkcjonariuszy państwowych są aż nadto widoczne. W urzędach miejsce wizjonerów zajęli urzędnicy wygłaszający banały, niezdolni do przełożenia swoich opinii na programy operacyjne, niemal zawsze zorientowani na przełożonych i lekceważący petentów, obawiający się samodzielnego podejmowania decyzji, sfrustrowani z powodu malejącego statusu i nieodmiennie znający tylko jedną receptę na wszystkie problemy wyłaniające się na powierzonych im polach: musimy dostać więcej pieniędzy z budżetu państwa. (W początkach lat osiemdziesiątych byłem świadkiem dramatu znajomej, szwedzkiej prawniczki, która po wielu próbach przeniesienia się z instytucji państwowej do sektora prywatnego, zapytała doświadczonego przyjaciela dlaczego jej się to nie udaje. Odpowiedź była jednoznaczna: człowiek, który rozpoczął swoją karierę zawodową w sektorze publicznym i przepracował tam kilka lat nie nadaje się już do żadnej pracy. Nawet jeśli jest to opinia czasem niesprawiedliwa, nikt nie będzie ryzykował.)

Daniel Yergin i Joseph Stanislaw pokazują jak kraj po kraju politycy zaczynają poszukiwać możliwości uwolnienia niewidzialnej ręki rynku i zakręcenia kurka z pieniędzmi płynącymi w kierunku instytucji, które dają pełne gwarancje, iż pieniądze te nie przyniosą żadnych zysków. W wielu krajach ten zwrot następuje w ponad ćwierć wieku od chwili, gdy system gospodarki mieszanej przekroczył swój próg skuteczności. Zdaniem większości autorów widoczny już kryzys gospodarki mieszanej zaczął się z początkiem lat siedemdziesiątych. Wcześniejsze lata umocniły społeczeństwa zachodnie w przekonaniu, że proces bogacenia się ma tendencję stałą, że im więcej konsumujemy tym jesteśmy bogatsi, że nie ma żadnych powodów do zastanawiania się nad limitami wzrostu płac. Paraliżujące gospodarkę strajki stały się wówczas zjawiskiem codziennym i traktowane były przez większość jako zło konieczne. Strajkowali przede wszystkim pracownicy znacjonalizowanych gałęzi przemysłu i usług, domagając się zwiększenia przekazywanych ich instytucjom środków z budżetu. Nierzadko mieli oni ciche poparcie

dyrekcji swoich zakładów, a zawsze mieli gwarancje ze strony państwa, że ich macierzyste zakłady pracy nie zbankrutują.

Diabelskie koło nie było już częścią wesołego miasteczka na przedmieściu, a do jego konstrukcji wykorzystano państwową kolej, przemysł wydobywczy, stalowy, przemysł samochodowy i inne. W groteskowej postaci widzieliśmy ten proces później w Polsce w końcu lat osiemdziesiątych, kiedy żądano by komunizm zrealizował swoje obietnice. Osobliwe echo tego procesu obserwujemy w Polsce współcześnie z okazji sporów wokół prób sprzedaży „kolebki Solidarności", czy bohaterskiej odmowy dyrekcji i załogi fabryki „Ursus" uznania praw ekonomii. Funkcjonariusze państwowi (wszystko jedno czy jest to urzędnik z takiej czy innej centrali, czy działacz związkowy państwowego zakładu przemysłowego) wydają się być niezdolni do zrozumienia podstawowych zasad gospodarczych. W wyłaniającym się sektorze prywatnym z reguły widzimy ludzi młodych, którzy nie zostali skażeni doświadczeniem pracy w sektorze publicznym. Tymczasem jednak sektor publiczny i sam aparat władzy wydają się nadal utrzymywać zdolność swojego demoralizującego oddziaływania na nowe kadry. Mimo pojawiających się w wielu krajach prób odchudzenia aparatu państwowego, odnosi się wrażenie, że aparaty państwowe nie odzyskały minimum sprawności, która czyniłaby je rzeczywistym partnerem biznesu w systemie rynkowym. Wydaje się, że nie jest to tylko brak nowej formuły, ale przede wszystkim problem mentalności, która, jakkolwiek by to nie było smutne, zapewne zacznie się w istotnym stopniu zmieniać dopiero gdy system wyłaniający się w reakcji na ociężałość biurokratycznych aparatów państwowych odsłoni swoje własne niedomogi. W chwili obecnej oczekiwania reform kierowane pod adresem istniejącej biurokracji albo natrafiają na inercję, albo przynoszą działania, które niczego nie zmieniają, a czasem wręcz prowadzą do pogorszenia obecnego stanu rzeczy. W efekcie parcie na prywatyzację zaczyna przybierać groteskowe rozmiary. Być może nie zawsze starcza nam wyobraźni i muszę przyznać, że nie umiałem sobie wyobrazić prywatnego systemu wodociągów, czy prywatnej poczty. Moje wcześniejsze wątpliwości były tu raczej natury technicznej niż ideologicznej, natomiast prowadzone w Wielkiej Brytanii eksperymenty z prywatyzacją

więzień budzą we mnie (i nie tylko we mnie) poważny sprzeciw ideologiczny. Żyjemy w czasach, w których racje zwolenników wolnej gry rynkowej są wystarczająco silne, aby zacząć obawiać się przesady.

Proces przenoszenia wielu dotychczasowych funkcji państwa na konkurujące ze sobą instytucje prywatne i na władze samorządowe jest jeszcze daleki od zakończenia i obecnie jest dość trudno odróżnić działania obronne biurokracji od racjonalnych prób wypracowania nowego modelu działania państwa. Równocześnie jednak zanim będzie można bardziej precyzyjnie określić jakie obowiązki muszą i powinny pozostać w gestii państwa, radykalnie musi się zmienić sposób funkcjonowania agend państwowych. Na krótko przed upadkiem PZPR, ówczesny rzecznik rządu Jerzy Urban, w jednym ze swoich najbardziej aroganckich wystąpień stwierdził, że „rząd się zawsze przeżywi". Yergin i Stanislaw opisują w swojej książce interesujący epizod z najnowszej historii Stanów Zjednoczonych. 16 grudnia 1995 roku rząd Stanów Zjednoczonych zbankrutował, setki tysięcy pracowników federalnych odesłano do domów, część z nich otrzymała niepełne wynagrodzenia, część została bez pieniędzy. Większość agend rządowych (włącznie ze stołówką Senatu) została zamknięta na cztery spusty. Społeczeństwo reagowało najsilniej na fakt zamknięcia 397 parków narodowych oraz muzeów. Na całym świecie zamknięte były również ambasady USA i nie można było otrzymać wiz wjazdowych. Był to efekt walki między Kongresem a Prezydentem. W pierwszych dniach 1996 roku zawarty został kompromis i rząd amerykański zgodził się na cięcia w budżecie oraz na przyjęcie zobowiązania, że deficyt budżetowy zostanie zredukowany do zera w ciągu siedmiu lat. Teoretycznie Partia Demokratyczna wygrała ten konflikt, ale jak piszą autorzy, był to punkt zwrotny w historii Stanów Zjednoczonych. W kilka tygodni później prezydent Clinton w swoim przemówieniu do narodu stwierdził jasno i wyraźnie: „Era rozbudowanej Administracji jest skończona." Od tego dnia szeregi armii pracowników federalnych zaczęły topnieć.

Model państwa jest zawsze mniej lub bardziej udaną odpowiedzią na wyzwania otaczającej nas rzeczywistości. Obecny moment historyczny jest okresem przyspieszonych zmian

rynku towarów, rynku pracy, zmian technicznych, zmian sposobu działania rynków finansowych. Po upadku komunizmu radykalnie zmienił się świat międzynarodowej polityki. Nie od dziś państwo narodowe jest częścią wielu ponadnarodowych organizacji, ale zmienia się znaczenie i sposób funkcjonowania owych organizacji ponadnarodowych. Odgadywanie kierunku tych zmian i reprezentowanie interesów narodowych na forum tych organizacji staje się jedną z najpoważniejszych funkcji współczesnych rządów. Globalizacja oznacza konieczność harmonizowania własnej strategii rozwoju (uwzględniającej specyfikę lokalnych problemów) z kierunkiem rozwoju i oczekiwaniami międzynarodowej społeczności. Problemem pozostają kadry urzędników, którym powierza się te nowe wyzwania.

Niewidzialna ręka rynku zmieniła w wielu krajach wyraz twarzy ekspedientki w sklepie, kelnera w restauracji, konduktora w pociągu, sprzedawcy telefonów, czy jest również w stanie zmienić oblicze sfinksa na urzędniczym stołku? Newt Gingrich nie jest moim ulubieńcem, trudno mi również traktować poważnie Janusza Korwina-Mikke, ale jak długo państwowy urzędnik jest przede wszystkim dysponentem wtórnie dzielonej części dochodu narodowego, nie będzie planistą myślącym o przyszłości. Paradoksem systemów opartych na doktrynie marksistowskiej, jak również kierunku ewolucji gospodarki mieszanej było przekształcenie planowania w gospodarkę nakazową i system koncesji. Paradoksem ewolucji instytucji politycznych w systemie wolnorynkowym jest nieunikniony powrót do planowania; do planowania strategii na przyszłość, nie przez zarządzanie produkcją a przez przygotowywanie struktur prawnych i administracyjnych, pozwalających na sprawne działanie rynku w ustawicznie zmieniającym się świecie.

Problemem jest to, że w większości krajów, które rozpoczęły reformy rynkowe, nie tylko wtórnie dzielona część PKB utrzymuje tendencje wzrostowe, ale utrzymuje się, a czasem wręcz wzrasta, liczba zatrudnionych w aparacie państwowym. Krzykliwych przywódców związkowych idących śladami Arthura Scargilla widać na ulicach, obrońcy okopów biurokracji są mniej widoczni i posługują się znacznie bardziej finezyjną bronią. Moglibyśmy powiedzieć, że nowy model

państwa wyłania się nie tyle w walce między rządami a rynkiem, co właśnie między biurokracją państwową a rynkiem, przy czym same rządy znajdują się już często po stronie rynku. Proponowany przez te rządy model państwa wybija wśród jego zadań na czoło kontrolę podaży pieniądza, dyscyplinę finansową, prywatyzację znacjonalizowanych gałęzi przemysłu i usług, ograniczenia ilości wszelkiego rodzaju regulacji i koncesji, usprawnienie wymiaru sprawiedliwości i unowocześnienie systemu obrony kraju. Regionami szczególnie drażliwymi pozostają kwestie ubezpieczeń społecznych, ochrona zdrowia i edukacja. Na tych obszarach określenie nowej roli państwa jest szczególnie trudne. Dylematem reformatorów jest nie tylko określenie kierunku zmian, ale również taktyka reform. Widzimy na jakie trudności reformy te napotykają w krajach najbardziej rozwiniętych, które mają stabilne struktury polityczne i rezerwy finansowe, pozwalające na złagodzenie społecznych kosztów tych reform. Autorzy „The Commanding Heights" pokazują na jakie trudności natrafiła próba równoczesnego wprowadzenia *głasnosti* i *pierestroiki* w Rosji i jak w Azji przeprowadzano gospodarcze reformy pod osłoną dyktatur. O ile całkowicie pomijają oni znaczenie reform w rolnictwie, o tyle wielokrotnie podkreślają wysiłki państwa w tych krajach, aby maksymalnie szybko nadrobić zaległości w dziedzinie oświaty. (Odkąd chińskie szkoły przestały przede wszystkim wychowywać socjalistycznego człowieka, a zaczęły uczyć, Chińczycy są i mniej fanatyczni, i bogatsi.)

Max Weber powiedział kiedyś, że konfucjonizm jest nie do pogodzenia z kapitalizmem. Był w błędzie, ale ten azjatycki kapitalizm różni się znacznie od europejskiego czy amerykańskiego. Chwilowo narodowy-kapitalizm w Azji natrafił na bardzo poważne bariery wzrostu. W pewnym sensie możemy powiedzieć, że kraje te poszły czwartą drogą, próbując uniknąć pułapek dziewiętnastowiecznego kapitalizmu, socjalizmu i pułapek gospodarki mieszanej. Ostatecznie potknęły się na własnych błędach – na załamaniu się zbyt słabo kontrolowanych instytucji finansowych.

Nie tylko z azjatyckich doświadczeń płynie wniosek, że nie ma uniwersalnych teorii ekonomicznych. Jeśli dziś warto iść za głosem szkoły chicagowskiej, to należy również pamiętać, że siła argumentów ekonomistów z tej szkoły wzmocniona jest rozmiarami kryzysu państwa opiekuńczego i trwającej zbyt długo pewności siebie ekonomistów ze szkoły Keynesa.

Pozostaje w mocy stwierdzenie Keynesa, że w ekonomii można być pewnym tylko jednego, że pewnego dnia stanie się coś zupełnie nieprzewidzianego.

Memoriał Komitetu Prognoz Polskiej Akademii Nauk stwierdza, że „Polsce potrzebne jest dziś silne państwo ze sprawnym aparatem..." Jest to zdanie, z którym trudno się spierać. Chwilowo, od upadku komunizmu, żaden rząd nie przetrwał pełnej kadencji, kolejne koalicje rządzące są ustawicznie zagrożone rozpadem. Dzięki wprowadzonej w pierwszym momencie terapii szokowej Leszka Balcerowicza zmieniła się sama istota systemu gospodarczego w Polsce. Żaden rząd nie miał później wystarczającego poparcia społecznego, aby móc rzeczywiście pchnąć kolejne reformy. Postulat silnego państwa jest postulatem pustym w sytuacji, gdy istniejąca ordynacja wyborcza nie prowadzi do wzmocnienia struktur politycznych. Silne państwo to albo dyktatura, albo demokracja, w której istnieje szansa na stabilne rządy. Silne państwo nie wyłoni się z rozproszkowanej areny politycznej, gdzie kilka lub kilkanaście partii politycznych zbyt słabych, by indywidualnie pozyskać poparcie społeczne dla swoich programów, tworzy rządy przyznające fotele ministerialne z koalicyjnego klucza. Jak się wydaje premier Buzek sądził, że reforma terytorialna otworzy drogę i ułatwi podjęcie kolejnych reform. Istnieją powody aby sądzić, że była to nadzieja płonna. Podejrzewam, że kluczem do wzmocnienia państwa może być tylko głęboka reforma systemu wyborczego. W przeciwnym przypadku reformy ślimaczyć się będą przez lata, a nadzieją kraju będzie słabość państwa i słabość rządów. Wbrew pozorom nie musi to oznaczać osłabienia tempa wzrostu. Ostatecznie wiadomo, że silne państwo nie zawsze podejmuje mądre decyzje i może się nagle zająć dzieleniem szkół na laickie i chrześcijańskie.

Andrzej KORASZEWSKI

Obserwatorium

Polska, Niemcy: co dalej?

Stosunki polsko-niemieckie wciąż jeszcze nie są normalne. Takie np., jak stosunki niemiecko-francuskie. Dotyczy to nie stosunków między państwami, z których uznanie przez Republikę Federalną Niemiec polskiej granicy zachodniej usunęło podstawowe źródło konfliktów i które kształtuje obecnie obopólna wola porozumienia i współpracy. Nie wyklucza ona, rzecz jasna, występowania między Polską a Niemcami sprzeczności interesów w takich lub innych sprawach (por. doskonały artykuł A. Krzemińskiego „Czwarte podejście", *Polityka* nr 30, 25.07.1998). Ale te sprzeczności są normalnym i trwałym składnikiem stosunków międzypaństwowych, następstwem różnicy położenia geograficznego, poziomu i kierunków rozwoju gospodarki, a zwłaszcza – spoczywającego na każdym państwie obowiązku działania w pierwszym rzędzie na rzecz własnych obywateli. Nie zanikają po przystąpieniu do Unii Europejskiej, o czym świadczy historia czterdziestu lat, które minęły od podpisania Traktatu Rzymskiego i które obfitowały przecież w starcia między członkami Wspólnego Rynku, później Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a potem Unii – starcia powodowane tym, że każde państwo narodowe kierowało się przede wszystkim własnymi interesami. Różnice zdań w konkretnych sprawach między Polską a Niemcami nie pozbawiają zatem ich wzajemnych stosunków żadnego ze znamion normalności.

Jeśli stosunki polsko-niemieckie ciągle jeszcze nie są w pełni normalne, to dlatego, że nie ma normalnych stosunków między niemiecką a polską opinią publiczną. A nie ma ich w tej mierze, w jakiej składnikiem pierwszej są poglądy Związku

Wypędzonych, a składnikiem drugiej – wciąż jeszcze bolesne wspomnienia okupacji hitlerowskiej i jej skutków, na które nakładają się i na których żerują tradycje endecji z jej przekonaniem, że Niemcy są odwiecznymi wrogami Polaków i że nic tego nigdy nie zmieni. Ktoś mógłby utrzymywać, że takim zjawiskom nie warto poświęcać uwagi, ponieważ są marginesowe i nie wywierają przeto wpływu ani na stosunki między oboma państwami, ani nawet na postawy większości tak w Niemczech, jak w Polsce. Że są marginesowe i że nie wywierają wielkiego wpływu, to prawda. Wnoszenie z tego, że nie warto się nimi przejmować, byłoby wszelako bezzasadnym optymizmem. Jakoż wiadomo z doświadczenia, że stanowisko zajmowane dziś przez niewielką mniejszość może jutro, w sprzyjających mu okolicznościach, zyskać jeśli nie czynne poparcie, to przynajmniej milczące przyzwolenie znacznej większości i zacząć wywierać wpływ na politykę państwa. A wtedy na zwalczanie go jest już zbyt późno.

Od kilku miesięcy stosunki polsko-niemieckie przeżywają kolejny okres zadrażnienia. Świadczą o tym uchwała Bundestagu z 25 maja br. i odpowiadające na nią oświadczenie Sejmu RP. Świadczą o tym fakty upominania się obywateli RFN ongiś zamieszkałych na obecnych ziemiach polskich o zwrot mienia utraconego w następstwie wojny. Świadczą o tym liczne, niemożliwe do sprawdzenia pogłoski o wykupywaniu przez nich nieruchomości w Polsce, korzystając z ulg podstawionych obywateli polskich. Zapewne nie należy tego dramatyzować. Warto jednak zauważyć, że obecny okres zadrażnienia związany jest nie tylko z kampanią wyborczą w RFN, która, jak każda kampania wyborcza, sprzyja demagogicznym wyskokom. Wpisuje się on również w bardziej długotrwałą koniunkturę określoną umieraniem wraz z ich nosicielami wspomnień drugiej wojny światowej i okrucieństw popełnionych wtedy przez hitlerowskie Niemcy, oraz zacieraniem się w pamięci i zwycięzców, i pokonanych okoliczności, w jakich powzięto i zrealizowano obowiązujące po dziś dzień decyzje wielkich mocarstw w kwestii granic, których skutkiem były powojenne przemieszczenia ludności. Ma to swoje strony dodatnie: ciągłe rozpamiętywanie przeszłości nieuchronnie odtwarza dawne konflikty, co ilustruje przykład Irlandii północnej. Ale ma to też swoje strony ujem-

ne w tej mierze, w jakiej pozwala zgłaszać roszczenia lub wypowiadać poglądy, które milcząco zamazują pierwszorzędną odpowiedzialność hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy za wojnę i za wszystkie jej następstwa.

Tak więc, bez zbędnego dramatyzowania, warto jednak zastanowić się nad tym, co ze strony polskiej można zrobić, by wypędzeni przestali być trwałym składnikiem niemieckiego krajobrazu politycznego. Rozważania takie byłyby jednak płonne bez równoczesnego zastanowienia się nad tym, co trzeba zrobić, by bez reszty wyrugować z opinii polskiej ksenofobię zakorzenioną w manii prześladowczej: w urojeniu, że obcy – zwłaszcza Niemcy i Żydzi – niezmiennie grożą zniszczeniem jeśli nie samego narodu polskiego, to przynajmniej jego dotychczasowej tożsamości słowiańskiej i katolickiej.

Pierwszym krokiem, prostym, a zarazem uczuciowo najtrudniejszym, powinno być podjęcie przez stronę polską inicjatywy rozmów z władzami Związku Wypędzonych. Nie ma co dłużej udawać, że takowy nie istnieje ani odmawiać wszelkich z nim kontaktów, skoro działa on legalnie w Niemczech. Nie ma też co liczyć, że czas załatwi tę sprawę za nas. Pięcioletnie dzieci z 1944 roku, dla których wydarzenia związane z końcem wojny są najdawniejszymi wspomnieniami, mają dziś niemal sześćdziesiąt lat i przed sobą perspektywę jeszcze dwóch bez mała dziesięcioleci. Znaczy to, że Związek Wypędzonych może istnieć co najmniej równie długo. Co będzie później, ma dziś znacznie mniejsze znaczenie, gdyż właśnie w ciągu najbliższych lat rozstrzygnie się sprawa przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, którą uchwała Bundestagu z 25 maja br. usiłuje powiązać z załatwieniem bliżej nieokreślonych „kwestii bilateralnych" oraz z przyznaniem prawa do swobodnego przemieszczania się i osiedlania, co jest oczywistym ukłonem w stronę wypędzonych.

Jeśli nie chce się, by ich głos połączony z głosami przeciwników utrzymania Unii lub jej rozszerzenia – a tacy istnieją, również w Niemczech – dodatkowo utrudnił lub wręcz storpedował już i tak trudne przecież rokowania z tym związane, pozostaje zdobyć się na wysłuchanie ich argumentów i na przedstawienie własnych. Na zapoczątkowanie rozmów, które mogą zapewne skończyć sie zerwaniem, ale które nie mogą chyba pogorszyć już istniejącej sytuacji, o ile,

rzecz jasna, spełnione będą pewne warunki dotyczące tego, kto ze strony polskiej miałby takie rozmowy prowadzić, z jakich pozycji wyjściowych i w jaki sposób.

1. Inicjatywa rozmów z rzecznikami Związku Wypędzonych nie powinna w żadnym przypadku wyjść od oficjalnych instancji Rzeczypospolitej, dla których jedynym partnerem są odpowiadające im hierarchicznie instancje RFN. Inicjatywa taka winna natomiast wyjść od polskich organizacji społecznych – może również partii politycznych – działających na Ziemiach Zachodnich. Byłoby wskazane, by – w zrozumieniu wagi sprawy, która wykracza poza wszelkie rozbieżności między Polakami – organizacje te odłożyły na bok w tym zakresie wszystko, co je dzieli, porozumiały się i wspólnie wyłoniły komitet do prowadzenia rozmów ze Związkiem Wypędzonych, zapewniając mu odpowiednich doradców, zwłaszcza znawców współczesnej problematyki niemieckiej, specjalistów w dziedzinie prawa międzynarodowego i prawa Unii Europejskiej, oraz historyków drugiej wojny światowej i pierwszych lat powojennych.

Byłyby to zatem rozmowy wypędzonych z wypędzonymi. Znaczny odłam ludności zamieszkującej polskie Ziemie Zachodnie składa się bowiem z przesiedleńców z przedwojennych polskich kresów wschodnich, a raczej z ich potomków. Byłyby to więc również rozmowy ofiar – czy potomków ofiar – drugiej wojny światowej po obu stronach frontu. I byłyby to rozmowy, w których toku dyskusja o przyszłości tylko z wielkim trudem dałaby się odłączyć od wspomnienia krzywd, jakie przodkowie jednych i drugich wyrządzili sobie nawzajem. Dlatego tak ważne są w tym przypadku sprawy organizacyjne i proceduralne, które mogą takie rozmowy znacznie ułatwić albo wręcz uniemożliwić.

2. Wyjściowa pozycja polska w takich rozmowach jest doskonale znana i nie byłoby powodu przypominać jej tu raz jeszcze, gdyby niektórzy politycy i dziennikarze polscy w swym ideologicznym zaślepieniu nie wypowiadali się w sposób, który pośrednio podważa integralność terytorialną Rzeczypospolitej. Pozycja ta, najkrócej, jest taka oto: granice zachodnie Polski są wcieleniem w życie decyzji podjętych przez wielkie mocarstwa w Jałcie i w Poczdamie. Decyzji, które przesądziły również o zmianie wschodnich granic

Polski, o przesiedleniu ludności polskiej z ziem utraconych przez Polskę na wschodzie na przyznane Polsce dawne tereny wschodnie Rzeszy Niemieckiej oraz o przesiedleniu ludności niemieckiej z tych terenów do Niemiec w ich nowych granicach. Fakt, że decyzje te były podyktowane stosunkiem sił między mocarstwami w ostatniej fazie wojny, w niczym nie zmniejsza ich mocy prawnej. Toteż twierdzenie, ze Polacy wypędzili Niemców z uzyskanych przez siebie ziem, jest po prostu fałszywe. Polacy zrealizowali tylko decyzję wielkich mocarstw. Jest osobną sprawą, jak to zrobili, o tym niżej.

W tym miejscu trzeba bowiem otworzyć nawias, by stwierdzić, że wszyscy ci politycy i dziennikarze polscy, którzy potępiają w czambuł Jałtę i Poczdam, którzy wypowiadają się tak, jak gdyby chcieli retroaktywnie wyprowadzić Polskę z koalicji antyhitlerowskiej, którzy zapominają albo nie wiedzą, że udział w tej koalicji jest jedynym tytułem Polski do jej obecnych granic, którzy podważają ciągłość istnienia państwa polskiego w różnych formach ustrojowych i z różnym zakresem suwerenności, i którzy w antykomunistycznym ferworze gotowi są oskarżać „władzę ludową" również o zbrodnie, jakich nie popełniła – że wszyscy oni działają na szkodę Polski i oddalają perspektywę pełnej normalizacji stosunków między opinią polską a opinią sąsiadów Polski ze wschodu i z zachodu, gdyż tworzą wrażenie, że nie uznają powojennego porządku europejskiego. Nie jest rzeczą przypadku, że są to przeważnie rzecznicy postawy antyeuropejskiej, ksenofobicznej i antysemickiej, zamknięcia się Polski na wpływy z zewnątrz, ograniczenia demokracji i gospodarki rynkowej. Jeśli chodzi o wyborców, są w mniejszości, ale nie są pozbawieni wpływów w koalicji rządzącej, a nawet stanowisk w obecnym rządzie. Słychać ich. I to oni, z ustami pełnymi „narodowych" frazesów, są dziś jedyną siłą prawdziwie antypolską. Koniec nawiasu.

Polska pozycja wyjściowa do ewentualnych rozmów z wypędzonymi zasadza się więc na stwierdzeniu, że są oni w pierwszym rzędzie ofiarami Trzeciej Rzeszy i jej zbrodniczej polityki, która spowodowała największą katastrofę w dziejach narodu niemieckiego. Nie umniejsza to w niczym polskich win. Nim jednak będzie się prosić o wybaczenie ich czy szukać innych form symbolicznego zadośćuczynienia ofiarom i ich potomkom, trzeba wreszcie ustalić fakty. O tym, że nie są one

znane, świadczy najlepiej podawanie Węgier jako wzoru załatwienia kwestii wypędzonych, jak gdyby Węgry nie były w przeciwieństwie do Polski sojusznikiem Trzeciej Rzeszy, oraz pomijanie wszystkich okoliczności, w jakich ludność niemiecka okazała się zmuszona opuścić ziemie przyznane Polsce.

Na ziemiach polskich wojenne przemieszczanie się ludności niemieckiej ze wschodu na zachód rozłożyło się w czasie na kilka lat. Zaczęło się jeszcze przed upadkiem Trzeciej Rzeszy, trwało po zajęciu jej terenów wschodnich przez wojsko sowieckie i zakończyło się po przejęciu kontroli nad nimi przez władze polskie. Jaki procent ogółu wypędzonych był przesiedlony przez Polaków? W jakich latach? W jakich warunkach się to odbywało? By móc je ocenić, trzeba przecież wiedzieć, w jakich warunkach – takich samych czy znacznie lepszych – dokonywało się przesiedlanie ludności polskiej ze wschodu. Trzeba wiedzieć w jakim stanie znajdowały się gospodarka i instytucje kraju, który wychodził z pięciu lat okupacji i przez który dopiero co przetoczył się front. Trzeba wiedzieć o nagromadzonych w Polakach pokładach nienawiści i o chęci odwetu, która nurtowała wtedy wszystkich, zarówno katolików, jak komunistów, pomijając nieliczne jednostki. Trzeba wiedzieć, że zanim władze polskie jako tako opanowały sytuację na Ziemiach Zachodnich minęły dni, a gdzieniegdzie tygodnie, chaosu, bandytyzmu, samosądów i szabrownictwa. Dopiero znajomość całej tej złożonej sytuacji pozwoli ustalić, w jakiej mierze warunki wysiedlania ludności niemieckiej z Polski wynikały z powojennych zniszczeń i z powszechnego obniżenia wymagań, by nie rzec: zdziczenia, a w jakiej – ze złej woli i chęci mnożenia szykan. Przy okazji trzeba też ustalić, jakie występki, przestępstwa, nawet zbrodnie, zostały podczas wysiedlania popełnione oraz czy były one karane przez władze polskie i jak.

Oto tylko część pytań, na które powinnaby udzielić wiarygodnej odpowiedzi komisja historyków polskich i niemieckich uprawniona do przebadania wszystkich archiwów i do przesłuchania żyjących jeszcze świadków wydarzeń. Byłoby dobrze, by Polskie Towarzystwo Historyczne i jego niemiecki odpowiednik powołały pospołu taką komisję i wyposażyły ją w odpowiednie środki, gwoli opracowania w możliwie krótkim terminie wspólnej księgi o przesiedlaniu

przez Polaków ludności niemieckiej i o zakresie polskiej odpowiedzialności za to, co się wtedy działo.

3. Organizacja ewentualnych rozmów z wypędzonymi i ich przebieg muszą być przedmiotem uzgodnień między stroną polską a niemiecką. Nie do nas należy udzielanie wskazówek w tym względzie. Pozwolimy sobie tylko na jedną radę. Aby dać rozmowom szansę zakończenia się pozytywnymi wnioskami, trzeba by odbywały się bez udziału mediów. Nie chodzi o ukrywanie czegokolwiek przed opinią publiczną. Chodzi natomiast o unikanie sensacji, demagogii i reklamiarstwa, o nadanie rozmowom charakteru maksymalnie rzeczowego, co wymaga wchodzenia w szczegóły techniczne bez obawy znudzenia publiczności. Chodzi o stworzenie klimatu dla spokojnej dyskusji, bez pośpiechu i bez zewnętrznych presji. Załatwienie tej sprawy czekało z górą pół wieku. Lepiej stracić jeszcze kilka lat i załatwić ją dobrze, niż wykonać kilka popisowych gestów, które niczego naprawdę nie zmienią.

Rozmowy z wypędzonymi – to tylko część działań na rzecz pełnej normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Ich dopełnieniem musi być wychowywanie polskiej opinii publicznej, uczenie jej widzenia w sąsiadach Polski – nie tylko w Niemcach, również Rosjanach i Ukraińcach – nie minionych i potencjalnych najeźdźców, ale przyszłych sojuszników. Dwadzieścia pięć lat temu bez mała, biskupi mieli odwagę powiedzieć „przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Dlaczego Kościół katolicki nie prowadzi systematycznej walki z ksenofobią, która jest przecież jawnie sprzeczna z nakazem miłości bliźniego? Dlaczego nie oducza konsekwentnie swych wiernych praktykowania moralności Kalego i nie tłumaczy, że jeśli domagają się praw dla polskiej mniejszości w Rosji, to nie wolno im odmawiać takich samych praw mniejszościom w Polsce? Dlaczego tak się dzieje, że politycy, którzy uważają się za katolickich i narodowych, nie są dezawuowani, gdy wypowiadają poglądy, które wszędzie w Europie uchodzą za kompromitujące i skazują na ostracyzm?

Warunkiem normalnych stosunków z Niemcami i resztą sąsiadów jest również usunięcie chorobliwego nacjonalizmu z opinii polskiej. A to zależy tylko od nas samych.

REDAKCJA

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

WIELKI BRAT: CZERWONY I CZARNY

I. GROMOW Z „TITANIC'A"

Była środa, godzina 11.30 czasu lokalnego (w Moskwie 10, w Brukseli 8 rano), 15 lutego roku pańskiego 1989, kiedy, tak jak kapitan „Titanic'a", tylko z większym szczęściem, generał Borys Gromow, naczelny dowódca „kontyngentu wojsk ZSSR czasowo stacjonujących w Afganistanie", przekroczył, pieszo, na 40 minut przed upływem terminu, ustalonego przez międzynarodową konferencję w Genewie, most na rzece Amu-Daria. Po drugiej stronie mostu, na sowieckim brzegu, powitał generała jego 14-letni syn, Maksym. „W tym momencie – to były pierwsze słowa generała po postawieniu stopy na sowieckiej ziemi – myśl moja ogarnia wiele spraw, ale przede wszystkim skierowana jest ku naszym żołnierzom poległym podczas tej wojny".

Choć do dziś nie wiemy jakie liczne sprawy ogarniała wtedy myśl generała Gromowa, to wspominając sowieckie ofiary wojny w Afganistanie, miał na pewno rację. Najazd na Afganistan był nie tylko wojskową zbrodnią, ale także politycznym błędem i katastrofą psychologiczną.

Zbrodnia wojskowa albowiem (pomijając ofiary afgańskie, ale kto by je liczył) za napad na niegościnną ziemię Afganistanu ZSSR zapłacił ponad 13.000 zabitych, ponad 25.000 rannych i dziesiątkami tysięcy zdemoralizowanych żołnierzy, kompromitacją systemu, dalszą sklerozą, a w końcu ruiną dogorywającej gospodarki.

Błędem politycznym, albowiem ekspedycja na Afganistan zakończyła się pierwszą w historii klęską armii czerwonej, jej pierwszym odwrotem na zasadzie porażki w polu, spadkiem (jeżeli coś jeszcze było) jej prestiżu międzynarodowego, katastrofą jej (jeżeli coś jeszcze zostało) autorytetu w polu bezpośredniego działania Kremla, w kraju i w „bliskim sąsiedztwie". Były jeszcze podrygi i próby ratowania twarzy, ale wyrok zapadł: odwrót spod Kabulu oznajmił początek końca „panzerkomunizmu", w kraju, w rejonie Paktu Warszawskiego i na świecie. Ewangeliczny, były prezydent Carter nie miał twardej ręki, ale to on, pod wpływem Afganistanu (i Zbigniewa Brzezińskiego) podniósł budżet wojskowy USA o całe 5 procent, nałożył embargo na dostawy technologii i zboża do ZSSR i postanowił zbojkotować olimpiadę w Moskwie. To Afganistan ułatwił wybór Reagana, który poszedł po głosy pod hasłem „Ameryka jest z powrotem".

Katastrofa psychologiczna, albowiem nigdy jeszcze jakiś, akt władzy sowieckiej tak bardzo nie rozminął się z uczuciami i poglądami jej obywateli. Mimo tajemnicy i cenzury, regularny powrót trumien i kalek z Afganistanu coraz bardziej działał na wyobraźnię i uczucia matek i rodzin sowieckich, zwiększał bezradność, a zatem i alienację obywateli. Afganistan „przyjął" wielką armię sowiecką, ale odesłał do Rosji niedobitki rozczarowanych, rozgoryczonych, często zrozpaczonych a przede wszystkim zdemoralizowanych „Afgańców", którzy jeszcze nieraz dadzą władzy w skórę, i, w jakiś trudny do określenia sposób, także przyłożą ręki do upadku Sowietów. M.in. w Czeczenii, ale to inna historia...

II. ZA MURAMI KREMLA

Był 12 grudnia 1979. Leonid Breżniew, szef sowieckiej kompartii, był w fatalnym humorze. Czekał w swoim gabinecie na Kremlu na nagle wezwanych najbardziej zaufanych członków Biura Politycznego. Zjawili się Gromyko, minister spraw zagranicznych, Ustinow, „cywilny" minister spraw wojskowych, Susłow, prorok od ideologii, Andropow, szef KGB, i Kosygin (jeszcze na krótko) premier ZSSR. Zebranie, prawdziwa jaczejka, było właściwie nielegalne. Są sami „starzy", młodsi członkowie Biura i zastępcy członków, w tym niejaki Gorbaczow (na jego szczęście), nic o tym zebraniu nie wiedzieli. Wszyscy zebrani, z wyjątkiem Kosygina, są za interwencją w Afganistanie. Sytuacja obecna, zgodzili się, nie może być dalej tolerowana!

Jaka sytuacja? W największym skrócie, wszystko zaczęło się od przekonania, że Moskwie nie wystarczy sąsiedztwo neutralnej, przyjaznej, modernizującej się, prawie konstytucyjnej monarchii w Afganistanie, i że jej interes strategiczny („umoczenie stóp rosyjskich w ciepłych oceanach", powie długo po tym dement Żyrynowski), wymaga całkowitej kontroli nad tym krajem. Pierwszy zamach popierany przez Moskwę obala, w 1973 roku, króla Zaher Szacha i ustanawia republikę z prosowieckim kuzynem króla Daud'em jako prezydentem. Daud w pewnym momencie rozumie jednak, że komuniści to nie dla niego towarzystwo, zaczyna manewrować, szuka równowagi. Dla Moskwy to wystarczy. W kwietniu 1978, komuniści afgańscy (sami?!) obalają Dauda. Były książe i prezydent ginie pod gruzami pałacu w Kabulu.

Jego, już czystym ideologicznie, następcom nie powiedzie się lepiej. Morderca Dauda, komunista Taraki ginie od kuli swego następcy, także komunisty Amina. Ale Moskwie i to nie odpowiadało. Wolała Tarakiego od Amina. I to wtedy właśnie Breżniew postanowił interweniować. „Ograniczony kontyngent wojsk sowieckich" wysłany zostaje na „czasowy pobyt w Afganistanie".

24 grudnia 1979, 5.000 spadochroniarzy ląduje na lotnisku w Kabulu. Wśród nich po raz pierwszy w akcji (choć anonimowo jeszcze) słynne komando „Alfa". Bardzo piękny początek: „Alfa" atakuje pałac prezydencki, morduje Amina wraz z otoczeniem, i instaluje, przywiezionego w czołgu, nowego prezydenta Babraka Karmala, który natychmiast zawiadamia, że „na zaproszenie władz w Kabulu" i w celu obrony suwerennej republiki, ZSSR zgodził się łaskawie wysłać wojska do Afganistanu. W chwili ogłoszenia tego komunikatu, granice Afganistanu już były przekroczyły dwie dywizje sowieckie. Na początku roku 1980, żołnierzy sowieckich było w Afganistanie ponad 50.000, rok później już ponad 120.000.

Wojna potrwa strasznych lat 10. Czym się skończyła dziś już wszyscy wiedzą. Niektórzy wiedzieli już wcześniej.

Niestety, Breżniew *Kultury* nie czytał. Albowiem gdyby – czego dziś zapewne gdzieś tam w piekle żałuje – *Kulturę* czytał, to by wiedział co go czeka.

III. A MÓWIŁEM...

Kultura zrobiła co mogła. W numerze marcowym roku 1988, w artykule pisanym miesiąc wcześniej (dokładna data: 11 luty) *Kultura*, widząc z Brukseli, wydrukowała artykuł pod tytułem: „Sołdaty! Dwadzieścia trzy wieki na was patrzą!!!" Artykuł, wydrukowany na prawie dwa lata PRZED decyzją Gorbaczowa odwrotu z Afganistanu, zawierał kilka (długich) refleksji wartych przypomnienia. Ku pamięci, ale i także ku myśleniu. Wbrew ludowej mądrości, historia bowiem lubi się powtarzać, przy czym powtórka nie musi, i w tym wypadku, nie będzie wcale farsą. Wprost przeciwnie. Artykuł *Kultury*, w streszczeniu, zawierał więc:

1) Ostrzeżenie:

Gdyby ówcześni Rosjanie studiowali coś innego niż tylko „Krótki kurs WKP(b)" to wiedzieliby, że 23 wieki przed ich „ograniczonym kontyngentem czasowo (tu) przebywającym", połamał sobie sporo zębów na Afganistanie Aleksander Wielki. Syn Filipa Macedońskiego podbił w ciągu krótkich, jeżeli uwzględnić ówczesną technologię, 4 lat ogromne imperium Dariusza: Egipt, Fenicję, Syrię, Palestynę, Irak, Persję. Ale na niegościnnych ziemiach obecnego Afganistanu musiał zwolnić: dwa lata wojował zanim spacyfikował ziemie afgańskie i przebił w ten sposób (na swoje nieszczęście) drogę do Indii. Dowiedziliby się także, że w ciągu następnych 23 wieków Afganistan przeżył okupację grecką, potem inwazję Partów, Hunów, Turków, Arabów, Mongołów (w tym nieprzyjemny epizod w wykonaniu Dżingis Chana) oraz Anglików.

Zrozumieliby wtedy, że inni już próbowali i może zdążyliby, zanim poprzednik gen. Gromowa przekroczył, z północy na południe, most na Amu Darii, zastanowić się i zrezygnować z – jak się okaże – bardzo kosztownej, w każdym sensie, operacji.

2) Przypomnienie:

Kiedy artykuł ukazał się w *Kulturze*, wojna w Afganistanie trwała już ponad 8 lat, dwa razy dłużej niż druga wojna światowa. Wojna lokalna przechodziła w etap konfliktu regionalnego i międzynarodowego. Wszyscy już w tym maczali ręce: Pakistan, Iran, islam w ogóle, Trzeci Świat a przede wszystkim USA, dla których walka do ostatniego Afgana była bardzo korzystną i tanią okazją osłabienia ZSSR. Wszystko co osłabiało ZSSR, wzmacniało USA, co było skutkiem odwrotnym do tego, jaki Breżniew i Biuro Polityczne zamierzyli.

3) Wyjaśnienie:

Wśród moich zachodnich kolegów bardzo popularne było porównanie Afganistanu z Wietnamem. Sowieci wysnuwali z tego bardzo dla siebie korzystne wnioski. Na pozór mieli rację. Było prawdą, że ZSSR miał granicę lądową z Afganistanem, podczas kiedy korpus ekspedycyjny USA walczył o 10.000 km od własnego zaplecza. Było prawdą, że mudżahedini, czyli rozbici na klany, szczepy i... gangi, rebelianci afgańscy to nie był Vietkong, który stanowił fachowo zorganizowane wojsko. I było prawdą, że w Afganistanie, przez długi czas, nie było telewizji, która, wprowadzając wojnę w Wietnamie, jej absurd i jej okrucieństwa do każdego domu w USA, w dużym stopniu przyczyniła się do odwrotu spod Sajgonu.

Moskwie wydawało się więc, że wojna w Afganistanie, tak różna od Wietnamu, jest do wygrania. Tymczasem było to zupełne nieporozumienie. Porównując co się da, Moskwa zaniedbała jeden aspekt sprawy. Afganistan bowiem to był sowiecki Wietnam. Afganistan i Wietnam różniły się szalenie, z jednym wyjątkiem: stanowiły podwójny dowód na to, że łatwiej jest wplątać się wojnę zwaną „egzotyczną" niż się z niej wyplątać, że wspólny wróg galwanizuje najbardziej pokłócone klany. Wysłanie wojska do Wietnamu było wielkim błędem Kennedy'ego, a przede wszystkim Johnsona;

ekspedycja sowiecka poza strefę „promieniowania" Jałty, była największym – większym niż najazd na Czechosłowację – błędem Breżniewa.

W obu wypadkach procedura „wyzwalania" z zewnątrz i na siłę była skazana na klęskę, albowiem przeszczep komunistyczny w Afganistanie, tak jak przeszczep demokratyczny czy kapitalistyczny w Wietnamie musiały, w ówczesnych warunkach, z bardzo rozmaitych powodów, zostać odrzucone. Jasne było, że koszty materialne i ludzkie, a zwłaszcza polityczne – bo te się w Moskwie przede wszystkim liczyły – interwencji sowieckiej w Afganistanie, będą stale rosnąć, że rak ten musi zostać i będzie wycięty i wypalony.

Jasne to było... dla *Kultury*. Na 22 miesiące przed decyzją Moskwy wycofania się z Afganistanu.

4) Wytłumaczenie

Decyzja odwrotu z Afganistanu była konieczna, ale zgadzaliśmy się, nie była łatwa. Ewakuacja Afganistanu oznaczałaby bezprecedensowy fakt wycofania się armii czerwonej na zasadzie klęski wojskowej. Rosjanie, pisaliśmy w marcu 1988, wycofywali się już z rozmaitych krajów: z Finlandii i z Iranu, z Austrii i z Rumunii, ale nigdy w wyniku przegranej wojny. Pociągnęłoby to także za sobą rezygnację z wielkich planów strategicznych: bazy, radary na skróconej drodze do ciepłych oceanów, nożyce nad Iranem i Pakistanem, dojścia, i możliwości szantażu nad Zatoką Perską („nafta rządzi światem").

A jednak, pisaliśmy, Rosjanie wycofać się muszą, albowiem:

a) Dostają w skórę. Z wojskowego punktu widzenia, sytuacja była beznadziejna. Amerykańskie „Stingery", ręczne rakiety przeciwlotnicze, zredukowały ogromnie sowiecką kontrolę afgańskiego nieba. Żeby wygrać, *et encore*, Sowieci musieliby wysłać do Afganistanu 10 razy więcej wojska, zmienić uzbrojenie, sposób prowadzenia działań, przejść do masowej eksterminacji, co dla Gorbaczowa i dla ZSSR było nie do zrealizowania.

b) Za dużo było pogrzebów w ZSSR. Nikt nie znał wtedy dokładnych liczb. Strata (jak wówczas szacowano) 10.000 żołnierzy sowieckich czy 35.000 rannych nie stanowiłaby, pisaliśmy cynicznie, katastrofy jak na wielomilionowy ZSSR, gdyby nie to, że właśnie, w 1988 roku, za „środkowego Gorbaczowa", cenzura już nie była taka jak kiedyś i Afganistan przestał być tematem tabu. Ludzie nie rozumieli i pytali, po co ich kraj zapchał się w Afganistan. Jedna z gazet wydrukowała list weterana z Afganistanu: „nasi żołnierze – powiadał – w II wojnie światowej, bili się z najeźdźcą, nam kazano zabijać ludzi, którzy bronili swojej ojczyzny".

IV. NIKT NIE JEST PROROKIEM...

Dwie hipotezy rysowała *Kultura* w marcu 1988. Białą i czarną. Wywoływały rozmaite reakcje, kolejno albo równocześnie (jak już nieraz, w ważniejszych dla Polski sprawach, z *Kulturą* bywało), od wzruszenia ramion, poprzez machnięcie ręką aż po pukanie się w czoło. A jednak.

1) Ex Oriente Lux...

Pierwsza hipoteza dotyczyła tego co awantura afgańska mogła znaczyć dla pojałtańskiej Europy. Pytaliśmy: co zrobi Moskwa kiedy domino zacznie funkcjonować i spadać ze „złej" strony? Sam się wahałem i, ze strachem w sercu, zastrzegałem się, że porównywanie sytuacji w Afganistanie z sytuacją w Europie wschodniej jest zajęciem ryzykownym. Ale siła wyobraźni – pisałem – jest większa od rygorów suchej analizy, aby sformułować wniosek, że wycofanie się z Afganistanu na zasadzie wojskowej klęski, lub lepiej, na zasadzie niezrealizowania przez armię czerwoną politycznych celów Kremla, byłoby wydarzeniem na skalę historyczną z perspektywy Europy wschodniej, byłoby równoznaczne z odwróceniem doktryny Breżniewa.

Jakby wielki nie był stopień abstrakcji tego rozumowania – pisałem wtedy drżącą ręką – to wycofanie się Rosjan z Afganistanu stanowiłoby pierwszy akt dekolonizacji imperium sowieckiego i pierwszy w historii akt desatelizacji kraju oku-

powanego przez armię czerwoną. Byłby to, pod względem wojskowym akt na miarę powstania „Solidarności" w płaszczyźnie politycznej: świat nigdy już nie będzie taki sam. Tak jak „Solidarność" udowodniła, że jest możliwe tworzenie stref wolności wewnątrz pancerza dyktatury, tak Afganistan udowodniłby, że okupacja sowiecka nie musi być wieczna, że komunizm jest odwracalny, że ZSSR wszedł, być może, w fazę post-totalitarną, że ideologia zamiera, a zostaje pragmatyczny rachunek zysków i strat.

Ex Oriente lux... Historia może sprawi, ryzykowałem, że dowód na odwracalność komunizmu przeprowadzi kraj leżący w Azji. Nie ma jednak powodu sądzić, że byłoby to zjawisko nie do zrealizowania gdzie indziej.

I rzeczywiście. Naturalnie, kiedy Gorbaczow marzył o powstaniu w Afganistanie „sąsiedniego państwa pokojowego, niepodległego, niezaangażowanego i neutralnego", to nie myślał nawet o Europie wschodniej. Można było już wtedy jednak zaryzykować pytanie: czy to co jest dobre na Wschodzie, nie jest dobre na Zachodzie? Reszta jest znana...

2. Pol Pot na Burgu

Druga hipoteza dotyczyła przyszłości po-sowieckiego Afganistanu. Można było (nie wszyscy mogli, jak się okazało) przewidzieć, że, zgodnie z jeszcze wtedy nieznaną formułą, odwrót Sowietów z Afganistanu pozbawi Afganów wroga. Zniknie wtedy jedyny cement, jedyna spójnia łącząca nieistniejące faktycznie trybalne społeczeństwo afgańskie.

Z jednej strony – pisaliśmy więc – powinno być jasne (jak się okaże, nie dla wszystkich), że na dłuższą metę nie mogą się udać próby utworzenia w Kabulu wiarygodnego i trwałego rządu „lubelskiego", to znaczy kontrolowanego przez Moskwę. I że, wobec tego, kiedy ostatni żołnierz sowiecki wycofa się z Afganistanu, to rozpadnie się w gruzach, i w krwi, komunistyczna partia afgańska, że bez czołgów sowieckich, komunistyczny prosowiecki aparat pójdzie z dymem.

Jeżeli zaś, i to była druga strona, chodzi o zjednoczony obecnością wspólnego wroga wspólny front antysowiecki, to można przewidzieć, że, po wycofaniu się Sowietów, „naród"

afgański przestanie po prostu istnieć. Kambodża Pol Pota – pisaliśmy w trwodze – „przypominać będzie bal na Burgu w Wiedniu w porównaniu z losem jaki czekałby komunistów afgańskich po odwrocie Moskwy spod Kabulu"... Tu także reszta jest znana...

V. PO KRÓTKIEJ PRZERWIE

Z tym Pol Potem, to lekko przesadziłem. Ale nie za bardzo. Ludobójstwa wszystkich, którzy noszą okulary, jak było w Kambodży (na razie) nie ma. Ale groza jest większa. I będzie rosnąć.

Ale po kolei. Najpierw była, jak mówią Francuzi, krótka *paranthèse*, przerwa. Już nie było Sowietów, ale jeszcze byli komuniści. Gromow wyszedł, a Nadzibulah pozostał.

Kto to był Nadzibulah? Były szef afgańskiego, nawet jak na Afganistan okrutnego KGB, zastąpił w 1986 roku Babraka Karmala, który, jak pamiętamy, zjawił się kilka lat wcześniej w sowieckim czołgu przysłanym na „czasowy pobyt". Pobyt był rzeczywiście czasowy. Dla Karmala.

Dla Nadzibulaha zresztą też. Po odwrocie Sowietów, Nadzibulah próbował rządzić sam, bez ludzkiej, ale z materialną pomocą Moskwy. Długo to nie trwało. Dla mudżahedinów, fizyczna nieobecność żołnierzy sowieckich sytuacji nie zmieniała. Odwrotnie, zwiększała ich entuzjazm w likwidacji sowieckiego i komunistycznego dziedzictwa. W kwietniu 1992, zajmują Kabul. Nadzibulah, zamiast wiać do Moskwy, został w Kabulu, oddając się, naiwny, i nie na długo pod opiekę... ONZ. Zanim nie zostanie zapomniany, albowiem powieszony publicznie na placu w Kabulu.

VI. SAM NA SAM

Tego dnia Afganowie zostali sami ze sobą. Sami? Dzieli ich wszystko. Religia: wszyscy, w zasadzie, są muzułmanami, w większości sunnici, ale ok. 20% szyitów, z odcieniami w obu kategoriach. Przynależność etniczna, cztery wielkie grupy (nie licząc bardzo licznych małych grup religijnych i języko-

wych): Tadżycy (25%, sunnici, mówią po persku); Hazarowie (15%, szyici, mówią po persku, pariasi Afganistanu), Uzbecy (10%, sunnici, mówią po turecku), no i Pasztunowie (40%, sunnici, mówią po... pasztuńsku), naród albo grupa etniczna, która właściwie stworzyła w XVIII w. niepodległy Afganistan.

To nie wszystko. Każdej większej, ale i mniejszej, grupie religijnej i etnicznej odpowiada frakcja polityczno-wojskowa. Nie jest to oczywiście chemicznie czyste i laboratoryjnie do oddzielenia, ale z grubsza można powiedzieć, że Tadżycy (oraz Turkmeni) mają wojsko pod nazwą „Dzamiat-e-Islami", Hazarowie – „Chezb-e-Wahdat", Uzbecy „Dzunbesz" itd. itp. Dla nas dziś najważniejsi są talibowie, w zasadzie zbrojne i duchowe, jeżeli można tak powiedzieć, ramię Pasztunów.

Wszystkie te zbrojne ramiona lały, jak długo trzeba było, najpierw Sowietów, a potem afgańskich komunistów. Kiedy się wróg skończył, zaczęły lać się wzajemnie. Sytuacja i konfiguracje zmieniały się bez przerwy, głównie w zależności od interesów zagranicznego, naturalnie, sponsora (od Rosji, poprzez Arabię Saudyjską i Pakistan, aż po Stany Zjednoczone), ale, znowu z grubsza biorąc, można powiedzieć, że stały oko w oko Pasztunowie czyli talibowie przeciwko wszystkim innym.

Stały do czasu. Mniejsza o detale. W chwili pisania tych słów, stoją już tylko talibowie, reszta leży.

VII. TALIBOWIE BEZ MITU

Cztery lata temu, talibowie, w obecnej postaci zorganizowanego ruchu religijno-wojskowego, po prostu nie istnieli. Skąd się wzięli? Z sowieckiego nadania, naturalnie.

Na początku, czyli w 1979 roku, inwazja sowiecka rzuciła na drogi Afganistanu, a potem do Pakistanu ogromne masy uchodźców. Wyzute ze wszystkiego, uchodźcze rodziny afgańskie nie miały wyboru: jeżeli chciały kształcić dzieci (a pamiętajmy, że komuniści ich do tego przyzwyczaili) to dostępne dla nich były tylko gratisowe szkoły koraniczne.

Słowo „talib " oznacza właściwie tylko studenta teologii. Weszło jednak do języka politycznego. „Profesorowie" w tych szkołach sami niewiele umieli, ale i nie o wykształcenie im

chodziło. Była to natomiast idealna okazja do indoktrynacji religijnej i ideologicznej: tą drogą wdrażano młodym najbardziej skrajną, integrystyczną odmianę islamu. Całe klasy młodych Pasztunów wychodziły ze szkoły talibów bez żadnej wiedzy i bez żadnego horyzontu poza skrajną znajomością najwęższej, często sfałszowanej, a zawsze zmilitaryzowanej wersji Koranu.

Dziś już mity obrosły historię pojawienia się talibów na scenie politycznej Afganistanu. Oni sami określają się jako „zakonnicy-żołnierze", bojownicy w turbanie, bo wszak nie w habicie. Musieliśmy wkroczyć – powiadają *a posteriori* – albowiem frakcje afgańskie wybijały się wzajemnie i ktoś musiał temu położyć kres. I rzeczywiście położyli.

Za początek ich marszu do władzy można uznać zajęcie Kandaharu jesienią 1994 roku. Patrząc stąd, wyraźnie widać warunki ich poczęcia: pieniądze i islam z sunnickiej Arabii Saudyjskiej, kontestowanej przez szyicki Iran, polityczne i wojskowe poparcie Pakistanu, szukającego dla siebie „hinterlandu" i, w konkurencji z Indiami, nie tylko handlowej drogi do rynków środkowo-azjatyckich, życzliwe spojrzenie Stanów Zjednoczonych, mających swój materialny (nafta ze środkowej Azji) i strategiczny (okrążyć sunnitami szyicki Iran) interes w powodzeniu talibów. W każdym razie dość szybko, w ciągu kilku tygodni, okazało się, że ci zakonnicy, w sile najpierw kilku, potem kilkudziesięciu, a w końcu kilkuset tysięcy żołnierzy, mieli dosyć broni i... organizacji, aby działać na zasadzie normalnej taktyki wojskowej i dosyć pieniędzy, aby móc przekupić tych przywódców frakcji, klanów czy... gangów, których ani bronią, ani Koranem pokonać się nie udało.

Krótko mówiąc, silni nie tylko poparciem ludności, ale i zagranicy, w lutym 1995 roku, talibowie stanęli u wrót Kabulu. W chwilę później, zdumiony świat odkrył, że talibowie kontrolują ponad 70% terytorium Afganistanu. Na tym odkrywanie talibów się nie skończyło. Jeszcze chwilka i okazało się, że talibowie wyszli poza Kabul, że wzięli się za bicie mocno, wydawało się, osadzonych na północy, zwaśnionych batalionów uzbeckich i tadżyckich, i że zbliżają się (w chwili pisania tych słów) do granicy byłego ZSSR.

VIII. PROSTE CREDO

Świat odkrył też wtedy *credo* talibów. „Islam – powiedział mollah Wakil Ahmed Mutawakil, rzecznik ruchu talibów – to religia całkowita, która zawiera wszystko co niezbędne, aby móc normalnie i codziennie rządzić. Nasz system polityczny to Koran, nasze prawo, to 'szaria' wraz z właściwymi sankcjami..."

Na tym właściwie program talibów się wyczerpał. I to jest istota tego co zapowiedział – i co jest w trakcie realizacji – mollah Omar, niewidomy (ranny w czasie wojny z Sowietami) i... niewidzialny szef talibów.

Niech nikt nie sądzi, że dziś talibowie są ciągle marionetkami Pakistanu czy Arabii Saudyjskiej. Te czasy się skończyły. Talibowie są witani wszędzie jako wyzwoliciele zarówno od byłych kolaborantów okupacji sowieckiej, co i od bandyckiego traktowania ich przez rozmaite gangi tak czy inaczej powołujące się na islam. Pewnie, przyjdzie czas na otrzeźwienie, ale na razie, w latach 1995-97, po prawie 20 latach wojny, talibowie symbolizują nadzieję na pokój, spokój i bezpieczeństwo.

To zresztą jest, w pewnym sensie, prawda. Odziani na czarno, zawsze w turbanach, ci surowi Pasztunowie, chłopskie dzieci, o ascetycznych i... brodatych twarzach, są równie nieustępliwi i nietolerancyjni co... uczciwi. Dobra w ogóle, a szczególnie domy skonfiskowane przez rozmaitych watażków, były zwracane prawowitym właścicielom. Rozmaite prywatne i złodziejskie milicje, szantażujące ludność, są rozbrojone i rozwiązane. Korupcja ostro zwalczana. Ci, którzy zbyt łatwo utożsamiali interes państwa ze swoim własnym, są surowo karani. Tego jeszcze w Afganistanie nikt nie widział. I nikt nie wiedział, a nawet nie wyobrażał sobie, co jeszcze zobaczy.

IX. MOLLAH-UBU

A jest co oglądać. Porządek w wykonaniu talibów kosztuje bardzo drogo. Zaczęło się powoli. Dziś, w Kabulu z

Koranem w jednym ręku a kałasznikowem w drugim, rządzi mollah-Ubu. Talibowie narzucili Afganom reżym, jakiego nie zna żaden inny kraj muzułmański, arabski czy jakikolwiek inny. Cel talibów jest znany: ustanowienie „emiratu islamskiego" najbardziej surowego, najbardziej „czystego" na świecie.

Talibowie w nic nie wątpią, bo nie mają... wątpliwości. To bardzo dziwna odmiana integryzmu. W „zasadzie", ekstremistyczne kierunki w islamie zrodziły się z reformy otwartej z początkiem wieku w Indiach, lub już współcześnie w Egipcie (np. Bracia muzułmańscy).

Inicjatorzy tych kierunków starali się pogodzić powrót do litery Koranu z osiągnięciami zachodniego modernizmu. Talibowie, to zupełnie inna tradycja w islamie, to szkoła z Deobandi, miasta w północnych Indiach, gdzie z końcem XIX wieku działała i oddziaływała szkoła ortodoksyjnych mollahów, objętych obsesją oczyszczenia islamu z wszelkich obcych naleciałości.

Zgodnie z tą tradycją, dla talibów, Koran jest równocześnie i orężem, i odniesieniem, formułą modłów i regułą postępowania. Wszystko co jest zapisane w Koranie ma być stosowane, albowiem Święta Księga przynosi odpowiedź na każde pytanie.

Na skomplikowaną taktykę sprawowania władzy w kraju rozbitym na wrogie często szczepy, gdzie w ogóle nie było prawdziwej władzy centralnej i gdzie rządzenie polegało na przekupywaniu albo niszczeniu poszczególnych klanów, talibowie odpowiedzieli logiką uniwersalnego mesjanizmu. Jego symbol to „Mahdi", wódz i nauczyciel, wszechmocny mollah Omar, którego nie widać i nie słychać, który nigdy nie pokazuje się publicznie, ale który, tak jak „Wielki Brat" Orwella jest obecny wszędzie i... nigdzie, i stanowi ostateczne i obowiązkowe źródło jedynej prawdy.

Dla tych chłopskich „zakono-żołnierzy", których całe wykształcenie sprowadzało się do znajomości najbardziej prymitywnej wersji Koranu, Kabul, który uchodził za miasto zepsucia najpierw przez króla, potem przez komunistów, gdzie panowało, nie tylko formalnie, równouprawnienie kobiet i powszechne rozpasanie w ogóle, musiał zostać ukarany. W tym sensie, Kabul, gdzie 20 lat wcześniej, w jego „złotym wieku", krzyżowały się światy mongolski, hinduski, perski, rosyjski, a

nawet europejski (ślady kolonizacji brytyjskiej), stał się dla talibów czymś w rodzaju laboratorium działania nakazów i zakazów Koranu, w ich własnej wersji i interpretacji.

X. ŻYĆ NIE UMIERAĆ

Wystarczy krótki opis świata widzianego przez talibów, żeby zrozumieć urok życia według ich reguł:

– zakaz pracy kobiet (z wyjątkiem niektórych kobiet-lekarzy, mających prawo leczenia tylko kobiet),

– zakaz wychodzenia kobiet w ogóle, obowiązek, kiedy już nie można inaczej, pokazywania się tylko za „burką" (zasłoną) i tylko w towarzystwie mężczyzn, męża lub brata (powiadają, że z powodu złej widoczności zza siatki na oczy, kobiety są często ofiarami wypadków drogowych),

– zakaz kształcenia dziewcząt,

– zakaz zabaw i rozrywek, które „odwracają uwagę od islamu)",

– zakaz ubierania się „po zachodniemu",

– zakaz działalności klubów sportowych,

– zakaz zamykania ptaków w klatce,

– zakaz wyświetlania filmów w kinach,

– zakaz posiadania telewizji i video,

– zakaz słuchania muzyki niereligijnej,

– zakaz fotografowania żywych istot,

– zakaz, to jasne, wydawania jakichkolwiek pism i czasopism niezależnych od talibów,

– zakaz funkcjonowania łaźni tureckiej, chociaż spotykali się tam oddzielnie mężczyźni i oddzielnie kobiety, miejsca, które, według talibów, nie tylko szerzyły choroby, ale rodziły i wzmagały „niezdrowe chucie". Teraz czynne mogą być tylko „hamamy", indywidualne kabiny, których naturalnie jest za mało, aby w zrujnowanym mieście można było zapewnić mieszkańcom minimum higieny,

– zakaz wychodzenia dla wszystkich po określonej godzinie, czyli godzina policyjna,

no i:

– nakaz noszenia brody (o dokładnie określonej długości) i nakrycia głowy.

Poszanowania tych reguł pilnuje „policja religijna" czyli polityczna. Jej patrole poruszają się po mieście w otwartych, łatwo rozpoznawalnych półciężarówkach. Składają się z bardzo młodych ludzi (przypomniało mi to pierwszych NKWD-ystów spotkanych w czasie wojny jeszcze, wyjątkowo młodych, często niższych od karabinu z bagnetem jaki nosili i wyjątkowo bezlitosnych). Wyskakują nagle z samochodu, spadają jak jastrzębie na ofiary, to znaczy ludzi, którzy w jakiś sposób, arbitralnie zresztą ustalany, narazili się władzy, gwałcąc jeden z niezliczonych zakazów. Wystarczy zresztą aby nieszczęśnik nie potrafił poprawnie wyrecytować jakiegoś wersetu z Koranu, lub żeby ktoś doniósł, iż opuścił on jedną z pięciu obowiązkowych codziennych modlitw, aby kara spadła na delikwenta. Chłosta na miejscu, więzienie, itd. Obcięcie ręki za złodziejstwo, kara śmierci za morderstwo, przy czym wyrok może być wykonany przez rodzinę ofiary. Kiedy zakaz posiadania telewizorów wydał się mało skuteczny, policja religijna spadała na domy i mieszkania i wyrzucała aparaty przez okno. Często widać też słupy elektryczne lub telefoniczne obwieszone girlandami skonfiskowanych taśm filmowych.

Talibowie są bardzo dumni ze swej policji, noszącej oficjalnie nazwę „Departamentu walki z zepsuciem i niesienia cnoty". Jej rzecznik mówi: „Jesteśmy odpowiedzialni jakby za szczepienie ludzi przed chorobami zakaźnymi. Niektórych 'chorych' karzemy na miejscu innych przekazujemy sądowi. Jeżeli szczepienie nie działa, trzeba chorego przekazać lekarzowi".

XI. CZARNY BOLSZEWIZM.

Żyć nie umierać. Jak długo to może trwać? Tak długo, dopóki, jak nieuchronnie w każdym totalitaryzmie, nie pojawi się także w systemie talibów, tym specyficznym wydaniu islamskiego bolszewizmu, grupa zwana nomenklaturą, klasa uprzywilejowanych, aparat „kapłanów", posiadaczy prawdy, „równiejszy" od normalnych obywateli. Już dziś widać, że na styku z władzą pojawia się korupcja i „profitariat": niektórzy np. mają prawo do telewizorów itp., nie respektują zasad,

które narzucają innym. Kiedy już będą kontrolować wszystko i wszędzie, wtedy pojawią się różnice polityczne: „umiarkowani" kontra „ultrasy", reformatorzy kontra konserwatyści, jeden szczep okaże się „równiejszy" od innego. Pozornie chodzić będzie o ideologię i wiarę, w istocie – o władzę i pieniądze. I zacznie się wszystko na nowo.

My to znamy, bo to się zawsze tak zaczyna... Zwłaszcza, że Afganistan talibów nie leży na księżycu.

XII. ZNOWU „WIELKA GRA"?

Louis Duprée zauważył trzeźwo: „Kto chce zgubić ZSSR, ten niech go namówi na połknięcie Afganistanu". Było to powiedziane lata całe zanim Breżniewowi się przyśniła komunizacja Afganistanu. Pytanie, czy refleksja ta dotyczy także innych krajów. Afganistan stanowił od zawsze kwestię międzynarodową. Tak postanowiła geografia, a tej, jak połykając pół Finlandii zauważył Józef Stalin, żaden człowiek zmienić nie może. Wystarczy przypomnieć choćby „Wielką Grę", skrót, który określał wojnę brytyjsko-rosyjską w XIX wieku o kontrolę Afganistanu właśnie. Anglików zastąpili inni, ale wielka gra trwała i chyba trwa nadal. Tych innych jest wielu: Pakistan, naturalnie i Arabia Saudyjska, ale także Iran, Rosja, i Stany Zjednoczone. O każdym można napisać tomy. Dwa ostatnie, każdy z innych powodów, zasługują na bliższe spojrzenie.

1) Uczeń czarnoksiężnika

Odpowiadając na pytanie dotyczące poparcia USA dla mudżahedinów, Zbigniew Brzeziński jest zdania (*Nouvel Observateur* z 15 stycznia 1998), że pomoc jakiej USA zaczęły udzielać Afganom począwszy od lipca 1979, czyli jeszcze przed interwencją sowiecką, stanowiła wielki sukces amerykański. „Jej efektem – powiada Brzeziński – było wciągnięcie Moskwy do afgańskiej pułapki... do konfliktu, który wywołał demoralizację i w końcu rozpad ZSSR. Co jest ważniejsze z punktu widzenia historii świata – pyta Brzeziński

– talibowie, czy upadek imperium sowieckiego?"

Do jego zasadniczego argumentu można dodać jeszcze mniej planetarne powody. Tak czuli na prawa człowieka, w tym wypadku zwłaszcza na prawa kobiet, Amerykanie zamykają oczy na barbarzyństwo talibów także z kilku innych przyczyn. Z jednej strony, obecność talibów na granicy z Iranem ajatollahów ma swój „szarm". Wrogość talibów do ich braci w islamie po drugiej stronie granicy jest powszechnie znana, a wszystko co nie sprzyja Iranowi zasługuje na sympatię Waszyngtonu.

Z drugiej strony, obecność talibów na byłej granicy sowieckiej, owszem także bardzo interesuje Amerykanów. Przyczyny są może mało szlachetne, ale w perspektywie, bardzo opłacalne. Chodzi o rzecz przyziemną, dosłownie i w przenośni, a mianowicie o rurociąg z nieskończonych rezerw Turkmenistanu, przez Afganistan do Pakistanu i jeszcze dalej. Projekt ma charakter, naturalnie, wyłącznie ekonomiczny, ale niestety wymaga pewnych zmian geopolitycznych, a mianowicie zakończenia wojny czyli dotarcia talibów do tej granicy właśnie. Projekt ciekawy: przez ponad 1200 kilometrowy gazociąg Turkmenistan mógłby wysyłać ok 20 milionów metrów sześciennych gazu rocznie. Tak się składa, że w spółce projektującej ten gazociąg największe udziały (36,5%) posiada naftowa firma amerykańska Unocal.

Wybór tej koncepcji i poparcie dla niej ze strony Waszyngtonu uzasadnia także fakt, iż alternatywą (logiczniejszą z każdego punktu widzenia) byłby taki sam gazociąg nie przez Afganistan, a przez... Iran. Pomysł bolesny dla USA, jako że zakłada pogwałcenie embarga, jakie, ku ogólnemu niezadowoleniu, Waszyngton nałożył na Iran, a które i bez talibów jest coraz bardziej nagminnie gwałcone i lekceważone przez europejskich i rosyjskich sojuszników Ameryki.

Jest jednak jeszcze jeden, specyficzny, aspekt sprawy stosunków USA i talibów. Amerykańska pomoc w broni i pieniądzach dla mudżahedinów stanowiła zasadniczy czynnik ich wojskowego zwycięstwa nad ZSSR. Kiedy okazało się, że po wycofaniu się Rosjan, mudżahedini nie są w stanie się dogadać i wzięli się za łby, Amerykanom się zdawało, że talibowie potrafią kraj uspokoić i otworzyć pozairańską drogę do bogactw Azji środkowej.

Kosztowna kalkulacja. Talibowie u władzy przekształcają Afganistan nie tyle w szlak dla gazu, co w bazę dla terrorystów. To w Afganistanie ma swój sztab i stąd prowadzi swe akcje najbardziej dziś poszukiwany szef siatki terrorystycznej opartej o „Afgańców", pochodzących z rozmaitych nacji, weteranów wojny z ZSSR. Ślady „obecności" tej międzynarodowej „brygady integrystów" stanowiącej kościec międzynarodowego terroryzmu, można odnaleźć w Algierii, Sudanie, Bośni, Palestynie i ostatnio w Kosowie.

W tym punkcie historia zachichotała. Szef siatki, pan Ussama ben Laden, bardzo bogaty były obywatel saudyjski, „osobisty" uczestnik wyzwoleńczej wojny afgańskiej, obsesyjnie anty-amerykański i anty-izraelski, jest dziś mianowicie posądzany przez wszystkie wywiady świata o sfinansowanie i zorganizowanie (przy pomocy naturalnie infrastruktury zapewnionej przez jakieś „normalne" państwo) zamachów na dwie ambasady USA w Afryce.

2) Berezyna w Azji

Rosjanie to rozumieją od dawna. Co najmniej od odwrotu spod Kabulu, dziewięć lat temu. Po ówczesnym przekroczeniu mostu, w odwrotnym kierunku, Rosjanie są dziś znowu na brzegu, niedaleko. Do mostu i do południowej granicy WNP, wspólnoty – dziedziczki ZSSR, zbliżają się bowiem talibowie, najbardziej niebezpieczna dla Rosji i trójki jej środkowo-azjatyckich sojuszników (Turkmenistanu, Uzbekistanu i Tadżykistanu) odmiana sfanatyzowanych fundamentalistów muzułmańskich, u władzy obecnie w Kabulu. Granicy tej broni obecnie 30.000 żołnierzy rosyjskich stacjonujących, naturalnie „czasowo", w Tadżykistanie i okolicy. Liczba ta rośnie odwrotnie proporcjonalnie do dystansu między talibami a granicą.

Alarm jest realny. W chwili pisania tych słów, talibowie posuwają się ku północy, zajęli już główny bastion opozycji, 500-tysięczne miasto Mazar-e-Szarif, 450 km na północ od Kabulu i choć zawsze trzeba sytuację w tym regionie oceniać ostrożnie, wszystko wskazuje, że niedługo znajdą się na granicy WNP.

Moskwa wykonuje ruch podwójny. Z jednej strony oskarża Pakistan o ingerencję w Afganistanie i pomaganie talibom, zwołuje szczyt środkowo-azjatyckiej trójki, napina mięśnie, podnosi głos oraz ostrzega, że gdyby talibowie zagrozili granicy wspólnoty środkowoazjatyckiej, to „reakcja będzie bardzo ostra".

Z drugiej strony, zgodnie z zasadą, że wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi, pomaga bronią, pieniędzmi, zapleczem i infrastrukturą przeciwnikom talibów, etnicznym grupom afgańskich Tadżyków i Uzbeków, ale także najrozmaitszym frakcjom, szczepom i gangom, nieraz zwyczajnym bandytom, a także terrorystom (tylko w przeciwną stronę), krótko mówiąc siłom, które starają się, jak widać coraz mniej skutecznie, umocnić strefę buforową, oddzielić talibów od tej właśnie granicy.

Stawka dla Rosji jest ogromna. Z jej punktu widzenia obsadzenie przez talibów granicy WNP, równie gęstej jak stare sito, to groźba dla stabilizacji całego regionu. Tadżykowie np. żyją po obu stronach granicy. Nic bardziej podobnego do siebie niż Tadżyk z Tadżykistanu do Tadżyka z Afganistanu. W tych warunkach nawet jeżeli talibowie, co nie jest pewne, nie zdecydują się na „personalne" przekroczenie granicy, to i tak nic łatwiejszego niż zakażenie fundamentalizmem, czyli nowy rodzaj destabilizacji zdalnie kierowanej.

Do tego należy dodać ogromne zwiększenie wszelkiego rodzaju kontrabandy: terroryzmu (w Afganistanie wszak mieści się sztab Ussama ben Ladena, znanego nam już – patrz wyżej – domniemanego organizatora zamachów na koszary amerykańskie w Arabii Saudyjskiej i niedawno na dwie ambasady USA w Afryce), ale także broni, no i narkotyków.

Można talibom zaufać: nie zaniedbają niczego co może przyczynić się do zniszczenia rozmaitych kolejnych szatanów wielkich i mniejszych.

Moskwa nie ma złudzeń. Już to przerabiała. Do tego remanentu dochodzi ponadto nowy detal. Za kilka miliardów dolarów. Nieprzyjemna mianowicie, też już nam znana – patrz wyżej – aktywność USA po stronie... talibów. Pomysł budowy rurociągu z Turkmenii do Pakistanu poprzez spacyfikowany przez talibów Afganistan, Moskwie nie bardzo odpowiada, bo w ten sposób przebogaty (potencjalnie) Turkme-

nistan uniknie konieczności tranzytu, czyli kontroli i instrumentu nacisku, przez Rosję.

Mści się historia. Zaabsorbowana ogromnymi problemami wewnętrznymi (rubel, gospodarka, Czeczenia, ale także przepychanki personalne i zygzaki Jelcyna, itp) Rosja nie miała czasu ani, trzeba to powiedzieć, niezbędnej wyobraźni aby na czas wypracować strategię dostosowaną do sytuacji post-sowieckiej i post-kolonialnej wzdłuż granicy jej azjatyckich interesów. A przecież jest to region ultrastrategiczny z punktu widzenia Moskwy: rodzaj mostu między Rosją, Chinami, Iranem i Afganistanem. Granica ta, formalnie trzech państw środkowoazjatyckich, jest więc, w pojęciu Rosji, granicą jej własnych interesów.

Zachodzi niebezpieczeństwo, że Moskwa będzie musiała za to zaniedbanie drogo zapłacić. Ostatni konflikt zimnej wojny trwa. Most jest niedaleko. Na azjatyckiej Berezynie?

XIII. BUMERANG

Jest kilka wniosków z niebanalnej sytuacji w jakiej dwa supermocarstwa znalazły się za sprawą synów pasztuńskich chłopów z południowego Afganistanu. Podstawowy jednak to ten, że z fanatykami i terrorystami wszelkiej maści nie warto i nie należy się „kumać" w żadnych warunkach, na zasadzie żadnej real-polityki i za żadną cenę.

Ja wiem, że tak jak 10 lat temu nikt nie chciał uwierzyć w ostrzeżenia *Kultury*, tak i dziś nikt się specjalnie tym pisaniem nie przejmuje. Można tylko westchnąć i powtórzyć: interesy z terrorystami to bumerang. Zawsze wróci i uderzy. Polityka zakładająca, że nasz bumerang jest specjalny, akurat taki co nie wraca, jest znana i ma swoje miejsce w sztuce, w literaturze i muzyce: nazywa się „uczeń czarnoksiężnika". Tylko, że tutaj nie chodzi o sztukę, a chodzi o życie.

Pisane 17 sierpnia 1998

Leopold UNGER

Z nordyckiej perspektywy

Szwedzka przygoda na Ukrainie

Kilka lat temu wyglądało to ponuro: dwaj przedsiębiorczy Szwedzi, Johan Bodén i Carl Sturén mieli w ukraińskiej Kachówce barak i kilka zatrudnionych osób – samych Szwedów, gdyż nikt z Ukraińców nie wierzył w ich pomysł. Dziś mają dwie nowoczesne fabryki, które zatrudniają ponad 500 osób, a w sezonie nawet 1200 pracowników, z których wszyscy regularnie – rzadkość na Ukrainie! – otrzymują swoje pensje w wysokości przewyższającej na ogół średnią krajową. Razem z dostawcami fabryki te dają pracę 3 tysiącom ludzi – imponujący wynik po tak krótkim okresie pracy, a więc nic dziwnego, że niedawno firmę odwiedził prezydent Kuczma i składał gratulacje. Przygodę młodych Szwedów na południu Ukrainy opisał bliżej miesięcznik Bizniz (czerwiec 1998).

Firma nazywa się Czumak i produkuje ketchup, marmolady, soki, konserwy jarzynowe, a ostatnio także majonez. W 76% firma należy do w/w Szwedów, w 24% – do państwa ukraińskiego. Czumak rozpoczął już eksport do Rosji, a w ambitnych planach ma produkcję na całą Europę Wschodnią.

Wszystko zaczęło się w roku 1994, gdy młody Carl Sturén, zaraz po odbyciu szwedzkiej służby wojskowej, przez zupełny przypadek pojechał do Kijowa i zauważył, że w sklepach albo są owocowe i jarzynowe przetwory firm zachodnich: Heinz, Del Monte etc. – na które przeważająca większość Ukraińców jeszcze długo nie będzie mogła sobie pozwolić – albo przetwory importowane z Bułgarii i Polski o wyglądzie i smaku „deprymująco wschodnioeuropejskim" (jak to określa miesięcznik *Bizniz*). Ukraińskich przetworów Carl nie widział w ogóle. Ponieważ szybko zorientował się, że Ukraińcom potrzebna jest przede wszystkim inicjatywa oraz zachodnia organizacja pracy i *know how*, postanowił porozmawiać ze swoim wujem, mającym doświadczenie w branży przemysłu spożywczego. Wuj, Johan Bodén, dał się w końcu przekonać; znacznie

gorzej poszło ze szwedzkimi bankami – Ukraina znajduje się na dnie wszystkich tabeli i rankingów całej Europy Wschodniej, a szwedzcy analitycy uważają, iż wobec ślimaczego tempa reform strukturalnych Ukrainy, interesy udawać się tam mogą tylko na styku rodzimej i rosyjskiej mafii. Panowie Sturén i Bodén rozpoczęli więc tylko ze skromnym kapitałem własnym, na który złożyły się głównie pożyczki od rodziny.

Początki były bardzo trudne. Mówiąc szczerze Szwedzi musieli nawet nadzorować hodowlę pomidorów czy ogórków, gdyż nawet taka umiejętność zanikła w komunizmie. Carl Sturén przyznaje także, iż bardzo mu pomogło, że na Ukrainę trafił prosto z wojska; po treningu w szwedzkich oddziałach specjalnych nawet ukraińskie wyżywienie i warunki zakwaterowania wydawały się jako tako znośne.

Za największy sukces Sturén i Bodén uważają, iż mają opanowane nie tylko 50% rynku całej Ukrainy, ale dynamicznie weszli na rynek Rosji. Przewidują, że za kolejne 2-3 lata będą pokrywać zapotrzebowanie rynku rosyjskiego w 20%, a za 10-15 lat cała Europa Wschodnia będzie chrupać ich korniszony i pikle, popijać ich soki owocowe, smarować grzanki ich marmoladą i polewać parówki ich ketchupem. Ambicją ich jest zdobyć w branży spożywczej taką pozycję, jaką IKEA ma na rynku mebli; brzmi to fantastycznie, ale pamiętajmy, że twórca koncernu IKEA, Ingvar Kamprad zaczynał zupełnie z niczego w zagrodzie rodzinnej wioski.

Przedsiębiorcy w rodzaju twórców firmy Czumak są dla Ukrainy wręcz bezcenni. Wprawdzie ukraiński bilans handlu zagranicznego trochę się poprawił, ale związane jest to głównie z opłatami za tranzyt ropy i gazu. Wśród głównych partnerów handlowych Ukrainy znajdują się już państwa zachodnie (na drugim miejscu – Niemcy, na trzecim USA), ale kraj ten jest nadal klasycznym dostarczycielem surowców, głównie metali i prostych wyrobów walcowanych. Z uwagi na konieczność importu rosyjskich surowców energetycznych bilans handlu Ukrainy z tym krajem jest rozpaczliwie ujemny, a więc cenna jest każda inicjatywa mogąca prowadzić do jego zmniejszenia, a perspektyw eksportu na rynki wschodnioeuropejskie i zachodnie też nie należy lekceważyć.

Dnia 21 lipca 1998 szwedzka prasa branżowa podała, że jeden z największych wytwórców mebli i wyposażenia mieszkań na świecie, szwedzki koncern IKEA, podjął decyzję budowy w Rosji 9 dużych domów towarowych. Koszt każdego z nich wyniesie 100-110 milionów dolarów, a więc cały rosyjski projekt koncernu IKEA (razem z drobnymi inwestycjami towarzyszącymi) pochłonie aż miliard dolarów. Pierwszy z planowanych domów towarowych, którego budowę rozpoczęto w połowie lipca tego roku, oddany będzie do użytku na przedmieściach Moskwy w październiku 1999. Będzie to największy z dotychczasowych domów towarowych koncernu IKEA na świecie, o powierzchni sprzedaży 31 tysięcy metrów kwadratowych i personelu liczącym 350 osób.

Nazwa koncernu IKEA pochodzi od inicjałów założyciela (Ingvar Kamprad) oraz jego zagrody (Elmtaryd) i rodzinnej wsi (Agunnaryd), gdzie w roku 1943 założył zaledwie 17-letni wówczas Ingvar przedsiębiorstwo sprzedaży wysyłkowej IKEA. Dziś ma IKEA 130 domów towarowych na świecie, które rocznie odwiedza 120 milionów klientów. Idea businessu Kamprada: „wygodniejsze życie dla wielu" opiera się o filozofię sprzedaży solidnych mebli za możliwie najniższą cenę; dlatego, gdy tylko to możliwe, meble sprzedawane są w poręcznych opakowaniach, zawierających elementy, które nabywca sam składa w domu (jest to jednak operacja tak prosta, iż poradzić sobie z nią może nawet osoba posiadająca przysłowiowe „dwie lewe ręce"). *Design* oparty jest o stare, chłopskie wzory szwedzkie, a produkcja oparta o 1850 podwykonawców w blisko 50 krajach. Od roku 1958 meble i całe pozostałe wyposażenie mieszkań sprzedaje IKEA w dużych domach towarowych, gdzie – zgodnie z zasadami koncernu – nabywać będzie można praktycznie całe wyposażenie mieszkań: od szerokich łóżek i skórzanych sof do lamp i sztućców.

Gerhard Egert, przedstawiciel koncernu podkreśla, że w Rosji istnieje już bardzo duża grupa potencjalnych nabywców, w rejonach Moskwy i Petersburga oceniana przez niego na 30 milionów klientów. Konkurencja jest prawie żadna, a więc IKEA może liczyć na to, iż większość klientów zaopatrywać się będzie właśnie w jej domach towarowych. Gerhard Egert nie obawia się warunków prowadzenia businessu w

Rosji. – Opór niechętnej biurokracji jest czymś normalnym w każdym kraju wschodnioeuropejskim – powiedział Egert w rozmowie z dziennikarzem *Finanstidningen* (21 VII 1988). Przedstawiciel koncernu na pewno wie, co mówi, gdyż IKEA prowadzi już swoją działalność na Węgrzech, a także w Polsce i Czechach. Ponadto doświadczenie pokazuje, że rzeczywiście wielkie firmy zachodnie nie mają problemów z rosyjską mafią, prędzej już z aparatczykami.

●

Sekretarz stanu (statssekreterare) Gunnar Lund, zajmujący się w szwedzkim MSZ zagadnieniami europejskiej integracji, mówi: „Obliczamy, że niezbędne inwestycje ekologiczne we wszystkich krajach kandydackich – od rolnictwa i przemysłu do energetyki, stanu wód i transportu będą kosztowały 150 miliardów ECU czyli 1 286 miliardów SEK" (*DI*, 31 III 98). Gunnar Lund podkreśla, iż w Unii panuje zgoda, że w kwestiach ekologicznych kraje kandydackie nie mogą liczyć na żadne dyspensy: nie tylko dlatego, że inwestycje ekologiczne są niezbędne z punktu widzenia interesów całej Europy, ale także dlatego, że w przyszłym wolnym ruchu towarów nie może Unia dopuścić do „ekologicznego dumpingu".

●

Robert Jakobsson – założyciel awangardowego teatru „Albatross", a zarazem jego główny reżyser i aktor – uważa Jerzego Grotowskiego za jednego z największych geniuszy wszechczasów. Nic więc dziwnego, że ze swoją najnowszą sztuką „Helig" (Święty) teatr „Albatross" pojechał także do Polski; występowali nie tylko w dużych miastach (Warszawa, Kraków, Gdańsk), ale także na prowincji, w miasteczkach, które dawniej w większości zamieszkiwali Żydzi. „Helig" – sztuka o świecie, który zginął razem z polskimi Żydami – obsypany został deszczem pochwał polskiej krytyki. Natomiast reakcje publiczności były trudniejsze do wytłumaczenia (jak to delikatnie ujął dziennik *Dagens Nyheter* z 5 sierpnia 1998). Członków zespołu „Albatross" szokowało, iż w szczególnie drastycznych scenach część publiczności reagowała oklaskami i okrzykami w

rodzaju: „Do diabła, że też ich wtedy wszystkich nie wyrżnęli".

Robert Jakobsson przyznaje w rozmowie z *Dagens Nyheter*, iż znana jest mu opinia, że Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem matki. Sam był zresztą zaskoczony wielką ilością brutalnych, antysemickich napisów, które widuje się na murach w polskich miastach. Jednak Jakobsson – autentycznie życzliwy ojczyźnie Grotowskiego – starał się jakoś wytłumaczyć ten niepojęty antysemityzm w kraju bez Żydów. – Być może zagłada – mówił Jakobsson – jest na polskiej ziemi tragedią zbyt świeżą, aby Polacy mogli sobie z niej zdawać sprawę? Przecież dopiero przed dziesięciu laty zaczęto się w Polsce jakoś ustosunkowywać do tej traumy. Robert Jakobsson przypomniał, iż komuniści wykorzystywali Shoah tylko jako element antyniemieckiej propagandy, co u wielu Polaków mogło wywołać ambiwalentny stosunek do tego ludobójstwa.

Wypowiedzi Jakobssona dla *DN* i szwedzkiego radia akurat zbiegły się w czasie z agencyjnymi doniesieniami o zdewastowaniu na cmentarzu w Palmirach 53 grobów żydowskich.

Stefan ABNER

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

– Literatura piękna i fachowa,

– Albumy, plakaty, pamiątki,

– Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Kraj

Wielkie Miasto Białystok

„Wielkie miasto Białystok" – to tytuł książki Sokrata Janowicza, zbioru opowiadań, gdzie Białystok oglądany jest z perspektywy Krynek – rodzinnej wsi pisarza. Jest ono wielkie nie wysokością wieżowców, bo takich tutaj nie ma, ani szerokością ulic, ani zgrzytem tramwajów, bo tego także nie ma. Wielkie jest miasto Białystok z perspektywy Krynek, ale z innego powodu – to tu są wojewodowie i prezydenci, biskupi i dyrektorzy teatrów, działa kilkadziesiąt mniejszych i większych partii, związków politycznych i stowarzyszeń, klubów literackich i dyskusyjnych, jest uniwersytet i prawie tuzin innych wyższych uczelni.

W upalny letni dzień w Białymstoku na rynku Kościuszki jest leniwie, swojsko i pogodnie. Dziennikarze, literaci i artyści popijają piwo i plotkują. Na świętego Rocha – to święto parafii św. Rocha w Białymstoku – też jest normalnie, prawie jak na każdym wiejskim odpuście: ludzie kupują dzieciom kolorowe zabawki i gawędzą z napotkanymi przygodnie znajomymi. Wyśpiewał to pięknie w swej piosence o kolorowych jarmarkach Laskowski.

W tej oto leniwej, pogodnej i sielskiej atmosferze, przy kolorowych zabawkach pod kościołem św. Rocha i przy piwku na Rynku Kościuszki rozstrzygają się dalsze losy świata. Realizuje swój polityczny byt Wielkie Miasto Białystok.

●

Zatem słów parę o świecie. Przez Białystok przechodzi jeden z ważniejszych politycznych południków – łacińsko-

bizantyjska rubież cywilizacyjna przecinająca kontynent gdzieś od Morza Barentsa po Adriatyk. Po jednej stronie łacinnicy – katolicy i protestanci, a po drugiej stronie – prawosławni. O co w istocie poszło, trudno dociec, znawcy mówią, że o pochodzenie Ducha Świętego. Łacinnicy utrzymują, iż Duch Święty pochodzi od Boga Ojca i od Syna, prawosławni, że tylko od Boga Ojca. Są jednak skłonni uznać, że pochodzi od Boga Ojca poprzez Syna. Niby drobiazg, ale przelano morze krwi, by udowodnić, kto naprawdę ma rację.

O co naprawdę poszło, dziś trudno dociec. Ale rubież łacińsko-prawosławna jest faktem. Wszędzie da się to stwierdzić: łacinnicy są bardziej racjonalni, prawosławni – emocjonalni, łacinnicy oszczędni (skąpi?), prawosławni – gościnni, łacinnicy są bogatsi, prawosławni – biedniejsi, prawosławni częściej niż łacinnicy przesiadują przy piwku, czasem – przy mocniejszych trunkach.

W wyborach politycznych łacinnicy głosują raczej na liberałów, prawosławni – na lewicę. Da się to zauważyć nad Morzem Barentsa, gdzie mieszkają Lapończycy-protestanci i Lapończycy-prawosławni (Skolci) i nad Adriatykiem, gdzie różnice te mają wymiar tragiczny. Da się to zauważyć również na Białostocczyźnie. Jak to się ma do sporu o pochodzeniu Ducha Świętego trudno dociec, ale chyba jakoś się ma. Prawosławni szukają swego szczęścia i swego zbawienia w bycie tu i teraz, łacinnicy przenoszą to w przyszłość ku – w miarę jasno zarysowanym – celom.

Czym będzie ta rubież w przyszłości? Czy będzie to – jak twierdzi Huntington – granica cywilizacji, wzajemnie niedialogowych, z których każda odnajdzie własny model szczęścia i zbawienia, a które w XXI wieku zmierzą się w III wojnie światowej? Albo może inaczej – jak twierdzi Fukuyama – wszystkie ludy odnajdą ostateczne szczęście w doktrynie liberalnej, która wszystkich pogodzi, i wszyscy będą szczęśliwi jak dziś Amerykanie? Albo jeszcze inaczej – jak chce tego Zbigniew Brzeziński – Euroazja stanie się władztwem Stanów Zjednoczonych i one zaprowadzą w świecie ostateczny porządek i spokój.

Te głośne projekty przyszłości nie zadawalają nas, jak się zdaje. Może zatem wrócimy do idei cywilizacji środkowoeuropejskiej i roli Polski w tym regionie?

Takie oto mądre dysputy toczą się na wysokim niebie nad Wielkim Miastem Białystok.

Przy piwku i na odpuście przed kościołem św. Rocha nie rozmawia się, rzecz oczywista, o Huntingtonie, ni o Fukuyamie, rozmowy są konkretne, praktyczne – kto odszedł, kto przyjdzie na jego miejsce, o podziale pieniędzy, czasem o tym, kto naprawdę rządzi w Białymstoku, bo to nie jest całkiem jasne. Ale tak się realizują dzieje – w banalności intryg i interesów, w barwności odpustowych jarmarków, w dostojnej procesji Bożego Ciała.

●

Realizują się te dzieje różnie. Są rzeczy piękne, skoro o procesji Bożego Ciała. Na przykład diecezjalne pismo *Czas Miłosierdzia* relacjonuje przebieg procesji Bożego Ciała w tym roku:

„Tegoroczną procesję prowadził biskup Brazylii Jose Hermoso z Amazonii, który przebywał tu gościnnie wraz z grupą tamtejszych księży misjonarzy pochodzących z Archidiecezji Białostockiej.

Podczas, gdy procesja na chwilę się zatrzymała na głos dzwonów rozlegających się z prawosławnej katedry św. Mikołaja w Białymstoku, leżącej na trasie procesji, biskup pobłogosławił Najświętszym Sakramentem świątynię. Na zakończenie procesji Metropolita Białostocki wyraził podziękowanie braciom prawosławnym za ten gest jedności i wyraził nadzieję, że w przyszłych latach przy tej świątyni będzie mógł być umieszczony jeden z ołtarzy Bożego Ciała".

Miłe to. Niestety, w tym samym mniej więcej czasie prasa opublikowała list Jana Zieniuka, Przewodniczącego Rady Klubu Inteligencji Białoruskiej i Wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego Bractwa Prawosławnego św. św. Cyryla i Metodego do Premiera Buzka. W liście swym pan Zieniuk donosi o przykładach „wyeliminowania pracowników wyznania prawosławnego z kierowniczych stanowisk w Urzędzie Wojewódzkim i Miejskim w Białymstoku i zabrania 50% środków przyznanych na remont zdewastowanych przez poprzednich użytkowników obiektów klasztoru Zwiastowania NMP w Supraślu oraz odrzucenia kandydata na wicekuratora

oświaty ze względu na wyznanie prawosławne".

„Zaistniała rzeczywistość – kontynuuje autor listu – rodzi ogromny niepokój o przyszłość naszych dzieci, zamknięcia im drogi do awansu zawodowego i społecznego ze względu tylko i wyłącznie na przynależność do określonego wyznania i narodowości".

Sprawę wicekuratora „nagłośnił" w wywiadzie dla *Kuriera Porannego* Jerzy Kopania, profesor filozofii Uniwersytetu w Białymstoku, szef Unii Wolności. Stanowisko wicekuratora miało być obsadzone przez kandydata Unii Wolności, który – niestety – okazał się być wyznania prawosławnego.

Dodajmy: po opublikowaniu tego listu, jego autor, dr Zieniuk, został wezwany do kuratorium przez wicekuratora (wyznania katolickiego i solidarnościowego), panią Barbarę Pietraszuk, i brutalnie zwolniony z zajmowanego stanowiska dyrektora Placówek Doskonalenia Nauczycieli – które przez 20 lat sam tworzył i doskonalił – i został przeniesiony na etat bibliotekarza.

Premier Buzek, zapytany o to podczas spotkania z przedstawicielami mniejszości narodowych w Białymstoku, powiedział, iż nie należy wszelkich możliwych sytuacji konfliktowych traktować w kategoriach narodowościowych. Święta racja. Jest rzeczą oczywistą, iż w środowisku etnicznie zróżnicowanym niepowodzenia osobiste, załamania kariery, trudności w awansach, interpretowane będą w kategoriach konfliktu etnicznego czy wyznaniowego. Profesor Pawluczuk nazwał to kiedyś zjawiskiem pseudonacjonalizmu. Tego się nie da uniknąć. Rzecz jednak w tym, że w regionie białostockim zwycięska katolicka i prawicowa formacja polityczna nie ukrywa, iż nie życzy sobie urzędników „prawosławnych" (a nie urzędników nieudolnych) i mówi o tym otwarcie.

Redaktor *Przeglądu Prawosławnego*, poseł na sejm poprzedniej kadencji Eugeniusz Czykwin, opowiada w swej książce „Byłem prawosławnym posłem", jak zaalarmowany wyrzucaniem z pracy urzędników wyznania prawosławnego w Bielsku Podlaskim pojechał do burmistrza z interwencją. Ku zaskoczeniu Czykwina, burmistrz nie próbował tłumaczyć się, ni usprawiedliwiać. „Jak się wybiera nowego prezydenta USA, to zmienia on całą swoją ekipę" – miał odpowiedzieć burmistrz. Księgowi i referenci w Urzędzie Miasta, w tej inter-

pretacji, stają się personami politycznymi na równi z ministrami w rządzie USA, a prawosławie staje się – z istoty niejako – religią polityczną.

Mówię o prawosławnych, a nie o Białorusinach, chociaż pojęcia te traktowane są tu zamiennie, jako synonimy. Niesłusznie zresztą, bowiem źródłem, w którym rodzi się i z którego wyrasta białoruska świadomość narodowa są katolicy, zwłaszcza – katolickie ziemiaństwo. Tak było na początku i – w pewnym sensie – tak jest dziś: ze środowisk katolickich wywodzą się czołowe postacie tzw. opozycji narodowo-demokratycznej na Białorusi. Z kolei polskie prawosławie, w tym również prawosławie na Białostocczyźnie, konsekwentnie unika identyfikowania się z jakąkolwiek narodowością czy grupą etniczną.

Są to sprawy proste i oczywiste, zrozumiałe zarówno ze względu na znaczenie samych pojęć „religia" i „naród", jak i ze względu na procesy dziejowe. W Białymstoku jednak jest inaczej. Pojęcia „Polak-prawosławny" czy „katolik-Białorusin" traktowane są jako jakieś niezrozumiałe dziwactwa – sztuczne i nienaturalne. Ten pogląd zdają się podzielać rządzące w Białymstoku władze zwycięskiej prawicowo-katolickiej koalicji „Jedność".

Jest to świadomość typowo parafialna, ta z odpustu pod kościołem św. Rocha, z kolorowych jarmarków wyśpiewanych przez Laskowskiego. Świadomość na swój sposób bardzo piękna, kolorowa i obrzędowa, bo ludowa, ale nie ma nic gorszego, niż budowanie na niej wielkiej polityki. A Białystok jest wielkim miastem, przecinają się tu okalające kulę ziemską południki i równoleżniki etc. I polityka ma tu – chcemy, czy nie chcemy – wymiar globalny.

●

Nie chodzi mi tu, rzecz oczywista, o jakąkolwiek konkretną parafię, o katolicką parafię św. Rocha, czy o prawosławną parafię św. Mikołaja. Chodzi o to, że świadomość polityczna mieszkańców Białegostoku ma charakter parafialny. Dzieje polityczne Białegostoku po wojnie, gdyby ktoś je kiedyś napisał – to dzieje zmagań dwóch parafii – katolickiej i prawosławnej. Przed wojną było inaczej, ale po wojnie nikt w Białymstoku nie wie, że w mieście tym coś przed wojną było. Prawie połowę mieszkańców śródmieścia stanowili Żydzi i oni w dużym stopniu decydowali o kolorycie tego miasta. Ukazywało się tu 26 pism różnych orientacji politycznych i narodowościowych, działały różnorodne kluby i stowarzyszenia. Ale to było jakby przed potopem. W czasie wojny Żydzi zostali wymordowani, a miasto w 80% legło w gruzach. Po wojnie zaludnione zostało przez przybyszy ze wsi i rozpoczęło swe dzieje niejako od zera.

Profesor Andrzej Sadowski, dyrektor Instytutu Socjologii na Uniwersytecie w Białymstoku swą rozprawę habilitacyjną napisał o procesie ruralizacji miasta po wojnie. Ukazał w niej jego „wiejskość", „parafialność".

Tuż po wojnie, we władzach wojewódzkich dominowała „parafia prawosławna" – zwłaszcza we władzach partyjnych. Ale od samego początku – również w aparacie partii, składającym się, jak można sądzić, z zadeklarowanych ateistów – istniał mniej lub bardziej widoczny konflikt między „katolikami" a „prawosławnymi". Bo innego podziału tu nie było. Konflikt przybrał ostry charakter w 1968 r., kiedy to moczarowskie hasła walki z syjonizmem w obronie partyjnej polskości, w Białymstoku zostały odczytane po swojemu. Bezwzględność i brutalność tej walki przedstawił Edward Redliński w głośnym w swoim czasie artykule „Jakiś" opublikowanym w warszawskiej *Kulturze*. Dzięki metaforycznej formie Redlińskiemu udało się zmylić czujność cenzury, artykuł opisywał bowiem walkę o władzę dwóch parafii, w jakimś bliżej nieokreślonym mieście powiatowym, operował natomiast realiami i szczegółami z życia politycznego ówczesnego Białegostoku, a zwłaszcza – walki w aparacie partyjnym Białegostoku frakcji katolickiej i prawosławnej. Stał się sensacją dnia o wielorakich daleko idących konsekwencjach dla środowiska dziennikarskiego Białegostoku, jak i samej warszawskiej *Kultury*.

Po co jednak przypominam te wydarzenia sprzed 20 lat? Otóż niezależnie od ustroju i sytuacji, aktywność polityczna Białegostoku ogniskuje się wokół osi: katolicyzm – prawosławie. W takim języku politycy tutejsi kodują swe myśli zakładając, że tylko taki kod może być zrozumiały przez parafialną świadomość miejscowego elektoratu.

Cechą kultury parafialnej jest jej swoista otwartość i plotkarstwo. W parafii kocha się księdza proboszcza, ale cała parafia wie o wszystkich rzeczywistych i urojonych jego „sprawkach". Ulubiony temat gorliwych parafialnych aktywistek na chrzcinach i imieninach to kochanki księdza proboszcza, jego samochody, plebania, jego wystawne i często rozpustne życie. W parafii wszyscy wiedzą wszystko. Brak dyskrecji. Zauważył to kiedyś Redliński w swej opowieści o perypetiach w Stanach Zjednoczonych, przeżytych razem z pewnym aktorem z Krakowa w poszukiwaniu sponsora. Wszędzie miłe komplementy, zamiast powiedzieć jak w Białymstoku: odwal się pan, bo ciebie nie lubię. Przykładem może być ostatnia idea powołania w Białymstoku Radia Wolna Białoruś, już na drugi dzień wypaplano wszystko, co trzeba i nie trzeba.

Wiadomo zatem powszechnie, że rządząca Białymstokiem prawicowo-katolicka koalicja „Jedność" powołana została przed ostatnimi wyborami samorządowymi z inicjatywy, pod kierownictwem i auspicjami Metropolity Białostockiego, arcybiskupa Szymeckiego. Przy całym szacunku dla Ekscelencji – nie było to właściwe zajęcie dla hierarchy kościelnego i nie najlepiej świadczy o białostockich politykach, którzy nie potrafili znaleźć innej, bardziej naturalnej drogi do jedności. Najgorzej, że politycy ci nie potrafią ukryć tego, czego nie lubią, a co dla dobra sprawy wypadałoby traktować jako rzecz raczej wstydliwą. Nie lubią prawosławia. Rozpoczęto długą i mało budującą historię odbierania przyznanych przez poprzedni rząd pieniędzy na remont budynków klasztornych w Supraślu. Supraśl – kultowy i kulturowy ośrodek mnichów bazylianów, założony w końcu XV w. przez Aleksandra Chodkiewicza na rubieży łacińsko-bizantyjskiej, promieniował swymi wpływami zarówno na prawosławny wschód jak i łaciński zachód. Słynna Oficyna Supraślska drukowała książki w języku cerkiewno-słowiańskim, „ruskim" (starobiałoruskim), jak i polskim. Tu między innymi po raz pierwszy opublikowana została słynna polska kolęda Franciszka Karpińskiego „Bóg się rodzi, moc truchleje". Mógłby więc być Supraśl pięknym symbolem kultury pogranicza, tolerancji, współżycia i pojednania. Niestety, stał się przedmiotem jarmarcznych targów politycznych. Poprzedni rząd przyznał z

rezerwy budżetowej pieniądze na remont zabytkowych budynków klasztoru w Supraślu. Po zwycięstwie AWS w ostatnich wyborach, przewodniczący Regionu Białystok NSZZ „Solidarność", poseł AWS Józef Mozelewski zareagował na to, jak przystało na polityka-katolika, wielce politycznie:

„Bulwersuje mnie – powiedział – szczególny podział pieniędzy. Można powiedzieć, że jest to zapłacenie elektoratowi białoruskiemu za głosowanie na pana Cimoszewicza."

Oto czołowy polityk AWS, po zwycięstwie swej partii, za jedno z podstawowych swych zadań politycznych uważa uniemożliwienie odbudowy resztek szacownej „ekumenicznej" świątyni, która niestety, od początku miała nieszczęście być prawosławną. Co gorsza – czołowy białostocki polityk uważa za stosowne po swym zwycięstwie donieść o tym swemu elektoratowi w miejscowej prasie. W końcu premier Buzek obiecał podczas ostatniego pobytu w Białymstoku, że pieniądze znajdzie. Ale sprawa pozostała.

Rządząca miastem i województwem ekipa nie widzi różnicy między prawosławiem a białoruskością, o czym już wyżej pisałem i co dobitnie ilustruje przytoczona wyżej wypowiedź posła Mozelewskiego. Nie lubi więc także tego, co białoruskie. Związek Białoruski Rzeczpospolitej Polskiej otrzymał od wojewody odpowiedź odmowną na wszystkie wnioski o dofinansowanie projektów kulturalnych złożonych w tym roku. Obcięta została katastrofalnie dotacja na działalność Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Odrzucony został wniosek o dofinansowanie uroczystości 40-lecia Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża", którego dorobek, ceniony również za granicą, jest piękną legitymizacją kultury białoruskiej w Polsce.

Podczas obchodów Dni Białegostoku w czerwcu tego roku zabrakło jakiegokolwiek elementu białoruskiego. Wkrótce potem w białostockim amfiteatrze odbyło się „Święto kultury białoruskiej" – impreza folklorystyczna z udziałem licznych zespołów z Polski i Białorusi, organizowana przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Imprezę otworzyła minister kultury Joanna Wnuk-Nazarowa, obecny był Jacek Kuroń i cała Sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych, poseł SLD, konsul generalny Republiki Białoruś w Białymstoku. Nie zaszczycił jej

natomiast swą obecnością nikt z władz miasta i województwa, ani nikt z przedstawicieli rządzącej koalicji.

Podczas pobytu na Białostocczyźnie wspomniana Komisja Sejmowa badała warunki realizacji konstytucyjnych praw mniejszości w regionie. Na zakończenie kilkudniowej wizyty zaplanowane było podsumowujące jej wyniki spotkanie w Urzędzie Wojewódzkim. Na spotkaniu nie zjawiła się ni pani wojewoda, ni nikt z jej zastępców. Komisja wysłuchała biadolenia Sokrata Janowicza i innych przedstawicieli białostockich mniejszości i na tym chyba zakończyła swą wizytę. Dla podtrzymania ducha Białorusinów, po obiedzie Jacek Kuroń pośpiewał w amfiteatrze po białorusku i zatańczył z zespołem „Czeremszyna". Zaś pani wojewoda odpowiedziała butnie, że zgodnie z przepisami nie należy do jej obowiązków uczestniczenie w posiedzeniach komisji sejmowych.

Pani wojewoda Krystyna Łukaszuk zasłynęła tym, iż w wywiadzie po nominacji na to stanowisko powiedziała, iż najbardziej ulubionym jej zajęciem jest szycie i cerowanie.

Dotąd wydawało się dla każdego rzeczą oczywistą na czym polega interes Polski w regionie północno-wschodnim. Interesem Polski jest wspieranie niezależnej, nie ocenzurowanej białoruskiej myśli i literatury. Interesem takim jest też stwarzanie warunków swobodnego i bezkonfliktowego rozwoju prawosławia, stanowiącego zawsze odrębną, najbardziej skłonną do dialogu ze światem łacińskim formację wschodniego chrześcijaństwa. Nade wszystko zaś, interesem Polski, jest niestwarzanie pretekstów do jakichkolwiek oskarżeń czy podejrzeń, że na wschodnich rubieżach Polski są jakieś przejawy dyskryminacji czy nietolerancji, konfliktów religijnych czy etnicznych.

Czy Pani Wojewoda nie wie, iż ten marny grosz odebrany prawosławnym i Białorusinom nie uratuje ni województwa, ni Polski, może natomiast poważnie zaszkodzić wizji Polski?

Mieczysław WNUK

O AWS, Balcerowiczu i politycznej poprawności

1.

Sezon polityczny w Warszawie zakończył się odłamaniem z koalicyjnego bloku grupy KPN-OP Adama Słomki i kilku posłów z Rodziny Polskiej (Radio Maryja) – razem 14 mandatów, tj. o jeden mniej niż trzeba, by utworzyć samodzielny klub poselski. Ale rozjeżdżając się na wakacje rozłamowcy byli dobrej myśli, bo choroby trawiącej AWS bynajmniej nie zakończyła amputacja grupek Słomki i Łopuszańskiego.

Dramat wewnętrzny tej formacji można analizować na kilku płaszczyznach. Najlepiej widoczny jest kryzys kierownictwa. Marian Krzaklewski z powodzeniem skonstruował Akcję, jako narzędzie krucjaty przeciw postkomunistom i ich „tajnym współpracownikom" z Unii Wolności i zamierzał uwieńczyć tę kampanię zdobyciem prezydentury w roku 2000. Jego rola przywódcy wzbogaciła się w naturalny sposób o misję pretendenta. Po roku sprawowania władzy przez koalicję AWS-UW koncepcja krucjaty straciła swe walory animacyjne: już nie jednoczy ale dzieli, nawet wyznawcom wydaje się mało realna, a wielu innym wręcz śmieszna. Jest to nieuchronna konsekwencja najpierw koalicji z UW, a następnie współrządzenia z prezydentem Kwaśniewskim, najlepszym zapewne graczem w turnieju polityków polskich. Innymi słowy, jest to skutek sprawowania władzy w demokratycznym państwie prawa. Trzeba takich umiejętności samoograniczania umysłowego, jakimi dysponuje Stefan Niesiołowski, żeby radośnie nie zdawać sobie z tego sprawy. Marian Krzaklewski natomiast znakomicie pojmuje dylemat AWS, ale nie może sobie poradzić z jego skutkiem: utratą sensu własnego przywództwa. Miał przecież zdobyć prezydenturę właśnie jako pretendent, stojący na czele narodowej krucjaty Polaków-katolików, nie zaś w żmudnej wspinaczce po szczeblach państwowej drabiny. Miał być prezydentem – wodzem, nie zaś prezydentem – najwyższym urzędnikiem. Ta

szczególność przeznaczeń sprawiała, że Marian Krzaklewski był niekwestionowanym numerem pierwszym, gdziekolwiek występował: w związku zawodowym, w klubie parlamentarnym, w ruchu społecznym i nawet na pielgrzymce. Teraz, kiedy krucjata się rozpływa, Marian Krzaklewski staje się politykiem jak inni i lada chwila nawet Jerzy Buzek będzie miał własne zdanie i lepszy *image*.

Drugą płaszczyzną kryzysu AWS są, mówiąc skrótem, spory budżetowe z Leszkiem Balcerowiczem i jego żelazną kohortą posłów, dziennikarzy i dysponentów kapitału. Pod naporem tej nieoficjalnej koalicji AWS, tzn. jego reprezentacja w rządzie i parlamencie, odstępuje coraz dalej od własnego programu. Wszystkie wprowadzane reformy okazują się coraz wyraźniej „królewską drogą" wycofywania się państwa z zaangażowań socjalnych i z korygowania rynku na rzecz „nowego" absolutu kapitalistycznej racjonalizacji. Nie będzie, wbrew obietnicom AWS (i czasem, w podskokach wyborczych, również Unii Wolności) więcej pieniędzy na oświatę, na naukę, na opiekę zdrowotną, nie mówiąc już o rentach i emeryturach. Nie będzie nawet podatkowych ulg rodzinnych, węgielnego postulatu programowego AWS, bo zapowiedziana przez Balcerowicza reforma podatkowa znieść ma wszelkie ulgi i zaprowadzić podatek liniowy (w miejsce progresywnego), a braki w dochodach budżetu nadrobić podatkami pośrednimi VAT i akcyzą. Minister Jerzy Kropiwnicki z Centrum Studiów Strategicznych zgłosił w rządzie *votum separatum* do projektu założeń budżetowych na rok 1999. Jego zdaniem, należałoby się nastawić na wyższy wzrost (6,5% PNB, nie zaś 6,1%) i nie chłodzić gospodarki, ponieważ Polsce grozi nie nadwyżka, lecz niedostatek popytu.

Jedyne ustępstwo, jakie w dyskusji nad założeniami wymuszono na ministerstwie finansów, sprowadziło się do innego skierowania ok. 2 miliardów złotych z planowanych wpływów z prywatyzacji w 1999. Zamiast na zaległe rekompensaty przysądzone przez Trybunał Konstytucyjny, 2 miliardy przeznaczy się dodatkowo na integrację z NATO, zdrowie, rolnictwo, szkolnictwo wyższe, policję i wymiar sprawiedliwości. Inaczej mówiąc, Balcerowicz nie zgodził się na żadne poluzowania, których domagał się Kropiwnicki, a jedynie podsypał trochę grosza najgłośniej protestującym resortom.

Ale tym razem walka o budżet będzie długa i gorąca i może nawet postawić trwanie koalicji pod znakiem zapytania. W klubie AWS ponad stu parlamentarzystów, czyli większość, zażądała, by bezpośrednio po sierpniowej przerwie minister Kropiwnicki przedstawił uzasadnienie swego *votum separatum*.

Trzecia i najgłębsza płaszczyzna kryzysu AWS, to niezdolność tej formacji do obrony interesów i nawet samej racji bytu własnej bazy społecznej. Niezdolność ta wynika z nieprzydatności języka ideowego i politycznego AWS w kontekście tzw. transformacji ustrojowej. Jest to, oczywiście, kalka fałszywej sytuacji, w jakiej po zwycięstwie w 1989 r. znalazła się Solidarność i jej pierwsza emanacja polityczna, Obywatelski Klub Parlamentarny. Język AWS nie jest wprawdzie tożsamy z dziedzictwem, które z tzw. pierwszej Solidarności przejął i którego się wyrzekł OKP. „Prawo do godnego życia dla wszystkich" zawarte w koncepcjach Rzeczypospolitej Samorządnej zostało zastąpione „wartościami chrześcijańskimi" i „papieską nauką społeczną", z której zresztą na konkrety tłumaczy się tylko fragmenty w postaci np. dodatków rodzinnych.

Najistotniejsze idee pozostawia się kaznodziejom, jak owo „pierwszeństwo pracy przed kapitałem". Dzięki tej fragmentaryczności i niekonkretności przesłanek język AWS jest *volapückiem*, który najpierw uwodził wyborców, ale teraz służy głównie działaczom jako euforyzujące medium pozwalające im nie zauważać, że nie mają nic do powiedzenia.

Do czasu, rzecz jasna, i jest całkiem możliwe, że już wybory samorządowe pokażą, iż wyborcy zaczęli orientować się w niezborności i nierzetelności tego języka.

Rzecz w tym, że AWS nie podjął żadnego wysiłku, by zmierzyć się ze sprzecznością pomiędzy swymi wyjściowymi obietnicami a rzeczywistością tzw. transformacji.

Tej bezradności przeciwstawia się pewność siebie neoliberałów z Unii Wolności i jej rzeczników w mediach. W ciągu niewielu lat wykreowali oni w Polsce polityczną poprawność, którą można nazwać bez żadnej przesady nowomową epoki transformacji.

2.

Pierwszym fundamentem tej konstrukcji było nadanie jednoznacznej i bezalternatywnej interpretacji układowi „demokracja i wolny rynek", oznaczającemu wówczas, w 1989 roku, powszechnie akceptowaną definicję nowej sytuacji ustrojowej. Należałem wtedy do tych ludzi Solidarności, którzy od początku nie godzili się na taką bezalternatywność i pamiętam, jak przyszli politycznie poprawni wymyślali nam od utopistów poszukujących trzeciej drogi, niedobitków rewizjonizmu.

Zdaniem naszych polemistów kategorie ustrojowe są, zgodnie z tradycją odziedziczoną po PRL, zawsze dychotomiczne, toteż trzecia droga równała się dla nich kompromisowi z odchodzącym ustrojem. Wniosek skądinąd kuriozalny, bo przecież nikomu się tak nie spieszyło do dzikiego kapitalizmu, jak właśnie prominentom i menadżerom realnego socjalizmu.

Mimo, że z różnych powodów musieliśmy przegrać, nie mając przemyślanej i przygotowanej żadnej alternatywnej propozycji, ani tym bardziej żadnej siły politycznej – Solidarność Pracy, a potem Unia Pracy powstała znacznie później i, jak wiadomo, ciągle jeszcze jest na granicy nieistnienia – sądzę, że nasza krytyczna postawa zasługuje na przypomnienie: teraz zdarza mi się słyszeć nasze argumenty z najzupełniej niespodziewanych stron.

Tadeusz Kowalik, we wskrzeszonym niedawno *Przeglądzie Społecznym* (1-2/1998) przypomniał dobitny cytat z artykułu Jerzego Surdykowskiego („Między demokracją a polskim piekłem", *Gazeta Wyborcza* nr 180 z 1990 r.):

„W Polsce wracającej do Europy musi dokonać się najpierw ekonomiczna i psychologiczna rewolucja liberalistyczna (to znaczy musi powstać formacja wręcz XIX-wiecznego kapitalizmu z jego pierwotną akumulacją, wyzyskiem i nierównościami), aby można było mówić o bardziej nowoczesnych formach organizacji państwa i gospodarki". Nie wykluczone, że polski publicysta podjął radę, której udzielił był polskim elitom Milton Friedman, papież monetarystów, gdy w 1990 r. zjechał do Warszawy: „Bardzo dobrze, naśladujcie Amerykę, ale nie tę dzisiejszą; naśladujcie Amerykę

sprzed stu lat!". To znaczy taką Amerykę, w której rząd nie mieszał się do grynderów, co najwyżej posyłał wojsko, żeby torowało drogę ich liniom kolejowym. Amerykę bez związków zawodowych psujących wolną konkurencję. „Pierwotna akumulacja" wg Surdykowskiego trwa nadal. Grynderzy mają budować autostrady ...

Rada prof. Friedmana zawierała w ukryciu bardzo istotne spostrzeżenie: w Polsce nie reformuje się jedynie gospodarki, lecz kreuje się nową strukturę społeczną. Jak to ujął potem Jerzy Kleer: „pojawić się musi ostry podział na niewielką grupę właścicieli i na olbrzymią grupę pozbawioną tej własności" („Efektywność a sprawiedliwość", praca zbiorowa pod red. Jerzego Wilkina, 1997).

To jest historia jeszcze do napisania: w jaki sposób w Polsce, która powstała wysiłkiem masowego ruchu pracowniczego, postulującego sprawiedliwe rozwiązanie kwestii własności (demokrację właścicielską z szerokim rozproszeniem własności albo ustrój mieszany z radami pracowniczymi i samorządem gospodarczym), dokonano i dokonuje się prywatyzacji wszystkiego, nawet sektorów o kluczowym znaczeniu dla państwa. Ta prywatyzacja – by znów zacytować Kleera – jest „formą przyspieszonego tworzenia grupy kapitalistów i, czy tego chcemy, czy nie, jest to proces niesprawiedliwy i sprawiedliwy być nie może".

Po co przypominać powszechnie znany fakt? Otóż przede wszystkim dlatego, że w publicystyce zajmującej się reformami fakty socjologiczne są niemal nieobecne w polu widzenia. W ten sposób fakt przecież przełomowy – powstanie w ciągu jednej dekady klasy kapitalistów pełną gębą! – nie wzbudza żadnej refleksji u politycznie poprawnych. Nie rodzi choćby pytania, w jaki sposób interesy, pieniądze, obyczaje i poglądy tej nowo powstałej klasy oddziałują na treść reform i zachowania polityków. Co najwyżej zastępuje się „kapitalistów" chytrym eufemizmem „klasy średniej" – pochodzącym z XVIII wieku, kiedy to kapitalista miał nad sobą arystokratę, a za sobą lud. Dziś eufemizm ów opisuje pokorną rzekomo klasę średnią, gnębioną przez podatki i rozwydrzone związki zawodowe, uwieszoną u klamki wszechmocnych polityków i wyczekującą na łaskawą audiencję.

To przedziwne niezauważanie najistotniejszych faktów na

nowej scenie społecznej pozwala piszącym kreować najzupełniej fikcyjną aurę zgodności wszystkich interesów wokół tego zespołu celów i poczynań, które najchętniej określa się jako modernizacja Polski.

Oczywiście, ludzie i grupy ludzkie różnią się stopniem nowoczesności: niektórym jest dalej do celu niż innym, przy czym – w miarę, jak posuwamy się naprzód na drodze reform – linia podziału przesuwa się jak conradowska smuga cienia. Najpierw więc daleko było fornalom z PGR – dziś już czterem piątym chłopów. Najpierw drobnym rzemieślnikom – teraz górnikom i hutnikom. Najpierw tym, którzy nie mieli zawodu, teraz także tym, którzy swojego zawodu nie umieją się oduczyć. A najdalej jest, rzecz jasna, emerytom i rencistom: oni jednak niewiele już mają do przejścia.

Na szczęście na scenę wchodzą młodzi, którzy wszystkich polityków zachwycają dynamizmem i smykałką do interesów. Im jest bliżej, ale za to muszą się uczyć, uczyć, uczyć... A nauka kosztuje, kosztuje, kosztuje... Coraz więcej – od przedszkola poczynając. Podczas tegorocznych egzaminów wstępnych wszystkie fakultety państwowych wyższych uczelni wyznaczały limity przyjęć znacznie, czasem wielokrotnie niższe niż przed ośmiu laty. Przyjmuje się i tak każdego: na studia zaoczne, wieczorowe, dodatkowe – płatne. W ostateczności – prywatne. W ten sposób konstytucja jest cała i budżet państwa nie ponosi uszczerbku.

Uznając i nawet podkreślając fakt istnienia zapóźnionych, politycznie poprawni nie mają jednak wątpliwości, że istnieje pełna, zasadnicza zgodność interesów modernizowanego społeczeństwa. Odmienności są kwestią czasu potrzebnego oddalonym... W ostatnich dniach sezonu prawdziwą sensacją stało się ogłoszenie przez wicepremiera Balcerowicza, że od 1 stycznia 2000 zamierza wprowadzić liniowy, 17-18% podatek dochodowy od osób fizycznych (PIT czyli Personal Income Tax), a już od 1 stycznia 1999 – zamienić trzy aktualne klasy tego opodatkowania (19%, 30%, i 40%) na dwie, przez likwidację najwyższej transzy. Zlikwidowano by wszystkie ulgi podatkowe. Samodzielni przedsiębiorcy i wolne zawody, którzy płacili dotychczas PIT, zostaliby przeniesieni na status podatników podatku dochodowego od osób prawnych (CIT, Corporate Income Tax), który zostałby przemianowany przy

tej okazji na podatek od działalności gospodarczej w jednolitej formie 30% dochodów (obecnie 36%). Zlikwidowane zostałyby ulgi inwestycyjne. Zachowano by formę ryczałtu podatkowego dla najdrobniejszych przedsiębiorców, usługowców i kupców. Dochody kapitałowe pozostaną wolne od podatku. Wprowadzono by podatek dochodowy w rolnictwie, oczywiście liniowy (obecnie płaci się podatek rolny od hektara przeliczeniowego). O tej ostatniej zmianie Balcerowicz mówił zresztą tylko na marginesie, twierdząc, że chodzi tu o dostosowanie struktury obciążeń w rolnictwie do Unii Europejskiej. Utrzymując, że likwidacja wszystkich ulg pokryje „w zasadzie" straty dla budżetu, wynikające z nowych porządków, wicepremier nie zaprzeczył jednak, że „w potrzebie"* podniesie się akcyzę od paliw i stawkę VAT (Value Added Tax, podatek od wartości dodanej, który obciąża konsumenta). Balcerowicz jest w ogóle miłośnikiem podatków pośrednich, jako że podnosząc ceny sprzyjają ponoć oszczędnościom i wstrzemięźliwości, a nie hamują eksportu (są zwracane przy wywozie).

Propozycje wicepremiera zaskoczyły nawet jego zwolenników swym prowokacyjnie antyegalitarnym charakterem. Zarząd Unii Wolności został poinformowany o projekcie – Balcerowicz jest przewodniczącym partii – ale żadnej uchwały w tej sprawie nie podejmowano. *Gazeta Wyborcza* zachowała się ostrożnie, referując i nie komentując. Zachwyt wzbudziły propozycje wicepremiera w Centrum im. Adama Smitha, które grupuje zaciekłych neoliberałów (polski odpowiednik Partii Libertariańskiej w USA) – i w zrzeszeniach przedsiębiorców. Tam jednak dominuje raczej ostrożność, bo zniesienie ulg i perspektywa dodatkowego hamowania popytu przez wzrost akcyzy i VAT-u budzi niepokój. SLD, ustami Marka Borowskiego, zapowiedziała raczej sprzeciw („na pewno nie poprzemy"). Klub AWS ustami rzecznika Piotra Żaka zadeklarował gotowość do rozmów, ale pod warunkiem... wprowadzenia ulg rodzinnych. Wydaje się, że poseł Żak, jak mu się to zdarza, wyskoczył przed szereg. Nastroje polityków

*) Polem pertraktacji dla projektantów tej reformy będzie zapewne podwyższenie kwoty dochodu wolnej od podatku, co uspokoiłoby najgłośniejsze pretensje. Wtedy właśnie potrzebne byłoby podniesienie VAT.

AWS wobec pomysłu Balcerowicza są niechętne lub wręcz wrogie. Centrum Studiów Strategicznych Jerzego Kropiwnickiego wydało oświadczenie otwarcie odrzucające zasadę liniowości podatku. Robert Gwiazdowski ze wspomnianego Centrum im. Adama Smitha zaatakował urząd Kropiwnickiego, który „zamiast wykazywać korzyści z podatku liniowego, bawi się w politykę społeczną".

Agresywny *lobbying* polskich libertarian nie wystarczy zapewne, aby przekonać AWS. Projekt podatkowy Balcerowicza nieuchronnie powiększy rozbieżności, które i tak, jak widzieliśmy, rozszarpują Akcję. Najbardziej radykalni, jak Sławomir Dąbrowski z zarządu Instytutu Wolności Ekonomicznej i Politycznej, używają charakteryzując ten projekt języka... skrajnej lewicy (*Życie*, 20 lipca): „Najbardziej dramatyczne skutki podatek liniowy może mieć dla modelu gospodarczego i społecznego naszego państwa. Już dziś w Polsce największym problemem jest gigantyczne rozwarstwienie dochodowe i społeczne. Istnieje finansowa przepaść między wąską (trzyprocentową) grupą ludzi bardzo bogatych a resztą społeczeństwa. Jedynie 20% Polaków, którzy żyją z obsługi ludzi bogatych, funkcjonuje przyzwoicie. Natomiast cała reszta, czyli blisko 80% społeczeństwa, żyje bardzo skromnie. Polska niepokojąco szybko staje się 'krajem dla bogatych' (...) Wprowadzenie owego podatku liniowego – podatku dla bogatych – jeszcze bardziej rozwarstwi finansowo Polaków i utrwali model państwa dla bogatych. A taki model państwa musi doprowadzić do rewolty społecznej w Polsce (...) Coś takiego grozi zamieszkami społecznymi i totalną kompromitacją koalicji tworzonej przez AWS".

Byłoby jednak uproszczeniem ograniczać elektorat Leszka Balcerowicza – jak to czyni Dąbrowski – tylko do „bogatych i ludzi naiwnych (głównie młodych)". Tę klientelę stanowią przynajmniej *in spe* także ci, którzy liczą, że w bogacącym się kraju również dorobią się dość dużo, by móc skorzystać z dobrodziejstw podatku liniowego i podobnych. I dla których, co bardzo ważne, bezwzględne *iunctim* ustanawiane przez liberalną nowomowę pomiędzy bogaceniem się indywidualnym a dobrobytem kraju jest niezbędnym moralnym alibi. Podatek liniowy jest – poza bezpośrednim aspektem finansowym – również sposobem moralnej legitymizacji wysokich

i bardzo wysokich dochodów i... pożądań. Tym samym państwo stwierdza, że oto wzorowi obywatele wypełniają wzorowo swe obowiązki wobec ojczyzny i budżetu przez to, że dużo zarabiają, a dużo zarabiają, bo – Balcerowicz *dixit et crebro iactat* – dużo i dobrze pracują. W katolickim kraju dochodzi w ten sposób do głosu dawne protestanckie przeświadczenie, iż wysokie dochody są dowodem, że się jest w łasce u Boga. Pozostaje pytać Pana Boga, w jaki sposób ujawnia swą łaskę ubogim, którzy zgodnie z zapowiedzią wicepremiera na jego reformie nie skorzystają.

Jakie są więc szanse propozycji wicepremiera? W czerwcowym sondażu CBOS, a więc jeszcze przed wystąpieniem Balcerowicza, przeciw podatkowi liniowemu opowiedziało się 77% respondentów. Ale w programie dyskusyjnym „Forum" w TV1, w którym do studia red. Małcużyńskiego dzwoni systemem audiotele elita widzów, za racjami Balcerowicza opowiedziało się ok. 53%. Liczby te wskazują, że jeśli podatek liniowy stanie się „wielką stawką" kampanii wyborczej, to Unia Wolności raczej powiększy swój potencjał wyborczy mobilizując wszystkie rezerwy „klasy średniej" aktualnej i urojonej. Jest też całkiem możliwe, że temat podatku liniowego dodatkowo „roztrzęsie" AWS, gdzie liberałowie mają, mimo wszystko, wielu przyjaciół. W ten sposób kryzys wewnętrzny tej formacji, który dziś nadłamuje jej narodowo-katolickie skrzydło; objawiłby się również po drugiej stronie i zupełnie skołowana AWS stałaby się czymś w rodzaju ogłupiałego słonia, którym kieruje bystry, koalicyjny kornak ze szpikulcem.

Krzysztof WOLICKI

Osobliwości polskie

Polska staje się najbardziej oryginalnym krajem w Europie. Rządy sprawuje w niej nacjonalistyczno-katolicka prawica ale paradoksalnie wyrosła ona ze słynnego niegdyś Związku Zawodowego „Solidarność". Prawicowe związki zawodowe istniały już wcześniej w Europie, a także w Polsce międzywojennej, gdzie chadeccy syndykaliści bezskutecznie próbowali stać się alternatywą związków socjalistycznych PPS-u, lecz stali się w końcu marginesem ruchu zawodowego. Obecnie rządzący w Polsce pseudoprawicowcy mniej troszczą się o potrzeby społeczne, a bardziej toczą walkę z postkomunistami, choć w kraju nie ma już właściwie ludzi, którzy byliby zwolennikami dawnego komunistycznego ustroju. Toczy się raczej spór o przeszłość, a mniej o teraźniejszość.

Tymczasem rzeczywistym ruchem związkowym świata pracy stały się odmienione już ideowo dawne związki zawodowe PRL-u. Właśnie kierują one wielkimi strajkami od służby zdrowia poczynając, przez górników i hutników, na maszynistach kolejowych kończąc. Nie mam wątpliwości, że poza motywem obrony krytycznego stanu materialnego dużej części społeczeństwa, postkomunistyczne związki zawodowe są motywowane także politycznie na rzecz lewicy postpeerelowskiej.

Rządząca prawica walczy z minioną przeszłością i obsadza stanowiska rządowe i administracyjne, a także gospodarcze swoimi ludźmi, naśladując wyraźnie model nomenklaturowy z okresu PRL-u. Tymczasem lewica postkomunistyczna zdobyła się tylko na słowo „przepraszam" Aleksandra Kwaśniewskiego w Sejmie II kadencji i nie poddała swojej własnej przeszłości głębszej analizie. Sojusz Lewicy Demokratycznej stroni od oceny własnej przeszłości nie tylko ze względów pokoleniowych, bo jego ludzie jeszcze wtedy w PRL nie odgrywali poważnej roli politycznej. Lewica ma także kompleks „samokrytyki", do której przeprowadzania zmuszano każdego inaczej myślącego w Polsce, by go poniżyć moralnie i społecznie. Ale takiej publicznej samokrytyki nikt od lewicy

nie oczekuje. Natomiast oczekiwane jest głębsze poddanie analizie minionego ustroju, jego determinant międzynarodowych, lecz także jego immanentnego zła związanego z totalizmem i narzucaną społeczeństwu absurdalną ideologią leninowską. Lewica ma wielu intelektualistów i uczonych, którzy mieli dosyć czasu, by taką analizę naukową przeprowadzić i upowszechnić w społeczeństwie. Dopóki to się nie stanie lewica SLD i SdRP będzie stale konfrontowana z zarzutem nierozliczenia przeszłości, zresztą nie własnej lecz pokoleń swoich ojców i dziadów. Dla większości lewicy takie postawienie sprawy nie jest w pełni zrozumiałe, bo uważa ona, że nie musi odpowiadać za grzechy nie swoje, lecz poprzednich pokoleń. Ale chodzi tu nie o grzechy i rozliczenia, lecz o prawdę historyczną o PRL-u, którą póki co monopolizuje prawica, a przecież ujawnienie jej leży w moralnym i politycznym interesie właśnie lewicy. Naturalnie – bita ona jest i będzie nie za swoje grzechy, lecz za przeszłość pokoleń poprzednich, a także za narzucony Polsce system zależności od ZSSR i związane z nim zbrodnie polityczne w latach 1944-1955. A przecież także później doszło do dramatycznych i krwawych wydarzeń: w Poznaniu w 1956 roku, do antysemityzmu i pogromu młodzieży w 1968 roku, do przelewu krwi na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, do brutalnych napaści na strajkujących robotników w Ursusie i Radomiu w 1976 roku. Wreszcie miał miejsce stan wojenny wprowadzony w grudniu 1981 roku, który był jednakże alternatywą interwencji sowieckiej w Polsce, lecz przyniósł także ofiary śmiertelne oraz aresztowania i internowania tysięcy ludzi. O stanie wojennym ukaże się jeszcze wiele książek, bo okoliczności jego wprowadzenia były związane z polityką międzynarodową podzielonego wtedy świata. Ciekawe jest, że większość społeczeństwa polskiego pozostała wtedy bierna, mimo całej naszej tradycji romantycznej, bo Polacy w powojennym 45-leciu wiele się nauczyli i na zasadzie wyjątku w naszej nowożytnej historii nie poszli na rozlew krwi. Zaś po ośmiu latach, kiedy Rosja przegrała zimną wojnę z USA, kiedy wybuch w Czarnobylu wstrząsnął systemem władzy, a Gorbaczow rozluźnił więzy systemu nie tyle *pierestrojką* lecz przede wszystkim *glasnostią* i wreszcie, kiedy polski opór cywilny zbiegł się z racjonalną polityką prezydenta Reagana i

szefa CIA Billa Caseya. Obaj ci politycy amerykańscy byli katolikami i pozostawali w bliskich kontaktach z papieżem Janem Pawłem II. Alians ten przyczynił się także do wzrostu sił opozycji solidarnościowej, zmierzającego jednak do pokojowego przejęcia władzy od komunistów, bez rozlewu krwi w Polsce, co też stało się we wrześniu 1989 roku, ogarnęło całą Europę Wschodnią w roku następnym i doprowadziło do upadku ZSSR w 1991 roku. Największe zwycięstwo demokracji i suwerenności, a także państwa prawa w Europie Wschodniej odbyło się bez przelewu krwi. Sprawcy tej przemiany przejdą do historii jako najskuteczniejsi politycy, operujący nie siłą lecz perfekcyjną grą intelektualną w skali całego kontynentu. A w konsekwencji całej półkuli północnej nie zagraża wielki konflikt wojenny – pierwszy raz od setek lat. W grze tej miała także swój udział lewica postkomunistyczna, która przy „okrągłym stole" weszła na drogę podzielenia się władzą, by ją potem dobrowolnie oddać. Gdyby lewica przedstawiła historycznie cały okres lat 1944-1989 musiałaby podsumować swoje błędy, lecz miałaby także silne argumenty, dowodzące jej myślenia polskiego i patriotycznego. Niestety, lewica zostawiła polską historię najnowszą prawicy, jakby nie miała swoich wybitnych historyków. I zaowocowało to płytkim, gazetowym sporem o przeszłość, który ciągnie się już od lat dziewięciu, deformując polską myśl polityczną.

Tymczasem bezmyślny dogmatyzm prawicy upierającej się przy liczbie 12 województw, pozwolił lewicy na wykorzystanie lokalnych potrzeb i ambicji i ta potępiana lewica zyskała znowu elektorat czterech lub pięciu województw, które zostaną ostatecznie na administracyjnej mapie kraju. Przepychanki w obecnym parlamencie w sprawie podziału administracyjnego przypominają dawne sejmy szlacheckie. Sejmu teraz nie trzeba zrywać, bo on sam sarmacką zajadłością – ludzi bynajmniej nie herbowych – kopie sobie grób.

Reforma administracyjna tak bardzo zdeformowała myślenie o państwie, a właściwie jego brak, że reformy gospodarcze się odwlekają, stosunki z Unią Europejską się psują i Polska traci bez żadnych konsekwencji dla winnych około 48 milionów dolarów z tzw. funduszu PHARE. A dzieje się tak dlatego, że usunięto ludzi kompetentnych, a

gestia znalazła się w rękach katolickiego nacjonalisty, który nie poniósł żadnych konsekwencji, bo rozliczenie go godziłoby w większość sejmową ugrupowań AWS. I znowu, jak za czasów komuny, partia i jej interesy okazały się ważniejsze niż racja stanu państwa.

Smutne jest też, że główna siła oporu przez kilka dziesięcioleci PRL, aż do powstania opozycji demokratycznej, czyli KOR i Uniwersytetu Latającego, Kościół katolicki pozwolił się nieświadomie wkomponować w dużej części w obóz nacjonalistyczny, oraz pseudosyndykalistyczny, niestety niesprawny do rządzenia państwem.

Mimo dwóch wojen światowych i 45 lat PRL mentalność sarmackiej samowoli nie opuściła Polski. Sceną polityczną w dużej mierze zawładnął znowu polski kołtun, a myślenie racjonalne i polityczne zostało zepchnięte i zakwalifikowane jako postkomunizm, z czego cieszą się i smucą zarazem epigoni PRL. Polska potrzebuje nowej lewicy, która uwolni się od obciążeń przeszłości, publikując jej uczciwą historię. Polska potrzebuje nowej prawicy, nie zawłaszczającej sobie religii i kadr administracji państwowej, lecz wspierającej warstwy średnie i czuwającej nad równowagą potrzeb i interesów świata pracy i kapitału potrzebnego dla dalszego rozwoju kraju. Polska ma dość dziewięcioletniego sporu o przeszłość, zawinionego przez lekkomyślność lewicy i chęć zemsty prawicy. Karać przestępców politycznych powojennych 45 lat należy z całą surowością prawa. Należy także lustrować przeszłość polityków, jednakże w sposób przemyślany, nie naruszający tajemnic państwowych. Można myśleć o symbolicznej łączności Polski suwerennej w państwowości II i III Rzeczypospolitej. Nie można natomiast wykreślić z dziejów Polski – PRL, bo wtedy nasz system prawno-międzynarodowy stawałby pod znakiem zapytania. Dotyczy to zwłaszcza polskiej granicy zachodniej. Poza tym większość obowiązującego w Polsce ustawodawstwa pochodzi z czasów PRL i nie można go po prostu wyeliminować bez stworzenia nowego systemu prawa, a to trwa latami. Politycy polscy muszą wreszcie zrozumieć, że najważniejsze jest państwo i jego interes, a nie partie i ich lewicowa czy nacjonalistyczno-syndykalistyczna frazeologia. Naród polski przetrwał ostatnie trzysta lat niepowodzeń polityki polskiej. Ale mamy wreszcie

własne państwo, a jego dobro i prestiż jest głównym dziś zadaniem elit politycznych i całego społeczeństwa. Czyż trzeba to tłumaczyć po 123 latach zaborów w okresie między 1795 a 1918 rokiem, a następnie po odebraniu nam suwerenności i poddaniu protektoratowi sowieckiemu w latach 1944-1989?

Polska w okresie wstępowania do NATO i Unii Europejskiej winna trzymać się swej racji stanu, a nie krzewienia własnej ideologii, nawet religijnej. Na Zachodzie są biskupi i duchowni wyznań chrześcijańskich, liczni przedstawiciele i biskupi Kościoła katolickiego i Stolicy Apostolskiej. Polskie aspiracje misyjne na Zachodzie są traktowane z rozbawieniem. Tamtejsi historycy dobrze wiedzą, że św. Wojciech przybył do nas z południa, a Otto III sprzyjał ukoronowaniu Bolesława Chrobrego. Bez wątpienia wartości chrześcijańskie dotarły do nas z Zachodu. A teraz, podobnie jak Zachód, musimy się uporać z własnym materializmem praktycznym, konsumpcjonizmem i ułatwionym modelem życia. Ledwo przyszedł do nas kapitalizm, a już mamy te same problemy z relatywizacją wartości moralnych i z dążeniem do życia ułatwionego.

Dość podobnie rysuje się nasza sytuacja w stosunkach ze Wschodem. Ks. Prymas Glemp wrócił rozczarowany z Petersburga, bo zarzucano tam Kościołowi polskiemu, że próbuje nawracać prawosławnych. A czy nie próbuje? Myślę, że przede wszystkim katolicy powinni realizować wskazania Soboru Watykańskiego II i prowadzić dialog ze wszystkimi wyznaniami, zwłaszcza z wyznaniami naszych sąsiadów. To także jest problemem polskiej racji stanu. Bo wchodząc do struktur euro-atlantyckich nie chcemy i nie możemy odwracać się od naszych sąsiadów wschodnich, a zwłaszcza od Ukrainy i Litwy. Rosja zaś jest bez żadnej wątpliwości naszym głównym partnerem wschodnim i Polska powinna być pomostem Europy do Rosji, z czego także NATO byłoby bardzo zadowolone.

Północna półkula naszego globu jest skazana na pokój i przyjaźń swoich narodów, są na niej tylko lokalne, a nie uniwersalne konflikty. Dużo poważniej należy traktować potencjalne zagrożenia krystalizujące się na półkuli południowej. Panujący tam głód i nędza grozi masową

imigracją na Zachód i Północ, jeśli kraje bogate nie zaczną tam inwestować i będą poprzestawać na symbolicznej pomocy. Fundamentalizm islamski stanowi także potencjalne zagrożenie dla północy. Konflikt izraelsko-arabski jest także niebezpieczny dla Europy, choćby dla naszych stosunków gospodarczych. Największe jednak niebezpieczeństwo stanowi proliferacja postsowieckiej techniki atomowej. Niedawno Indie i Pakistan dały pokaz do czego może to doprowadzić. W tej skomplikowanej sytuacji dobre stosunki między Wschodem i Zachodem na półkuli północnej są kluczem polityki polskiej, a także polityki państw europejskich i USA.

Państwo polskie i jego racja stanu musi pozostawać w centrum zainteresowań naszych elit politycznych, a także społeczeństwa. W tym zakresie najbardziej jest nam potrzebne myślenie pragmatyczne, a nie złudzenia ideologiczne, czy myśl o tym, byśmy zostali misjonarzami świata.

Andrzej MICEWSKI

Kartki ze skażonej strefy

Z gazety: matkę zawiadamia szpital, żeby zapłaciła za pobyt syna będącego na leczeniu od tygodnia. Matka doznaje szoku, bo chłopak wyjechał nie do szpitala, ale na wycieczkę w Bieszczady. Nie dojechał. Tuż koło domu potrącił go TIR. Nieprzytomnego zabrano do Szpitala Bródnowskiego, do którego ona codziennie chodzi do chorej siostry, nieświadoma, że za ścianą umiera jej syn. Szpital zawiadomił ją o wypadku dopiero wtedy, gdy dziecko zmarło i chodziło o zapłatę.

W jakich okrutnych czasach żyjemy!

Ta skromna gazetowa notatka obeszła mnie daleko głębiej niż wieczne międlenie w mediach o nieudolnościach

wykonania reformy administracyjnej. Samorząd szkolny lepiej by sobie z tym poradził.

A inna rzecz, że jeżeli tego wrzodu nie przetnie się od razu i gra z podziałem terytorialnym przeciągnie się, łatwo sobie wyobrazić stagnację w województwach definitywnie skazanych na zagładę. Urzędnicy mający odejść będą przeżerali nasze podatki bez społecznego pożytku, za to z desperacką łapczywością. Polska będzie stała nierządem nie z czyjegoś diabelskiego zamysłu, ale siłą bezwładu. A wszystko dlatego, że nikt nie chciał postąpić ni kroku ze swojego pola. Niech mi ktoś biegły w historii powie, czy istniał w Polsce jakiś sensowny wewnętrzny kompromis zawarty *pro publico bono*. Obawiam się, że nigdy.

Dziś wakacje! Od wieków w dniu tym oglądamy obrazki pełnych dworców, peronów i okien pociągów zagęszczonych główkami dzieci; łopotanie rąk i chustek, łzy, okrzyki. Dzieciaki jadą na kolonie i obozy! W tym roku – *nul!* Strajk maszynistów, którzy może zdecydują się przepuścić dzieci, a może nie. Powraca powtarzające się od kilku lat zdanie: „rozmowy z rządem nie dały rezultatów". Oczywiście, wiemy, jak się to skończy. Maszyniści pokrzyczą, pokrzyczą i ruszą, zaczerpnąwszy grosza z naszych kieszeni. No bo z czyich?

Gdy czytelnik będzie czytał te słowa, na wokandę wejdą już inne strajki innych wielkich zakładów, jeszcze nie sprywatyzowanych – też uśmierzane z naszych pieniędzy, bo z czyich?

Przyglądam się tym maszerującym środkiem śródmiejskich jezdni tłumom strajkowiczów z terenu; tłumom ładnie ubranym, maszerującym z wesołą swobodą, obserwującym miasto ciekawie. Czasem wyrwie się ordynarny okrzyk, ale na ogół są grzeczni, mili, jak na krajoznawczej wycieczce.

Zimą anestezjolodzy rozpętali burzę o podwyżki. Wygrali. Mają im właśnie wypłacić obiecane pieniądze. Sęk w tym, że podwyżki anestezjologów pożrą 80% puli przeznaczonej dla innych branż medycznych. No i kołomyjka zacznie się od nowa. Przeżyjemy, przywykliśmy.

Bo w narodzie utrwalił się mit, że tym bogaczem, który daje, jest państwo. I ma dawać, jeżeli jest dobre. Tymczasem państwo jest zawsze gołe jak święty turecki. To my mu dajemy ze swojego urobku.

Pogląd ten wziął się z niewiedzy, w jakiej byliśmy utrzymywani przez system totalitarny a przecież ustalmy sobie raz na zawsze, że to nasze pieniądze są dzielone i powinno być to dokonywane z naszym udziałem. Ale ten udział wymaga trudu, codziennego trudu od najniższego po najwyższe ogniwa. Tymczasem ludzie wyobrażają sobie, że jak sobie soczyście pokomentują, rozstawią po kątach tego i owego polityka, patrząc w telewizor, to już zrobili swoje, spełnili swój obywatelski obowiązek.

A od decyzji i podziału majątku narodowego jest państwo – myślą. „Za komuny jak było, tak było – mówią – ale człowiek dostawał swoje. Mało, bo mało, ale coś tam dawali". I tu następuje wyliczanka, co dawali: wczasy, cebulę, ziemniaki na zimę, kapustę, którą kisiło się w piwnicy. Jesienią podstawiano zakładowe autokary na grzybobrania i węgierki na powidła. (Zwłaszcza jak na rynku brakło cukru, owe powidła prużone bez tego dodatku były w cenie).

Mało do której głowy przedzierała się myśl, że państwo nic nie mogło dawać, ponieważ nic nie posiadało. To myśmy mieli wszystko, ale państwo nam to wszystko zabierało i dzieliło po swojemu. Nie to nawet najważniejsze, że najlepsze kąski dawało swoim, ale że nie mieliśmy najmniejszego głosu w tym podziale. Ale aprobowaliśmy ten system, bo zupełnie nas nie fatygował.

Aż przyszedł kres. Zdrowa tkanka społeczna zbuntowała się. Staliśmy się słynnym taranem, o którym rozpisywał się świat. Bunt był gwałtowny, lecz jak każdy bunt trwał krótko, przyszło po nim szare życie budowania od podstaw demokracji, a w tym to już nie jesteśmy mistrzami. Więc zatęskniliśmy do starej biedy, gdzie za nas myślano, decydowano i dzielono. Straszne przyzwyczajenie taka tęsknota do bycia rządzonymi. Straszna i trzeba się z niej wyrwać, ale póki co, póki nie umiemy rządzić się sami w trudzie i pocie, zbywszy się prywaty, czy nie lepiej, żeby reforma administracyjna padła? Mówię całkiem serio.

Tu nie chodzi bynajmniej o ilość województw i powiatów, ale o uczciwość, odpowiedzialność i kompetencję tych, którzy funkcje obejmą. Jeżeli miałoby być tak jak, na przykład, rządzona jest Warszawa, to przychodzi mi tu na myśl wojenne słowo „szaber", oznaczające nie tylko kradzież, ale wielki chaos.

Warszawa jest strukturą wielką, popatrzmy na skromniejszą. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. SPP wynikło z podziału dawnego ZLP, dotowanego za komuny przez państwo. Wtedy wszystko było proste. Państwo dawało. Jednemu więcej, drugiemu mniej, wedle zasług i uważania władzy. Temu mieszkanie, temu auto, temu stypendium a temu, przepraszam, tej – futro.

Gdy SPP, wraz z innymi instytucjami tego typu, musiało stanąć na własnych nogach, okazało się, że jest bezradne jak pisklę. Skracając rzecz, powiem, że „jedyna sprawiedliwa", prezeska Oddziału Warszawskiego SPP, Joanna Kulmowa, umiała znaleźć się w nowej sytuacji i zdobywać środki tak, jak dzieje się w demokracjach, poprzez promocje, akcje charytatywne, pukanie do biznesmenów. Po ośmiu miesiącach zrzekła się jednak funkcji nie mogąc pogodzić się z zastarzałymi siuchtami wewnątrz biura, wobec których szersze gremium pozostawało obojętne – na zebraniu, na którym składała swoje sprawozdanie, było niespełna pięćdziesięciu członków na ogólną liczbę około czterystu. Ponadto, spora grupa, i to znanych pisarzy, nie płaci składek, niektórzy nie zapłacili jej ani razu.

Wniosek ogólny z tych rozważań taki: nie oddawać ludziom władzy za wcześnie. Byłabym za mądrą dyktaturą. Ale choć dyktatorków mamy sporo, gdzie jest dyktator, i to jeszcze mądry?

●

Radio Maryja, głos słuchacza, mowa przez szloch: „...bo jak się z wami łączę, to mnie wzrusza". – Następuje rozkaz (przez szloch): „Niech każdy weźmie widelec, każdy Polak i dziecko, i idzie, idzie z tym widelcem..." – Chodzi o marsz przeciw reformie samorządowej, zamknięciu Ursusa, przeciw prywatyzacji, wyprzedaży Polski obcym. – „Każdy z widelcem, każdy z widelcem" – szlocha starzec. Aksamitny głos osoby prowadzącej audycję „Rozmowy niedokończone", uśmierza. – „Nie gwałtem, nie gwałtem..." – i puszcza na antenę kolejny szloch.

Ostatnio Radio Maryja spuściło z tonu. Mniej podburza, więcej się modli. Perswazyjne skutki działania Episkopatu?

Zmylenie przeciwnika? Czy autentyczne zrozumienie, że nie tędy droga?

Mało kto w to wierzy. Ludzie mówią, że stare wróci, jak powrotną falą wraca antysemityzm, jak wróci bunt górniczy, najtrudniejszy gospodarczo problem. Wrócą, ponieważ są to sprawy nie załatwione dogłębnie, najwyżej załatane na chwilę.

Ludzie mówią na *Gazetę Wyborczą* „Gazeta Żydorcza", na ulicę Czerską, gdzie ma siedzibę – „ulica Żydowska", na znajomego chłopaka: „miły, szkoda, że Żydek" (tylko dlatego, że matka pracuje w *Wyborczej)*.

Wszystko wróci, niezależnie od tego, kto będzie przy władzy: skandale osobiste i grupowe, gafy kompromitujące nas wewnętrznie i zewnętrznie, sprawa krzyża w Oświęcimiu w tej czy innej formie, lustracja – ze szczegółami! – na przykład, czy usuwać ze służby publicznej wszystkich od sekretarza miejskiego w górę. To dopiero byłaby awantura na dwadzieścia cztery fajerki! Ale po inkwizytorsko ponurej, dziwacznej postaci ministra MSW, Janusza Pałubickiego, wszystkiego można się spodziewać. Nawet przykuci do łóżek na monotonię nie będą mogli narzekać.

Tu chciałabym przez moment zatrzymać się na górnictwie, bo wydaje mi się, że do górników trzeba trochę inaczej trafiać.

Do górnictwa strasznie dopłacamy, to prawda. Nikt naszego węgla nie chce, dług górniczy rośnie, więc wymyślono, żeby górników po królewsku odprawić, przekwalifikować, dać wcześniejsze emerytury, co wyjdzie nam taniej niż utrzymywać *status quo*. Ale górnicy wierzgnęli, zjechali pod Sejm i Rząd z okrzykiem „Buzek na wózek" (czyli na taczkę), narozrabiali potężnie, więc Rząd się zląkł i utrzymał wszystko po staremu.

Wiceministra gospodarki odpowiedzialnego za górnictwo, Jana Szlązaka, górnicy obsobaczyli jak burą sukę – nie na wiecu, nie podczas ulicznej demonstracji, ale przy stole negocjacyjnym. Formę „pan" zastąpiły najgrubsze wyzwiska typu „ty gnoju, ty szmato" – nic się nie dało zrobić.

To prawda, że likwidacja kopalń należy na świecie do najtrudniejszych zadań rządzących. Strajk górniczy w Szwecji w roku 1932 pod rządami socjaldemokracji zaznaczył się dwiema ofiarami śmiertelnymi. Wywołał szok, ale był to szok

błogosławiony, bo nastąpił przełom gospodarczy i Szwecja znalazła się na fali wznoszącej.

Margaret Thatcher zajęło dwa lata na rozprawienie się ze związkowcami górniczymi pod wodzą bojowca, Artura Scargilla. Objawiła się nienawiść na niespotykaną u dorosłych Anglików skalę. Po tym zwycięstwie pani premier otrzymała przydomek Żelaznej Damy. Europa patrzyła na nią z podziwem.

My nie mamy Żelaznej Damy.

Dewastacyjna polityka w górnictwie trwała u nas blisko pięćdziesiąt lat. Rząd solidarnościowy obejmując w roku 1989 władzę powinien wiedzieć, że jest to sprawa dla rozwoju kraju priorytetowa. Sami górnicy – ludzie konkretu, jak mało którzy Polacy – szli z pomysłami restrukturyzacji. Widziałam ich nadzieję, gdy wreszcie przybył na Śląsk premier Mazowiecki. Wiele sobie po tym spotkaniu obiecywali, otwarci na kompromis i koncepcje, które – spodziewali się – że im przywozi. Figa z makiem.

Pamiętam, jak mi szczęka ze wstydu opadła, gdy usłyszałam powolnie wypowiedziane, namaszczone zdanie: „rząd pamięta o górnikach". To było wszystko.

I tak już zostało. Pogłębiająca się zapaść. Zadłużenie górnicze wynosi 13 mld zł, za pięć lat trzeba będzie dołożyć dalsze 16 mld zł. Oto bilans.

Minister Szlązak mówi: „jeżeli jeszcze górnicy są niezadowoleni, to ja nie mam moralnego prawa przekonywać, iż takie osłony dla górnictwa są konieczne, gdy na przykład w Łodzi zwalnia się tkaczki bez odpraw". Niech sobie mówi! Obywatel jest rozciągliwy, zawsze się z niego jeszcze coś wyciśnie, żeby nierentowne górnictwo podeprzeć.

Problem polega na tym, że górnicy nie chcą ani się przeflancować gdzie indziej, ani przekwalifikować. Skąd ten upór?

Światło na sprawę rzucają lata osiemdziesiąte, kiedy to mieszaliśmy się środowiskowo jeżdżąc do siebie z tajnymi wiadomościami. Jeździliśmy pod strachem Boga, ale ruch we wszystkie strony był ogromny. Umożliwiło to nam wzajemne poznanie.

Górnicy regularnie jeździli między szychtami na miesięczne msze do Księdza Popiełuszki, wracali obładowani bibułą. Zapamiętałam, że w czasie jego pogrzebu nocowało

ich w naszym ciasnym mieszkanku sześćdziesięcioro, leżąc pokotem. Mąż zbierał jajka po sąsiadach na jajecznicę...

I myśmy do nich jeździli. Eskortowali nas z dworca katowickiego do Piekar, bo generał Gruba, szef śląskiej milicji, robił wszystko, żeby nasze kontakty poprzerywać. Przy kielichu i golonce gadkom nie było końca. Jaki był główny temat? Chcą wrócić do kopalni. Większość była wyrzucona, koledzy znaleźli im nieźle płatne posady, ale oni na nich schli. „To nie jest życie", mówili.

Od wczesnej młodości górnik spędza połowę życia na dole. „Góra" i „dół" są to dwie różne rzeczywistości. Dwa światy.

Kopalnia działa jak narkotyk. Pod ziemią człowiek zdziera z siebie powłokę, w której żyje na ziemi. Zmienia język i zachowanie. Pod ziemią obowiązują inne prawa lojalności i zachowania. Wytwarza się między ludźmi nigdzie indziej nie osiągalna więź i bliskość, maksymalna szczerość. Otwierają się tamy duszy, na powierzchni zamknięte. W ciemnym, dusznym korytarzu, w którym często traci się życie, wszystko można sobie wygarnąć i ze wszystkiego się zwierzyć. Jest to rzeczywistość tak frapująca, że żadna inna jej nie zastąpi. Górnika pozbawionego pracy na dole można porównać do narkomana na głodzie.

Zamykając kopalnie, co wkrótce – wobec kariery gazu – może stać się powszechne na świecie, musimy pamiętać o tych psychicznych uwarunkowaniach. Tymczasem u nas stale trwa nabór do szkół górniczych.

●

Kończy się niesławna kadencja samorządu Warszawy – bilans spodziewany. Radnych Warszawa ma więcej niż posłów i senatorów, są też lepiej opłacani, bo takie ustanowili sobie stawki. Warszawa wciąż pozostaje jedną z nielicznych stolic bez sieci metra i obwodnic. Mimo deklaracji i olbrzymich potrzeb nie doczekała się wszczęcia budowy żadnego mostu. Głównym wysypiskiem pozostaje zapchana do ostateczności Łubna, gdzie śmieci w ogóle nie są segregowane ani utylizowane. Mieszkańcy z powodu smrodu nie pozwalają jej rozszerzać. Wisła pełni rolę ścieku, bo w całej lewobrzeżnej Warszawie nie ma żadnej oczyszczalni.

Prezydent Marcin Święcicki nie traci jednak sportowego ducha i dobrego samopoczucia. Człowiek imprezowy. W rajdzie warszawskim wziął pierwsze miejsce. Tablica z jego nazwiskiem zawiśnie na budowanej w Sarajewie przez Polskę szkole, bo złożył na nią datek.

Leszek Balcerowicz od czasu do czasu w krótkich żołnierskich słowach udowadnia popełniane nonsensy, jak choćby pierwszy z brzegu: kredyty udzielone szpitalom na zakup nowoczesnego sprzętu poszły nie tam, gdzie trzeba i nie na taki, jak trzeba. Utopione miliony. Mówi to przygaszonym, zmęczonym głosem, jakby już utracił nadzieję. Zły omen. Ale ja się mu nie dziwię. *Quousque tandem...?*

Warszawa, 22 czerwca 1998 rok

Ewa BERBERYUSZ

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sąsiedzi

List do kardynała Angelo Sodano

Eminencjo,

My, wierni Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego w Polsce, ze zdziwieniem przyjęliśmy list Waszej Eminencji do ks. arcybiskupa Jana Martyniaka, metropolity przemysko-warszawskiego w sprawie wydalenia z metropolii przemysko-warszawskiej żonatych księży greckokatolickich z Ukrainy. Uznajemy, że jest to akt jednostronnie zmieniający porządek prawny panujący w diecezji przemyskiej i wyrosłej z niej metropolii przemysko-warszawskiej oraz pogwałcenie praw naszego Kościoła zagwarantowanych mu przez biskupa Rzymu w akcie zawarcia Unii Brzeskiej.

Nakaz Waszej Eminencji dotyczy wydalenia żonatych księży z Ukrainy, którzy sprawują posługę kapłańską w Polsce. Rodzi to pytanie, dlaczego to oni właśnie muszą opuścić metropolię przemysko-warszawską. Inni żonaci księża, którzy w naszej metropolii pracowali i pracują, mogą pozostać. Uznajemy to za niezrozumiałe dyskryminowanie duchownych z Ukrainy.

Wierni Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego w Polsce oceniają list Waszej Eminencji jako krok w kierunku rozerwania naturalnych związków pomiędzy metropolią przemysko-warszawską a Kościołem bizantyjsko-ukraińskim na Ukrainie. Tak bowiem oceniamy polecenie, aby na miejsce wydalonych księży wprowadzić księży birytualistów.

Jest to akt o charakterze politycznym, który jednocześnie narusza prawa partykularnego Kościoła Wschodniego gwarantowane przez wielowiekową tradycję prawną Stolicy Apostolskiej.

Metropolia przemysko-warszawska ma nieprzerwaną tradycję żonatego duchowieństwa. W okresie komunistycznym Kościół nasz nie miał żadnych praw. Był pozbawiony również własnej hierarchii. Był to czas wyjątkowy i z natury rzeczy nienormalny. Wtedy to również Stolica Apostolska listem ks. kard. Władysława Rubina, Prefekta Kongregacji dla Kościołów Wschodnich, wprowadziła zakaz udzielania święceń kapłańskich osobom żonatym. Trudno nie uznać tej legislacji za nadzwyczajną i jako takiej nie tworzącej normy prawnej Kościoła. Dziwi nas, że Wasza Eminencja przenosi legislacje z tego okresu na czas normalnego funkcjonowania Kościoła. Dlatego uważamy, że narzucenie metropolii przemysko-warszawskiej dyscypliny celibatu jest jednostronnym złamaniem praw naszego Kościoła.

Dnia 23 grudnia 1595 roku w Watykanie, w auli klementyńskiej papież Klemens VIII Aldobrandini przyjął dwóch biskupów z prawosławnej metropolii kijowskiej, którzy przybyli do Rzymu dla zawarcia Unii Kościoła Kijowskiego ze Stolicą Świętego Piotra. Biskupi przywieźli ze sobą dokument pod nazwą „Artykuły, na które potrzebujemy gwarancji Panów Rzymian przedtem, niż przystąpimy do jedności z Kościołem Rzymskim" zwany też „Artykułami Unii Brzeskiej". W odpowiedzi papież wydał tego samego dnia Konstytucję Apostolską „Magnus Dominus et laudabilis nimis" a następnie dnia 23 lutego 1596 roku, List Apostolski „Decet Romanum Ponteficem". W obu dokumentach Stolica Apostolska zagwarantowała przedstawione „Artykuły". Punkt 9 „Artykułów" brzmi: „Małżeństwo księży niechaj pozostanie niezmiennym, za wyjątkiem dwojeżeńców". Gwarancje te były rzetelnie przestrzegane przez 400 lat.

Praktyka celibatu była wprowadzona na terenie diecezji przemyskiej w latach 20-tych. Była to suwerenna decyzja podjęta przez ordynariusza tej diecezji. Wedle prawa decyzja taka może być utrzymana lub zmieniona przez innego prawowitego ordynariusza.

Oficjalną przyczyną listu Waszej Eminencji było dążenie do zachowania dyscypliny celibatu wśród księży Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego w Polsce. Fakt podjęcia funkcji duszpasterskich w Polsce przez księży z Ukrainy takiej dyscypliny nie naruszał, ponieważ księża ci nie przyjmowali święceń w Polsce.

Nawet w najtrudniejszym okresie prześladowań naszego Kościoła nikt nie zabraniał sprawowania posługi duszpasterskiej żonatym księżom. Również w tym względzie list Waszej Eminencji jest jednostronną i niczym nie usprawiedliwioną zmianą stanu prawnego naszego Kościoła.

Uważamy, że list Waszej Eminencji narusza zobowiązania podjęte wobec Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego. Może on także podważyć autorytet oraz wiarygodność Stolicy Apostolskiej w dialogu z siostrzanymi Kościołami prawosławnymi, które zwracają wielką uwagę na przestrzeganie praw i tradycji Kościołów wschodnich.

Prosimy więc, aby Wasza Eminencja, w imię poszanowania praw Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego, a także zachowania gwarancji udzielonych przez Papieża i Papiestwo, odwołała rozporządzenia zawarte w Swoim liście.

Z wyrazami należnego szacunku. Oddani w Chrystusie

Mirosław Czech, Poseł na Sejm RP; prof. Stefan Kozak, Wiceprezydent Międzynarodowej Asocjacji Ukrainistów, Uniwersytet Warszawski; prof. Stefan Zabrowarny, Prezydent Naukowego Towarzystwa im. T. Szewczenki w Polsce, Uniwersytet Szczeciński; prof. Maria Szeptycka, Instytut Problemów Jądrowych, Warszawa; prof. Michał Łesiów, UMCS Lublin; Oleg Hnatiuk, Przewodniczący Bractwa św. Włodzimierza Wielkiego; Katarzyna Sirocka, Przewodnicząca Europejskiej Federacji Ukraińskich Organizacji Kobiecych; Jerzy Rejt, Wiceprzewodniczący Europejskiego Kongresu Ukraińców, Przewodniczący Rady Głównej Związku Ukraińców w Polsce

Adres do korespondencji:
Jerzy Rejt, ul. Kościeliska 7, 03-614 Warszawa

Do wiadomości:

1. Jego Eminencja Myrosław Iwan kardynał Lubacziwśkyj, Arcybiskup Większy Lwowa, Zwierzchnik Ukraińskiej Cerkwi Grecko-Katolickiej
2. Jego Eminencja Achille kardynał Silvestrini, Prefekt Kongregacji dla Kościołów Wschodnich
3. Jego Ekscelencja ks. abp Józef Kowalczyk, Nuncjusz Apostolski w Polsce
4. Jego Ekscelencja ks. abp Jan Martyniak, metropolita przemysko-warszawski Kościoła Bizantyjsko-Ukraińskiego w Polsce
5. Jego Ekscelencja ks. bp Piotr Libera, Sekretarz Generalny Konferencji Episkopatu Polski
6. Jego Ekscelencja Petro Sardaczuk, Ambasador Ukrainy w Polsce
7. prasa

Ukraina: kryzys władzy i gospodarki

Prezydent Leonid Kuczma ukończył na początku sierpnia sześćdziesiąt lat. Urodziny obchodził w willi Foros na wybrzeżu krymskim, tej samej, gdzie puczyści moskiewscy trzymali w odosobnieniu pierwszego i ostatniego prezydenta ZSSR, Gorbaczowa. Kuczma puczu się nie boi, bo po pierwsze opozycja jest pokłócona, a po drugie prezydent trzyma w garści – na wszelki wypadek – wszystkie rodzaje sił zbrojnych: armię, Gwardię Narodową, wojska wewnętrzne i Straż Graniczną. „Jedynym moim niebezpiecznym rywalem, którego się naprawdę boję, jest kryzys gospodarczy" – powiedział w rozmowie, którą mieliśmy w końcu czerwca w Charkowie, podczas wizyty Kwaśniewskiego. Tylko w polityce zagranicznej los mu się nadal uśmiecha. Jakby na potwierdzenie tego do Forosu zjechało się na gratulacje urodzinowe kilku zaprzyjaźnionych prezydentów. Gruziński kolega Szewardnadze nazwał Kuczmę swym najlepszym przyjacielem, a gość z Azerbejdżanu Alijew przywiózł cenny prezent w postaci zapewnienia, że ropa z Kaspijskiego Morza popłynie przez porty Gruzji do ukraińskiej Odessy.

Gorzej na wewnętrznym froncie Kuczmy. Po wiosennych wyborach mało się zmieniło. Parlament jest nadal pstry, a według Kuczmy nawet gorszy od poprzedniego. Nie udało się prezydentowi usadowić swojego człowieka na stołku przewodniczącego, który ma więcej władzy i wpływów, niż powiedzmy marszałek polskiego Sejmu. Dwa miesiące trwała przepychanka o to stanowisko. Pięćdziesiąt razy posłowie głosowali zanim wreszcie obrali 7 lipca większością komunistów, socjalistów, partii chłopskiej i nowego populistycznego stronnictwa „Hromada", Ołeksandra Tkaczenkę. Urodzony w 1939 roku w Szpole koło Czerkasów, został agronomem, ale od 1966 roku działał w aparacie komunistycznym, najpierw w Taraszczy, a potem w Tarnopolu. Tuż przed niepodległością był wiceprzewodniczącym ówczesnego parlamentu Sowieckiej Ukrainy, a po ogłoszeniu suwerenności sprawował stanowisko ministra rolnictwa. Po delegalizacji partii komunistycznej był jednym z organizatorów Partii Chłopskiej, która stała się przystanią dla komunistów pracujących w rolnictwie. W poprzednim parlamencie był wiceprzewodniczącym Werchownej Rady. Antykomuniści zarzucali mu defraudację amerykańskich kredytów przeznaczonych na modernizację uprawy kukurydzy, ale afera utknęła w łonie biurokracji. Do Tkaczenki przylgnęło jednak przezwisko „kukuruźnik". I choć plany Kuczmy się nie udały, mimo to prezydent woli na stanowisku szefa parlamentu widzieć niegroźnego jako politycznego rywala Tkaczenkę, niż dawnego przewodniczącego, socjalistę Moroza, o wiele sprytniejszego i inteligentniejszego od swego następcy. Kuczma chciałby ugodową taktyką i koncesjami na rzecz próżnego Tkaczenki jakoś go obłaskawić i zneutralizować. Świadczy o tym prośba prezydenta, aby Tkaczenko wygłosił główne przemówienie na uroczystościach rocznicy niepodległości 24 sierpnia.

Innym gestem w podobnym kierunku jest idea Kuczmy zwołania wspólnego posiedzenia prezydenta, rządu i parlamentu. Chodzi mu zapewne o zaprzestanie „wojny na górze", a jeżeli to niemożliwe, to przynajmniej o wytargowanie zawieszenia broni na czas uchwalenia koniecznych ustaw gospodarczych, zwłaszcza takiego budżetu, który by znalazł uznanie Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Ale czy izba poselska pójdzie na tę drogę? Tak jak sytuacja wygląda obecnie, kompromis jest rzeczą bardzo wątpliwą. Lewica antykapitalistyczna siedzi po wyborach mocno w siodle. Oczekiwania na rozłam w KP Ukrainy na „leninowców" i „nacionał-komunistów" zawiodły. Obydwa odłamy nie mają odwagi na programowe zróżnicowanie i wolą udawać solidarność w walce z nową „burżuazją" i obozem „zdrajców", którzy porzucili komunizm. Jest też wielki zapas zemsty wobec prezydenta i rządu u takich polityków jak wspomniany Moroz i u obydwu byłych premierów, dość bezpardonowo usuniętych swego czasu przez Kuczmę, Marczuka i Łazarenkę.

Obsadzenie stanowisk przewodniczących komisji parlamentarnych skończyło się klęską obozu rządowego, Ruchu i socjaldemokratów. Komuniści otrzymali kierownictwo sześciu komisji. Spośród nich, o tak kluczowym znaczeniu jak polityka obronna i zagraniczna. Były minister spraw zagranicznych, Udowenko, który wszedł do parlamentu z ramienia Ruchu, zamiast obiecywanego kierownictwa w komisji spraw zagranicznych, otrzymał pieczę nad nową komisją praw człowieka, mniejszości narodowych i stosunków pomiędzy narodowościami. Sprawami komisji do walki z korupcją będzie się zajmował z ramienia „Hromady" poseł Karmazin, gdyż zasłużony na tym polu pułkownik Omelczenko należy obecnie do „odyńców", którzy

nie posiadają frakcji i nie mogą należeć do ciał parlamentarnych.

W przyszłym roku przypadają na jesieni wybory prezydenckie i choć do walki jeszcze nie wystartowano, w atmosferze politycznej już można dostrzec pierwsze znaki zmagań. Dotychczas tylko Kuczma zapowiedział, że się będzie ubiegał o dalszą kadencję. Mniej więcej wiadomo, że przeciwko niemu wystąpią były szef parlamentu Moroz, i obydwaj eks-premierzy Marczuk i Łazarenko. Może to mieć fatalne skutki dla dalszego losu reform gospodarczych, które Kuczma chce przyspieszyć i zradykalizować. Jeżeli jego przeciwnicy przyjmą strategię blokowania reform – Ukraina może pogrążyć się w odmętach, już nie kryzysu, ale zupełnego krachu.

Sytuacja w gospodarce jest alarmująca. Kryzys azjatycki, a przede wszystkim rosyjski, zaostrzył sytuację. Zachodni właściciele ukraińskich papierów wartościowych zaczęli się ich pozbywać. Aby ich zupełnie nie utracić, Kijów podwyższył wielokrotnie procenty, aż do siedemdziesięciu. Jest to oczywiście karkołomna gra. Dotychczas jedynym plusem w gospodarce była stabilizacja Hrywny. Ale ostatnio kurs ukraińskiej waluty w stosunku do dolara, jako głównego czynnika wartości, zaczął się wahać. Stabilność pieniądza jest utrzymywana sztucznie, jak w Rosji, poprzez ogromne zadłużenie wewnętrzne. Państwo zalega od dawna z wypłatą zarobków, pensji i rent. Dług ten wynosi według Kuczmy półtora miliarda hrywien, a zdaniem zachodnich ekspertów dwa miliardy dolarów, czyli dwa razy tyle. Państwo robi bokami, bo dyscyplina podatkowa jest fatalna. Prezydent wykorzystał *bezhołowie* w parlamencie i wydał kilka dekretów w sprawie uproszczenia systemu podatkowego, obniżenia deficytu budżetowego, zgodnie z wymogami Międzynarodowego Funduszu Walutowego, ale prawdziwe reformy strukturalne i prywatyzacja przemysłu i rolnictwa poruszają się w żółwim tempie. Cała nadzieja koncentruje się obecnie, podobnie jak to było w Rosji, na kredytach Funduszu Walutowego. Ale w najlepszym wypadku będzie to tylko łatanie dziur, a nie gruntowna sanacja chorej gospodarki ukraińskiej.

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

O Karolinie Lanckorońskiej – w setną rocznicę urodzin – 1998

Poznałam „Panią Karlę" w Londynie w r. 1952, gdy rozgorzała batalia o końcówkę nazwiska: Karolina Lanckorońska czy Lanckoroński, jak chciano jej wypisać na *identity card*. I wtedy, i przy żadnej innej, znanej mi okazji, nie upomniała się o rodowy tytuł, który zrósł się w świadomości ogółu z ukochanym jej ojcem – Karolem hrabią Lanckorońskim, twórcą słynnej galerii w Wiedniu, historykiem, archeologiem, odnowicielem Wawelu i fundatorem grobowca św. Jadwigi.

W środowisku londyńskim lat 1950-tych i 1960-tych była „panią Karlą", która opiekowała się młodzieżą tak, jak poprzednio w Rzymie. I tak samo w bliskiej współpracy z ks. Walerianem Meysztowiczem i prof. Henrykiem Paszkiewiczem. Przeżyła obu, otaczając ich serdeczną przyjacielską opieką. Wspólnym dziełem tej uczonej trójki był naprzód Polski Instytut Historyczny w Rzymie, a następnie szeroko zakrojona akcja ratowania rozproszonych po świecie archiwaliów dotyczących dziejów Polski od zarania chrześcijaństwa po nasze czasy z wyskokami na sprawy Centralnej i Wschodniej Europy. Gdy tylko dzięki umiejętnej gospodarce, uratować zdołała resztki fortuny Lanckorońskich, uruchomione zostały dwie serie wydawnicze: „Antemurale" (1954) i „Elementa ad Fontium Editiones" (1960), kilkadziesiąt tomów, przynoszących bogatą dokumentację spraw polskich, zaczerpniętą z archiwów włoskich, hiszpańskich, duńskich, a przede wszystkim niemieckich i przede wszystkim wieku szesnastego dotyczących. To „Elementa". Ukazujące się równolegle

„Antemurale", pomyślane jako rocznik, publikowały materiały i studia historyczne dotyczące Polski w językach obcych i rozpowszechniane szeroko, ze szczególną dbałością o dotarcie do rąk specjalistów w danej dziedzinie. Po wydaniu 27 roczników ustąpiło miejsca serii aktów nuncjatur udostępnionych dzięki staraniom „pani Karli" z archiwów watykańskich.

Wielkim poczynaniom wydawniczym towarzyszyła pomoc w pokrywaniu kosztów druku prac doktorskich, bibliografii, katalogów wystaw, w tym w r. 1972 polskiej i angielskiej wersji katalogu wystawy „Jacek Malczewski. W Azji Mniejszej i w Rozdole" – w opracowaniu Mieczysława Paszkiewicza – w szczególnie starannej szacie graficznej. Publikacja ta wiąże się z perypetiami ocalałego z pogromu wojennego i jego skutków tzw. Depozytu Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, składającego się z cennych druków, grafiki etc., które przez kilkanaście lat przechowywane były w Bibliotece Polskiej w Londynie i za pośrednictwem wystaw i katalogów informowały o bogactwie posiadanych przez Fundację zbiorów. Przekazane do Kraju pełnić już zaczynają należną im rolę i staną się niewątpliwie punktem wyjścia prac naukowych, inspirowanych przez dary przekazane ostatnio na Wawel i do zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie, gdy wielkie wystawy udostępnią je szerszemu ogółowi.

Za wszystkimi tymi inicjatywami i darami kryje się dzielna, uparta, świadoma do czego dąży, choć czasem kapryśna pani Karla z anegdoty o tym, jak w dniu wspólnego patrona Karol, czyli Jan Paweł II składał Karolinie życzenia imieninowe (Karol Karolinie). I wspomnienia późnych wieczornych telefonów oznajmiających, że pani Karla przyleciała z Rzymu, jest już na Actonie i niepokoi się o korekty „Antemurale".

Wyroki Boskie przydzieliły Karolinie Lanckorońskiej długi i pracowity żywot i wykazują tendencję przekroczenia roku 2000-cznego. Oby!

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Jak powstawał „Piotruś"

Umieszczony poniżej tekst został znaleziony przez Łucję Gliksman wśród pozostałych po pisarzu papierów. Jest to rzadka u pisarzy, świadoma analiza własnego utworu. „Piotruś" jest, jak pisze autor, „wołaniem z głębokości".

Jego oryginalny i jakby dziwny utwór nie dla wszystkich czytelników jest zrozumiały. Szukając w nim wątków powieściowych plączą się w niejasnych domysłach. Nie dostrzegają prawdy, że w tych jakby dalekich od wszelkiej rzeczywistości wydarzeniach kryje się wielka metafora „normalnego udziału człowieka na ziemi".

Czytelnicy, którzy odczytali powieść Lipskiego w całej jej głębi, inny mają o niej sąd. Jerzy Giedroyc (wydawca powieści w 1960 r.) nazwał „Piotrusia" „Wielką powieścią". W tym samym roku Konstanty Jeleński, po przeczytaniu „Piotrusia" w maszynopisie pisze w liście do Giedroycia: „Nareszcie mamy nowego wielkiego pisarza...".

Liczne omówienia powieści po jej ukazaniu się w Polsce, a także już po śmierci autora, wykazują coraz lepsze zrozumienie tego utworu, o którym autor pisze, że pragnął w nim pokazać „człowieka w uniwersalnym sensie tego pojęcia i jego los na ziemi".

Nie mogę powiedzieć, że filozofia mojej książki była jasno skrystalizowana w mojej świadomości już w czasie pisania powieści. Niewątpliwie, zalążek ideologiczny istniał już w samym zamyśle powieści, ale – jak z pewnością większość pisarzy – wiele założeń filozoficznych i formalnych wprowadzałem intuicyjnie i dopiero *ex posteriori* uświadamiałem sobie wszystkie odcienie tego, co pragnąłem wyrazić.

Rzecz jasna, przez opis jednostkowego doświadczenia (w moim wypadku – jak to zresztą da się stwierdzić u większości pisarzy i czemu nie myślę zaprzeczać – opartego w jak największej mierze na elementach autobiograficznych) chciałem pokazać człowieka w uniwersalnym sensie tego pojęcia – i jego los na ziemi. Chciałem pokazać degradację człowieka.

Piotruś (podobnie jak ja) jest okaleczony fizycznie, wyrzucony poza nawias życia społecznego przez swoją chorobę, samotność, sytuację ekonomiczną i emigrację. Wierzę jednak, że to okaleczenie, poniżenie, samotność w głębszym sensie tego słowa, są normalnym udziałem człowieka na ziemi. Dotyczy to zaś szczególnie człowieka naszej epoki, żyjącego w chwiejnym świecie nuklearnej rzeczywistości. Piotruś został pozbawiony w życiu wszystkiego i w końcu zredukowany do poniżającej, okrutnej egzystencji na ograniczonej przestrzeni klozetu. Ileż jednak ludzi żyje równie trudnym i ograniczonym istnieniem na terenie swoich codziennych obowiązków, pracy zawodowej itp.

Jednakże i w tych warunkach człowiek (tj. w danym wypadku Piotruś) walczy o wyzwolenie się z granic okrutnej rzeczywistości przez wysiłek intelektualny, samoanalizę, szukanie kontaktu z przyrodą, obserwowanie przejawów życia innych ludzi, przez seks i – na koniec – miłość do kobiety.

W ten sposób dochodzimy do postaci Batii. Mnie samemu trudno jest wyrazić opinię, ale spotykałem się – w listach czytelników i niektórych rozmowach – z opinią, że Batia jest dużym artystycznym osiągnięciem w tym sensie, że jest literacką postacią kobiecą bez precedensów. Batia stanowi kontrast z Piotrusiem. Piotruś jest analityczny, pasywny, przerażony rzeczywistością, ulegający ludziom i wypadkom. Batia aktywnie kształtuje swój los, jest odważna, animalnie żywotna i żywiołowa. Ale i ona ulega degradacji, która zagraża wszystkiemu, co żyje. Jej „mahlul" jest zamkniętą i poniżającą przestrzenią życiową, gdzie obok niej żyje w swoich chorobliwych snach jej półobłąkany ojciec. Mimo swoich kilkunastu lat zdążyła już przejść całą gradację seksualnych sensacyj, a ekonomicznie egzystuje dzięki transakcjom bodaj że równie degradującym, jak sprzedanie się Piotrusia „z rzeczami" na szuku. I na koniec trudno przewidzieć, czy jej Paryż nie będzie też rodzajem egzystencji w klozecie.

Zarówno wobec Batii i jej bezwzględnej zdobywczości jak i wobec wszelkich innych prób życiowych, z nawrotem do przeszłości włącznie, Piotruś jest bezsilny i z góry przegrany. Nie ma dla niego ucieczki od rzeczywistości i pozostaje mu tylko „wołanie z głębokości". Tym wołaniem z głębokości jest moja książka.

Pragnę podkreślić, że ten obraz poniżenia człowieka pragnąłem nakreślić na tle piękna świata – przez odmalowanie niepowtarzalnego uroku krajobrazu perskiego (góry, Teheran), polskiego (kresowego) oraz izraelskiego (droga do Haify, a szczególnie miasta Jerozolima, Haifa i Jaffa, w których starałem się podkreślić ich specyficzny charakter). Nawet, jak myślę, zdołałem wydobyć nieco pikantny czar szuku. Poza tym morze, uroda kobiet. Myślę, że to piękno świata umniejsza nieco pesymizm mojej książki – pokazuję lepsze, bardziej pociągające elementy świata, które godzą człowieka z rzeczywistością i pokazują jakieś niewyzyskane możliwości lepszego życia.

Zarzucano mi niekiedy, że poświęciłem wiele miejsca nostalgicznemu opisowi Polski, a nie podkreśliłem pozytywnych elementów życia w Izraelu, raczej przeciwnie. Ale to wydaje mi się nieporozumieniem. Nie zaprzeczam, że nostalgia za Polską tkwi we mnie. Ale w danym wypadku, przy bardziej uniwersalistycznym podejściu do mego tematu, pragnąłem pokazać tęsknotę człowieka za utraconym światem dzieciństwa i w ogóle przeszłości. U mnie siłą rzeczy musiał to być opis Polski – choć świadomie wybrałem nie świat mego niemal ojczystego Krakowa, ale zupełnie mi obcych Kresów, które znam tylko ze specjalnie przeprowadzonych studiów, widocznie dobrych, skoro kresowiak Czapski znajduje w tym urywku znaną sobie dobrze atmosferę tej części Polski, a nie znany mi czytelnik z kraju pisze wprost, że opisałem właśnie jego wieś rodzinną.

A Izrael? Nie chodziło mi tu o wierny opis tego kraju (poza fragmentami tła, krajobrazu), ale o umiejscowienie akcji w konkretnej rzeczywistości. Opisałem elementy konkretne – domy, w których mieszkałem, życie ulic tel-awiwskich, życie typowej „kamienicy". Również większość bohaterów i nawet drobnych epizodów ma swoje pierwowzory w życiu tutejszym. Nie mogłem pominąć więc i nowych przybyszy z ich niechętnym często nastawieniem do nowych form życia. Nie opisywałem przecież chaluców, przybyszy ideowych, pionierów. Dla mego tematu potrzebne było po prostu nowoczesne miasto z jego wszelkimi – często przerażającymi, często groteskowymi – elementami.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o intelektualnym życiu

Piotrusia. Nawet w lekturach znajduje on potwierdzenie swoich gorzkich doświadczeń – stąd cytat z Junga o samotności, z Heideggera o strachu.

Na koniec, w rozmowie z lekarzem, zreasumowana jest filozofia Piotrusiowego świata – świata grozy, niestałości, obłędu. W doktorze dostrzega Piotruś jeszcze jeden przypadek tej choroby naszej cywilizacji a doktor z kolei widzi go nawet w Bogu, gdy stwierdza „Bóg jest schizofrenikiem".

Taka jest moja koncepcja mojego utworu, z grubsza mówiąc. Przyznaję, że ktoś inny mógłby ten epizod z życia powojennego człowieka zinterpretować inaczej – i prawdopodobnie nie mniej prawdziwie.

Leo LIPSKI

Wyróżnienia POLCUL Foundation

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 3.8.1998 r. Dyrekcja Fundacji POLCUL FOUNDATION przyznała dalszych 29 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruchu kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Jacek BALUCH – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-czeskiej; Jan BUJNOWICZ – za pracę na rzecz osób niepełnosprawnych; Kazimierz CHUDZIŃSKI – za pracę społeczną na terenie Strzelna; ks. Michał CZAJKOWSKI – za pracę na rzecz porozumienia z Żydami; Andrzej DARGA – za pracę w Gdańskim Stowarzyszeniu Dializowanych; Julian GOLAK – za pracę w wydawnictwie „Ziemia Kłodzka"; Maria GDULA-ARGASIŃSKA – za pracę w Domu Pomocy Społecznej w Krakowie; ks. Roman INDRZEJCZYK – za praktyczne szerzenie ekumenizmu; Artur JABŁOŃSKI – za pracę dziennikarską na Kaszubach; Zofia KŁAKÓWNA – za nowatorską pracę dydaktyczną; Zofia KOŁAKOWSKA – za pracę w Domu Opieki Społecznej w Krakowie; Maria KOŚCIOŁEK – za pracę na rzecz osób niepełnosprawnych; Przemysław KRĘŻEL – za pracę na rzecz osób niesłyszących w Łodzi; Olga ŁOBACZEWSKA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej; Tadeusz MOSKAL – za pracę wśród dzieci specjalnej troski; Stefan MÜNCH – za pracę w Stowarzyszeniu Pro Musica Antiqua w Lublinie; ks. Stanisław MUSIAŁ – za walkę z antysemityzmem wśród kleru; ks. Marek NOWAK – za działalność na rzecz dialogu polsko-żydowskiego; Marek NEY-KRWAWICZ – za popularyzowanie najnowszej historii Polski; Maria ORKISZ – za pracę na rzecz osób niepełnosprawnych; Roman PESKA – za pracę społeczną w Pabianicach i okolicy; ks. Ludwik PIECHNIK – za pracę społeczną na rzecz dzieci i młodzieży w krakowskiem; Eugeniusz PRYCZKOWSKI – za pracę dziennikarską na Kaszubach; Marian REMBELSKI – za pracę społeczną na terenie Bodzentyna i okolic; ks. Jacek SALIJ – za pracę na rzecz tolerancji; Antoni ŚWISTAK – za pracę na rzecz osób niepełnosprawnych; Jan TURNAU – za pracę publicystyczną na rzecz ekumenizmu i tolerancji; Ryszard ZAŁUSKA – za pracę na rzecz przyjaźni Polski z Litwą, Białorusią, Ukrainą i Bułgarią; ks. Andrzej ZUBERBIER – za pracę na rzecz ekumenizmu

Z wymienionych osób:

7 – otrzymuje wyróżnienia im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowicz

4 – otrzymują wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej

7 – otrzymuje wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singler

W ciągu 18-tu lat swego istnienia POLCUL FOUNDATION wyróżniła ponad tysiąc osób.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

– Jan HANASZ
ul. Krasińskiego 57 m. 10, TORUŃ, tel.: (056) 282 06

– Anna KONDRACKA
ul. Bogusławskiego 20 m. 80, WARSZAWA, tel. (022) 663 26 39

lub też zwracając się wprost do POLCUL FOUNDATION
P.O.BOX 193
ROSE BAY. 2029. AUSTRALIA
Tel.: (61-2) 9326 2863
Fax: (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

Sprawy i troski

Cyberkawiarnie w Polsce

Aczkolwiek pod względem skomputeryzowania i dostępu do Internetu zajmuje Szwecja czwarte miejsce na świecie (*Kultura* pisała o tym obszerniej w nr 5/608) są jeszcze w tym kraju nastolatki, które nie mają własnego komputera z sieciowym abonamentem. Oczywiście w większości szwedzkich bibliotek publicznych znajdują się komputery, na których – za darmo lub po uiszczeniu symbolicznej opłaty – można pracować lub *surfować* na Internecie. I tak np. na komputerach sztokholmskiej biblioteki miejskiej każdy może gratis przez godzinę korzystać z Internetu lub przez dwie godziny z programu Office (Word, Publisher, Excel itd.), opracowując różne dokumenty, pisząc listy czy chociażby wypracowanie. Problem polega jednak na tym, że biblioteki – instytucje dość staromodne i obdarzone sporą inercją – rzadko potrafią stworzyć atmosferę, którą akceptują młodzi ludzie.

Czy więc dostępu do Światowej Pajęczyny pozbawiony jest szwedzki uczeń, który z różnych powodów nie ma w domu do swojej dyspozycji komputera z abonamentem Internetu? Oczywiście nie, gdyż może udać się do jednej z *cyberkawiarni* (kawiarni cybernetycznych). Są to po prostu zwykłe kafejki, w których sprzedaje się nie tylko napoje chłodzące, kawę i ciastka, ale także czas pracy komputerów ze stałym, szybkim wejściem do sieci. Można tam także otrzymać własny adres dla poczty elektronicznej czy założyć własną *home page*. Szwedzkie cyberkawiarnie cechują dwie osobliwości: 1) opłata dla dziewcząt jest często o 50% niższa niż dla chłopców, 2) podczerstwiała drożdżówka i wodnista

kawa mogą kosztować więcej (np. w sztokholmskiej Café Access) niż 30 minut dostępu do Internetu. Ta różnica międzypłciowa nie maleje a nawet wzrasta; do największej sztokholmskiej cyberkawiarni Nine (40 komputerów podłączonych do sieci) i tak przychodzą w większości chłopcy, choć opłata za godzinę wynosi dla nich 55 SEK, a dla dziewcząt – tylko 25 SEK. Podobnie niekorzystna proporcja płciowa użytkowników występuje w przeznaczonym dla nieco starszych (20-25 lat) osób Aswellas Internet Center. Choć 25 SEK jest sumą bardzo małą (egzemplarz codziennej gazety kosztuje 10 SEK), wiele dziewcząt – zwłaszcza z biedniejszych rodzin – uważa, że to i tak za dużo, szczególnie iż cena dotyczy czegoś, co wydaje się im skomplikowane. Ponieważ bez umiejętności obsługi komputera nie można już w Szwecji zostać nawet woźnym, a egalitaryzm szwedzkiego systemu polega na rzeczywistej a nie ograniczonej do frazesów, równości szans, zaczęto otwierać szereg punktów specjalnych, w których nauka prostych technik oraz dostęp do komputera i Internetu są praktycznie bezpłatne. W Sztokholmie takim punktem jest otwarta przy pomocy władz miasta specjalna Café X-bit, przeznaczona głównie dla dziewcząt w wieku 13-20 lat. Znajduje się ona zresztą w domu kultury dla dziewcząt, przy którym działa feministyczny *network X-ist*, skupiający – co ważne! – wiele dziewcząt z rodzin ubogich czy imigranckich. Członkostwo w X-ist kosztuje zaledwie 80 SEK rocznie i daje bezpłatny wstęp do cyberkawiarni Café X-bit, gdzie zawsze na miejscu jest fachowa instruktorka, która również bezpłatnie pokaże, jakie są możliwości Internetu, jak szukać tam informacji, jak działa *chat-site* czy *e-mail*, jak założyć własną skrzynkę listów elektronicznych czy *surfować* w fascynującej *cyberspace*, jakie ogromne możliwości pracy z tekstem daje program Word.

Oczywiście cyberkawiarnie nie są tylko szwedzką specjalnością. Przeciwnie, w Szwecji, jednym z najbardziej nasyconych komputerami krajów na świecie, gdzie sprzęt multimedialny – dzięki korzystnemu systemowi sprzedaży ratalnej za pośrednictwem zakładów pracy czy związków zawodowych – stał się dostępny dla każdego, kawiarnie cybernetyczne potrzebne są znacznie mniejszej procentowo części młodzieży niż w Ameryce Łacińskiej, Afryce, Rosji, a nawet Grecji czy

Hiszpanii. W opublikowanym na łamach *Dagens Nyheter* (11 VI 1998) reportażu mogliśmy przeczytać, że w Peru – gdzie z 23 milionów mieszkańców mało kto ma w domu komputer, a w szkołach nie ma ich prawie w ogóle – kończy się właśnie wyposażanie 330 skromnych cyberkawiarni, z których każda posiadać będzie podłączone do sieci komputery, kilka skanerów i czarno-białą drukarkę laserową. Z założenia mają one obejmować również prowincję tego wielkiego kraju i być przeznaczone dla młodzieży ubogiej, także indiańskiej. A jak wygląda dostępność cyberkawiarni w Polsce?

Znajdujący się pod adresem *http://www.netcafeguide.com.* Internet Café Guide – mający zarejestrowanych 2600 cyberkawiarni i punktów akcesowych w 95 krajach – podaje, że w Polsce istnieje 7 kawiarni cybernetycznych (stan na 23 maja 1998); dla porównania: w Czechach – 14, w Tajlandii – 26, na Filipinach – 24, w Hiszpanii – 136. Ponieważ jednak nie wszystkie cyberkawiarnie są rejestrowane, liczby te należy traktować jako zaniżone: w rzeczywistości w Tajlandii jest około 40 cyberkawiarni, a w Polsce – kilkanaście. Oczywiście ważna jest nie tylko ich ilość, ale także dostępność w relacji do dochodów ludności. Dla sztokholmskiej dziewczyny równowaźnik 10 zł polskich za godzinę korzystania z podłączonego do sieci komputera w cyberkawiarni Nine jest zupełnie inną sumą niż 9 złotych potrzebnych warszawiance na godzinę *surfowania* w Cyberia Internet Café na Krakowskim Przedmieściu! W dodatku, jak pokazaliśmy, w Café X-bit młoda sztokholmianka może korzystać z komputera, Internetu i pomocy instruktorskiej praktycznie za darmo. Przeciętna polska cena za godzinę korzystania z Internetu wynosi 5 zł, np. w krakowskiej Café Internet na Słowackiego 29, czy w warszawskim Pokoju Multimedialnym przy Wspólnej 62. Nie jest to cena niska, a doliczyć jeszcze do niej trzeba koszt jakiejś kawiarnianej konsumpcji. W *Życiu Warszawy* (18 VII 1998), w artykuliku „Cyberknajpki lubią zwłaszcza studenci i cudzoziemcy", mogliśmy przeczytać o Cyberia Internet Café na Krakowskim Przedmieściu: „W gustownie, aby nie powiedzieć ekskluzywnie urządzonych wnętrzach, ustawionych jest sześć komputerów. Korzystają z nich głównie obcokrajowcy studiujący na pobliskim uniwersytecie oraz co bogatsi studenci, a także – jak twierdzą niektórzy – tzw. bananowa młodzież, co

wynika zapewne z dość wysokich cen". Autor pociesza jednak czytelnika, że gdy kogoś nie stać na korzystanie z Internetu, to zawsze może tam wypić „jeden z kilkudziesięciu drinków o tak sympatycznych nazwach jak: Cement Mixer, Bloody Mary, Gasoline czy Brum Fucker". W sztokholmskich cyberkawiarniach wnętrza są skromne, komputerów – 15-40, ceny niskie w stosunku do dochodów ludności, a drinków nikt nie miesza. Ot różnica stylów.

Skomputeryzowanie szwedzkich szkół jest dość przyzwoite: średnio jeden komputer przypada na 13 uczniów szkół podstawowych i 6 gimnazjalistów. Trochę gorzej wygląda dostęp do Internetu: w roku szkolnym 1997/98 połączenia z siecią miało tylko 56% szkół podstawowych i 91% gimnazjów. Natomiast zdecydowanie źle wygląda informatyczny poziom nauczycieli, z których aż 80% szczerze przyznaje, że ich wiadomości w zakresie IT są ograniczone. W szwedzkich szkołach nie jest niczym niezwykłym, iż uczniowie zdolniejsi i mający w domu dostęp do komputera swoim zaawansowaniem informatycznym znacznie przewyższają nauczycieli. Dlatego też rząd szwedzki w wiosennej propozycji budżetowej przeznaczył poważną sumę 1,5 miliarda SEK, która wydatkowana będzie w ciągu trzech lat na podniesienie poziomu opanowania IT w szwedzkich szkołach. Przynajmniej 60 tysięcy z blisko 100 tysięcy nauczycieli w całym kraju ma w ciągu najbliższych trzech lat przejść 3-4-tygodniowy kurs najniezbędniejszych technik komputerowych. Wszyscy oni mają później mieć dostęp do własnego komputera i być zobowiązani do komunikowania się z uczniami także przy pomocy poczty elektronicznej (e-mail). Własny @dres elektroniczny ma posiadać każdy uczeń od średniego stadium szkół podstawowych wzwyż. Należy stymulować korzystanie uczniów z Internetu zwłaszcza, iż medium to rozwija także umiejętność sprawnego i szybkiego czytania, z czym „obrazkowe pokolenia" młodzieży wychowanej na TV mają czasami problemy. Ponieważ kształcenie nauczycieli i sukcesywne zwiększanie ilości komputerów, zwłaszcza w szkołach podstawowych, jakiś czas potrwa, władze mają także stymulować rozwój tanich cyberkawiarni, zwłaszcza w gminach prowincjonalnych. Jest to o tyle istotne, iż doświadczenia wykazują, że w takich punktach młodzież uczy się IT chętniej i czybciej niż w szkołach.

Anna DELICK

Oświadczenie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*

Stanisław Dłuski jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Dał się poznać jako utalentowany pisarz, świetny redaktor kwartalnika *Fraza*, który z marginalnego, prowincjonalnego pisemka stał się za jego redaktorstwa naczelnego jednym z liczących się na arenie ogólnopolskiej periodyków. To głównie z jego inicjatywy w piśmie tym publikują swoje utwory: wiersze, prozę, krytykę i eseje czołowi polscy pisarze, zarówno starszej generacji (m.in. Julia Hartwig, Ludmiła Marjańska, Janusz Krasiński), jak i najmłodsi (Świetlicki, Podsiadło).

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich jest zaniepokojone próbą odebrania p. Dłuskiemu pisma, którego kształt i poziom jest jego przede wszystkim zasługą i które, jako redaktor naczelny, wyprowadził na szerokie wody. Jego kompetencje i poziom moralny gwarantują dalszy rozwój tego pisma i to, że stanowić ono będzie wartościową i unikatową pozycję w krajobrazie czasopiśmiennictwa naszego kraju.

Prezes Marian GRZEŚCZAK

Czasopisma literackie żyją w nieustannym zagrożeniu – tym bardziej, że nie mają szans na ustabilizowanie swej sytuacji materialnej. Zależne od „sponsorów" – czy to prywatnych, czy społecznych (fundacje, samorządy lokalne, urzędy) – często muszą podporządkowywać się ich wymaganiom. W wypadku konfliktu racja jest po stronie siły. Nikt, oczywiście, nie ma prawa wyrzucać prywatnemu wydawcy, iż rezygnuje z wydawania pisma, jak to było w wypadku poznańskiego *Nowego Nurtu*, choć pisma szkoda. Inaczej wszakże rzecz wygląda w przypadku finansów społecznych – tu racje muszą

* Zarząd Główny, Krakowskie Przedmieście, 87/89, 00-079 Warszawa, tel./fax (022) 260589, tel. 6350404 w.115

być szczególnie uważnie rozpatrzone. I tak np. w wypadku wydawanej w Ostrołęce *Pracowni* władze miasta zrezygnowały z dotowania kwartalnika, gdyż uznały, iż nie promuje on twórców lokalnych. Do tego też mają prawo, lecz nie mogą odebrać tytułu jego twórcy – *Pracownia* ukazuje się nadal nakładem prywatnym. Nie zawsze jest to jednak możliwe. Wiele pism lokalnych – lubelskie *Kresy*, szczecińskie *Pogranicza*, wrocławska *Odra* czy bydgoski *Kwartalnik Artystyczny* zależne są od publicznych sponsorów, najczęściej właśnie władz lokalnych lub samorządów. Podobnie rzecz wygląda w wypadku rzeszowskiej *Frazy* – pisma ważnego, prezentującego autorów z całego kraju, jednocześnie skupionego na promocji kultury lokalnej oraz na kontaktach z sąsiadami Polski. Protest Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przeciw dążeniu do odebrania pisma Stanisławowi Dłuskiemu świadczy o tym, że urzędnicze decyzje mogą w sposób brutalny przerwać pracę pisma o wyrazistym programie i coraz szerzej zakrojonych planach, przekreślić dorobek wieloletniej pracy. Wiadomo skądinąd, że takie decyzje stanowią często odbicie jakichś prywatnych animozji czy „układowych" rozgrywek – dość przypomnieć żenującą kampanię prasową rozpętaną w Bydgoszczy przeciw „zbytniej elitarności" tamtejszego *Kwartalnika Artystycznego*. Jest więc rzeczą pożądaną stworzenie właściwego dla rozwiązywania takich konfliktów społecznego ciała odwoławczego przy izbie wydawców czy stowarzyszeniach twórczych tak, by byt czasopism nie był zależny wyłącznie od doraźnych decyzji urzędniczych.

REDAKCJA

Notatki Redaktora

Grupa filmowa „Kontakt" Mirosława Chojeckiego przygotowuje film telewizyjny poświęcony atamanowi Symonowi Petlurze, umowie polsko-ukraińskiej oraz wspólnej walce z bolszewikami w roku 1920. Film będzie obejmować okres od 1918 do 1926 roku, zamknięty zamordowaniem Symona Petlury w Paryżu. Film opracowuje znany reżyser-dokumentalista Jerzy Lubach specjalnie zajmujący się najnowszą historią. Pomaga mu operator Franciszek Gorka oraz historycy ukraińscy: dr Wiktor Hołubko i dr Bohdan Hudź. „Kontakt" produkuje ten film dla telewizji polskiej. Winien się ukazać w jej programie po koniec bieżącego roku. Protektorat nad tym filmem objęli Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski i Prezydent Ukrainy Leonid Kuczma.

●

Ekolodzy domagają się, żeby ciężarówki jadące tranzytem przez Polskę były przewożone pociągami. Postulat ten jest jak najbardziej słuszny: takie zarządzenie zlikwidowałoby w dużym stopniu zatory na szosach usprawniając ruch i zmniejszając polucję, ale również ułatwiłoby walkę ze szmuglem.

●

Podobno Senat poparł ostatnio projekt Prymasa dotyczący budowy w Warszawie Świątyni Opatrzności Bożej, a uchwalony przez Sejm Czteroletni w roku 1791. Wydaje się, że byłby to zbyteczny luksus przy obecnym kryzysie budowlanym i tysiącach bezdomnych, nie mówiąc już o zniszczeniach spowodowanych powodziami. Należałoby raczej powstrzymać nieustający pęd proboszczów do budowy nowych kościołów dla zaspokojenia swoich ambicji, co staje

się nieznośnym ciężarem dla parafian. Zresztą tak samo należałoby ograniczyć obecnie inflację pomników, mauzoleów, itp.

●

Dlaczego nasze prawodawstwo tak kuleje? Dwie ustawy miesiącami nie mogą się doczekać przepisów wykonawczych, a więc nie mogą działać. A ostatnio historia Nowego Kodeksu Karnego, który niezadługo będzie obowiązywać, a do którego nie ma dotąd kilkudziesięciu przepisów wykonawczych?

A przecież prawo potrzebne jest na co dzień. Rząd na każdym kroku okazuje swoją bezsilność. Policja nie może zlikwidować blokad prawie całego kraju, a rolnicy grożą, że będą to dalej stosować, jeżeli policja będzie ich usuwać – będą się bić z policją, jeżeli rząd nałoży im kary za wszystkie ponoszone straty – będą je płacić... ale zbożem, którego nie chce rząd od nich kupić, itp. Co myśli każdy przeciętny obywatel gdy słyszy takie rzeczy lub o nich czyta?

●

Codzienna prasa polska jest pełna informacji czy plotek o ciągłych nadużyciach, kradzieżach mienia publicznego, aferach itp. Niestety, nigdy nie można się dowiedzieć, czy sprawcy zwrócili to, co „zdobyli", czy zostali odpowiednio ukarani, czy też wszystko się rozmyło i mogą działać na nowo. Rząd o niczym nie informuje społeczeństwa, a instytucja rzeczników prasowych (zresztą rzadko na poziomie) służy głównie do zatajania wszystkich spraw. Można byłoby może dotrzeć do źródeł, które by poinformowały o działaniach administracji, np. do sprawozdań Rzecznika Praw Obywatelskich, czy do sprawozdań NIK-u i NSA. Są to niewątpliwie cenne źródła, ale niezmiernie czasochłonne i bardzo rozproszone. Byłoby dobrze gdyby Rząd wzorem francuskiego *cours des comptes* rok rocznie publikował odpowiednie raporty, dostępne dla wszystkich, które by informowały o tych sprawach. Premier Buzek, chcąc uwiarygodnić swoje liczne deklaracje, powinien jak najszybciej zorganizować taką sprawozdawczość i przedstawić ją Sejmowi.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Rowmund Piłsudski

Dobrze się stało, iż przed paru miesiącami ukazała się – jako trzeci tom w serii „Myśl społeczna i polityczna na emigracji" – nieduża książka pt. „Pisma wybrane" Rowmunda Piłsudskiego*. Redaktorem tej serii jest Feliks Gross, który poprzedził tekst krótkim wprowadzeniem. Słowo wstępne jest pióra Bolesława Wierzbiańskiego, a przedmowę napisał Edward Raczyński, chyba niedługo przed śmiercią. Tom ten był od dawna oczekiwany i ukazał się wreszcie dzięki pokaźnej subwencji Bolesława Łaszewskiego.

Nazwisko Rowmunda Piłsudskiego (1903-1988) nie jest szeroko znane, tak zresztą jak i związane z jego osobą dzieje politycznej emigracji po drugiej wojnie światowej. Dwa zbiorowe opracowania, wydane w ostatnich kilku latach w kraju – „Warszawa nad Tamizą" i „Myśl polityczna na wygnaniu", obie pod redakcją Andrzeja Friszke - stanowią jakby pierwszy krok w kierunku głębszych badań. W pierwszej jest mowa o Rowmundzie Piłsudskim w rozdziale o NiDzie; w drugiej mamy artykuł o nim pióra Pawła Ziętary. Piłsudski jest wzmiankowany w szerszej wersji historii Polski Wojciecha Roszkowskiego, ogłoszonej pod pseudonimem Albert; w późniejszym podręcznikowym wydaniu nazwisko jego znika.

Rowmund Piłsudski był niewątpliwie jedną z najbardziej znaczących postaci politycznych emigracji londyńskiej - człowiek, który żył polityką i chciał tworzyć nową szkołę myślenia politycznego. Piłsudski był przedwojennym działaczem „Myśli mocarstwowej" a więc kierunku, który określiłbym mianem oświeconego, (lewicowego?) konser-

* Nakładem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, Instytutu Studiów Politycznych PAN, Bicentennial Publications, Warszawa 1998, str. 223.

watyzmu, który pragnąc zachować to co dobre, nie stał w miejscu i był ukierunkowany ku przyszłości, kierunku, którego tak brakowało na szerszej polskiej scenie politycznej. W tych latach był związany z Jerzym Giedroyciem, ale po wojnie drogi ich się rozeszły. Piłsudski był teoretykiem w sensie przemyśleń i koncepcji, ale równocześnie, a może przede wszystkim, praktykiem, który chciał swe idee sprawdzać w życiu. Był *spiritus movens* ruchu Niepodległość i Demokracja i jego wieloletnim – prawie dożywotnim – prezesem. Dla mnie, który wstąpiłem do NiD-u po wyjściu z wojska w 1945 r i należałem wówczas, mając 22 lata, do młodzieży nidowej, dwukrotnie prawie ode mnie starszy Rowmund był uosobieniem NiD-u. Pisząc te słowa nie chciałbym w niczym ująć szeregowi bardzo wybitnych osób z czołówki nidowej, którzy odcisnęli swe piętno bądź to w licznych organizacjach, którym NiD patronował, bądź to w innych dziedzinach, po ściśle naukową włącznie. Mam tu na myśli takich ludzi jak Stanisław Grocholski, Bolesław Wierzbiański, Jan Nowak-Jeziorański, Tadeusz Żenczykowski-Zawadzki, Zbigniew Jordan, Jerzy Lerski, Stanisław Jordanowski, Jan Radomyski, Józef Garliński, Adam Rudzki, Andrzej Pomian, Jan Krok-Paszkowski i *pur sang* uczeni jak Wiktor Weintraub. Wielu z nich następnie opuściło NiD, ale większość została mu wierna. Była to śmietanka tej generacji, która w dużej mierze wywodziła się z przedwojennej młodej lewicy piłsudczykowskiej i młodzieży demokratycznej, a podczas wojny przeszła przez AK i Siły Zbrojne na Zachodzie.

Rowmund był świetnym mówcą. Był też bardzo sugestywny w rozmowach prywatnych, czego niejednokrotnie doświadczyłem, gdyż traktował mnie trochę jako swojego protegowanego. Głównie dzięki niemu wchodziłem w życie polityczno-publicystyczne na emigracji. Pod jego wpływem zaangażowałem się aktywnie w działalność federacyjną, tak na odcinku europejskim jak i środkowo-wschodnio-europejskiej emigracji, a była to dziedzina do której Rowmund Piłsudski przywiązywał ogromną wagę. Wprowadzał mnie w publicystykę, „zamawiając" artykuły do nidowej *Trybuny*, a kiedy odchodziłem coraz bardziej od czynnej polityki na rzecz nauki strofował mnie, uważając, że mam temperament polityczny – w czym zresztą się mylił – i tłumaczył, że historię trzeba robić, a nie tylko ją studiować. W jego naturze leżała aktywność i chęć tworzenia coraz to nowych form działania. W jednym z jego listów z 13 grudnia 1966 pisał mi: „Przed miesiącem

powstała tu z naszej inicjatywy nowa organizacja pt. „Association of British Nationals of Polish Origin". Ma ona na celu skupić Polaków obywateli brytyjskich, których jest już ok. 30 tys. i wykorzystać ich jako *pressure group* dla popierania polskich i niepodległościowych celów [...]. Organizacja spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem i od razu poszła do akcji w obronie Biblioteki Polskiej w Londynie, którą władze brytyjskie chcą zlikwidować. Jak widzisz, nie sfilistrzeliśmy jeszcze zupełnie... i wciąż staramy się coś niecoś zrobić *de publicis*. W innych ośrodkach („Zamek" i „Zjednoczenie") panuje coraz większa stagnacja spowodowana z jednej strony ciągłym wykruszaniem się ludzi, a z drugiej całkowitym zastygnięciem w koncepcjach politycznych z roku 1945, które dziś są anachronizmami". List ten dobrze obrazuje szukanie nowych form działania jak też i nawiązywanie kontaktów z nowymi ludźmi. Kiedy Leszek Kołakowski pojawił się na gruncie brytyjskim Piłsudski od razu nawiązał z nim kontakt.

Chociaż Piłsudski, jak stwierdziłem, żył polityką, miał szerokie zainteresowania historyka i zbieracza. W domu Piłsudskich (Rowmund był żonaty po raz drugi ze Szkotką Maureen) na Chester Row koło Victorii, a później na Clarendon Road koło Holland Parku znajdowało się wiele pięknych obiektów starannie dobieranych. Obok portretów rodzinnych największą ozdobę stanowiły książki – XVII i XVIII-wieczne wydania, które Piłsudski odnawiał w swym warsztacie introligatorskim na poddaszu. Z tego zbioru mam po dziś dzień pamiętniki z podróży Coxe'a, w których interesująco pisze o Warszawie i spotkaniu z królem Stasiem.

Rowmund Piłsudski był nie tylko działaczem politycznym ale i publicystą. Publicystykę traktował jako jedną z form politycznego działania i platformę rozwijania niezależnej i demokratycznej polskiej myśli politycznej. Przez wiele lat redagował nidowy organ *Trybunę*, a choć jego dorobek jako redaktora i pisarza nie jest duży objętościowo, jest on niewątpliwie wartościowy. Tom wydany obecnie stanowi wybór jego artykułów na przestrzeni dziesięciu lat i obejmuje następujące części: I. Człowiek, II. Nasz Rejon, III. Sprawy Polskie (składający się z części: Kraj i Emigracja), oraz IV. Sprawy Międzynarodowe. Tezy tu przedstawione i rozważania, jakie Rowmund snuje, warto dziś uważnie przeczytać nie tylko ze względu na osobę autora, ale traktując je jako przyczynek do myśli politycznej wymierającej już lub wymarłej emigracji.

Piotr WANDYCZ

Książki

„Panorama" Karla Dedeciusa

Nikomu, kto interesuje się sprawami kultury na styku Niemcy-Polska, nieobce jest nazwisko Karla Dedeciusa, człowieka, który dla literatury polskiej w Niemczech zrobił co najmniej tyle co Boy-Żeleński dla francuskiej w Polsce. Nie ma prawie autora polskiego – od Reya po Herberta i dalej – którego by Dedecius nie przetłumaczył na niemiecki, nie opatrzył interesującym esejem, czy choćby treściwą notą informacyjną, no i nie opublikował. Jego aktywność organizacyjna i wydawnicza jest równie imponująca jak jego ogromny dorobek translatorski i eseistyczny. Prezentowana tu książka stanowi *pars pro toto* dzieła, które choć jeszcze nie ukazało się w całości* jest już w samym założeniu świetną ilustracją obu aspektów tej fenomenalnej syntezy talentu, pracy i organizacji, jaka kojarzy się z nazwiskiem Dedeciusa. Jest nią dwutomowy wybór polskiej prozy – 100 autorów od Berenta i Żeromskiego, aż po Pawła Huelle i Mirosława Spychalskiego (wymieniam najmłodszych z „wybranych"), łącznie ok. 1700 stron samych tekstów plus oprawa komentarzowo-informacyjna – będące formalnie częścią drugą 5-częściowej „Panoramy literatury polskiej XX wieku"; pierwszą jest „Poezja" (wg katalogu – bo sam nie widziałem – również dwutomowa, też 100 autorów, 1000 utworów, ponad 1800 stron!). Dalsze to „Puenty" (1000 aforyzmów i in-

*„Panorama der polnischen Literatur des 20. Jahrhunderts". Begründet und herausgegeben von Karl Dedecius. Deutsches Polen-Institut Darmstadt. 5 Abteilungen [I – Poesie, II – Prosa, III – Pointen, IV – Porträts; V – Panorama] in 7 Bänden. Amman Verlag & Co; Zürich 1997-99. Abt. II Prosa, Bd. 1 (1001 p.) & Bd. 2 (816 p.), Zürich 1997.

nych drobnych form), „Portrety" (biogramy pisarzy, szkice o nich, zdjęcia) i właściwa „Panorama", tzn. część V (ma się ukazać wiosną 1999 r.) z podtytułem „Wprowadzenie w teksty i tendencje" pióra samego *spiritus movens* tej ogromnej antologii.

O tym łódzkim Niemcu wykształconym w polskich szkołach przedwojennych pisano i mówiono już „po polskiej stronie" (m.in. z racji licznych doktoratów honorowych) wielokrotnie, ale warto podstawowe informacje powtórzyć. Przytaczam je za wydanym przez współpracowników Dedeciusa *liber amicorum* pt. „Lebenslauf aus Büchern und Blättern" (Suhrkamp Verlag , Frankfurt a/M, 1990):

„Urodził się 20 maja 1921 w Łodzi, zdał maturę w 1939 w gimnazjum humanistycznym im. Stefana Żeromskiego, w 1940 został powołany do Arbeitsdienst'u, a w 1941 do służby wojskowej. W 1942 znalazł się w okrążeniu pod Stalingradem i na początku lutego 1943 dostał się do niewoli sowieckiej. Zwolniony został w 1950 i skierowany do Weimaru (w ówczesnym NRD). Nim przesiedlił się w 1952 do Republiki Federalnej, pracował jako starszy asystent i tłumacz naukowy w weimarskim Niemieckim Instytucie Teatralnym.

Od 1954 do 1979 w firmie ubezpieczeniowej Allianz Versicherung AG we Frankfurcie nad Menem, pod koniec jako dyrektor działu. Od 1979 jest kierownikiem Deutsches Polen-Institut w Darmstadt."

Ten zwięzły tekst kryje w sobie wiele wątków, które domagałyby się rozwinięcia, jak choćby: (1) przyczynek do historii środowiska mieszkających od XIX wieku w Łodzi Niemców (tzw. Lodzermenschen) i – w wypadku tej rodziny – ich świadomej opcji dwukulturowej; (2) siedmioletnia niewola – czas nielekki, ale bynajmniej nie zmarnowany, bo też okres intensywnego samokształcenia (m.in. w zakresie języka i literatury rosyjskiej); (3) 25 lat bardzo solidnej acz prozaicznej (nie w sensie literackim) pracy w ubezpieczeniach, połączonej w wolnych chwilach (kiedy!?) z działalnością literacką i organizacyjną (to już wtedy Dedecius namówił kogo trzeba do stworzenia Polen Institut, wydał ponad dwadzieścia pozycji translatorskich – także autorów rosyjskich i serbochorwackich – i kilka własnych (świetne „Polnische Profile", 1975); (4) „i tak dalej" – w czym mieści się zarówno prawie

dwudziestolecie kierowania darmstackim Instytutem, jak i inicjatywa (i oczywiście dyrekcja, a przeważnie i własna praca translatorska) serii „Polnische Bibliothek" w wydawnictwie Suhrkamp'a. Tytan pracy – i to świetnej pracy, zarówno w sensie jakości tłumaczeń jak i ich prezentacji (komentarze, biogramy, bibliografie – *die deutsche Gründlichkeit* świeci tu zasłużone tryumfy). Wspominam o tym specjalnie, bo nadmiar pracowitości w dziedzinie tłumaczeń może budzić podejrzenia o „grafomanię z drugiej ręki" – Parandowski nazwał wprawdzie pracę literacką alchemią słowa, ale mój nieżyjący przyjaciel Władysław Dulęba (tłumacz literatury perskiej) uzupełnił to następującym komentarzem: „tak, ale bywają też alchemicy, co najwspanialsze złoto potrafią przemienić w ołów...". A więc dla błyskawicznego zilustrowania kongenialności przekładów Dedeciusa przytoczę jego tłumaczenie początku znanego wiersza Tuwima „Mieszkańcy": *Schreckliche Burgen. Burgen auf Bergen / Beherbergen schrecklich schreckliche Bürger.* Zauważmy, że to nie przekład dosłowny (Tuwim: „Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach / Strasznie mieszkają straszni mieszczanie"), ale ma dokładnie tę samą melodię i atmosferę. Takie przekłady to nie ołów.

Również i dwa tomy „panoramicznej" prozy (głównego tematu tej recenzji z dygresjami) – oprócz ciężaru materialnego (jako się rzekło: ponad 1800 stron) – nie przypominają ołowiu. Nie wszystkie tłumaczenia są pióra Dedeciusa, ale wszystkie podporządkowane są jego ogólnemu planowi, który tak definiuje w Przedmowie:

„Istnieje literatura, która usiłuje sprostać rzeczywistości i literatura, która stara się przed nią uciec. Nasz wybór i jego układ faworyzują teksty tego pierwszego rodzaju. Nie znaczy to, że koniecznie muszą one posługiwać się stylem realistycznym. Fragment powieści, nowela, opowiadanie, esej, reportaż, dziennik – a obok tego też zmyślenie, legendy, bajki, mity, *science-fiction*. Niemniej, reprezentowane tu okazy (pozornie) czystej fikcji próbują drogą analogii zbliżyć się do niewidocznej, czy też celowo ukrytej rzeczywistości, odsłonić jej istotę i wysondować prawdę."

Wspomniany w powyższym fragmencie „układ" polega na uplasowaniu każdej dziesiątki tekstów w jednej z dziesięciu

kategorii (ulubiony przez Dedeciusa system decymalny! – ale dlaczegóż by nie? W końcu literatura to nie tablica pierwiastków chemicznych), które zdaniem autora antologii wyznaczają zakres „polskich problemów". Kategorie te mają emblematyczne nazwy jak np. „Psychonauci" (proza czysto psychologiczna: Irzykowski, Przybyszewski, Berent plus dziwacząca: Antoni Lange, Stefan Grabiński, nawet Maria Jehanne Wielopolska), „Buntownicy" (Żeromski, Brzozowski, St. Rembek, Henryk Elzenberg), „Ekscentrycy" (Tadeusz Miciński, Witkacy, Gombrowicz, Buczkowski), itd. – nie chcę nudzić czytelników dokładnym wyliczaniem. Dość powiedzieć, że ten układ rzeczywiście jakoś oddaje specyfikę naszej literatury współczesnej i jakoś „idzie za historią": okupacją, obozami, holocaustem, stalinizmem, emigracją, idealizmem, cwaniactwem i zwykłym życiem na co dzień. Przyznam się, że dopiero patrząc na te znane mi przeważnie i „przyswojone" utwory poprzez pryzmat obcego języka i niecodziennych zestawień (Hanna Malewska w jednej grupie z Kołakowskim i Lemem; Mrożek niedaleko Prusa; Tyrmand razem z Zawieyskim – ha, dziwy, ale nie nonsensy) pomyślałem sobie z pewną dumą: „a jednak się kręci". Jakoś tak się składa, że ostatnio cudzoziemcy przywracają nam świeżość spojrzenia na nasze własne sprawy (często zanudzone lub zasłodzone przez rodaków): tak niedawno było z historią Polski (Norman Davies), tak znowu jest z jej literaturą. Piękne dzięki i wielkie brawo dla pana Karla Dedeciusa za jego naprawdę rozległą, barwną i mądrą „Panoramę".

M. BROŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

MENCWEL (Andrzej). *Przedwiośnie czy potop.* Studium postaw polskich w XX wieku. Str 541. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1997.

VARGA (Krzysztof). *45 pomysłów na powieść strony B singli 1992-1996.* Str. 142. Wyd. Czarne, Czarne 1998.

KRÓLAK (Zygmunt). *Euro-Odra.* Rola programu dla rozwoju gospodarczego Polski i Europy. Str. 172. Nakładem autora. Warszawa 1998.

JASICKI (Aleksander). *Kochałeś Abla?* Str. 76. Krakowski Klub Artystyczno-Literacki, Kraków 1997.

Instytucje - publiczność - sytuacje lektury. Studia z historii czytelnictwa. Red. J. Kostecki. Seria: T. 6. Z dziejów kultury czytelniczej w Polsce 12. Str. 285. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1997.

Gombrowicz's Grimaces. Modernism, Gender, Nationality. Red. E. Płonowska Ziarek. Str. 327. State University of New York Press, Albany 1998.

WĘGLARZ (Lidia Irena). *Świat na własny użytek.* Str. 53. Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 1998.

INGDAHL (Kazimiera). *A Gnostic Tragedy.* A Study in Stanisława Przybyszewska's Aesthetics and Works. Str. 214. Almqvist & Wiksell International, Stockholm 1997.

TOKARCZYK (Roman A.). *Hobbes.* Zarys żywota i myśli. Str. 259. Wyd. UMCS, Lublin 1998.

MORDKA (Cezary). *Od boga historii do historycznego Boga.* Wprowadzenie do filozofii Leszka Kołakowskiego. Str. 205. Wyd. UMCS, Lublin 1997.

KURYŁOWICZ (Marek), WITKOWSKI (Wojciech). *Rozprawa Jana Zamoyskiego o senacie rzymskim.* Tekst łaciński, przekład oraz komentarz historyczno-prawny. Str. 323. Wyd. UMCS, Lublin 1997.

JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA (Genowefa). *Pan Bóg wyjechał na Florydę.* Str. 54. Instytut Wydawniczy „Świadectwo", Bydgoszcz 1997.

IWANIUK (Wacław). *Ostatni romantyk.* Wspomnienie o Józefie Łobodowskim. Str. 74. Seria: Archiwum Emigracji. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1998.

Libella, Galerie Lambert. Szkice i wspomnienia. Oprac. M. A. Supruniuk. Str. 249. Seria: Archiwum Emigracji. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1998.

Dementi. Katalog wystawy. Oprac. T. Kizny. Str. 58. Wyd. Ośrodek KARTA, Warszawa 1997.

DZIEWANOWSKI (Marian K.). *Lord Wellington. Pogromca Napoleona.* Str. 195. Wyd. Atla 2, Wrocław 1997.

KRÓLAK (Zygmunt). *Polska zwornikiem Europy.* Str. 55. Nakładem autora. Warszawa 1997.

TRANSTRÖMER (Tomas). *Późnojesienny labirynt.* Przekład L. Neuger. Str. 158. Oficyna Literacka, Kraków 1997,

HASS (Robert). *Zbierając jeżyny.* Wybór wierszy. Str. 89. Wyd. ZNAK, Kraków 1997.

PRZYBECKI (Jerzy Czesław). *Biały walc konwalii.* Wiersze. Str. 48. Zielona Góra 1997.

DUNIN-WĄSOWICZ (Paweł). *Widmowa biblioteka, czyli książki urojone albo wypisy o xięgach, których nigdy nie było, ale ktoś o nich napisał.* Str. 279. Wyd. Świat Książki & Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1997.

SPODENKIEWICZ (Paweł). *Zaginiona dzielnica.* Łódź żydowska – ludzie i miejsca. Str. 127. Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1998.

SKOMPSKA (Lucyna). *Wiersze wybrane.* Str 161. Wyd. Biblioteka, Łódź 1997.

LEWIŃSKA (Maria). *Z moich trzech groszy reszta.* Str. 189. Kontury, Tel Awiw 1997.

WOŹNIAK (Mirosław). *Kość i jabłko.* Str. 72. Wyd. Przedświt, Warszawa 1998.

HANIK (Maria). *Pamiętnik emocji.* Str. 69. Wyd. PiT, Kraków 1997.

KUNICKA (Wanda). *W cieniu ogrodów.* Str. 57. Wyd. PiT, Kraków 1997.

SZELĄG (Zdzisław). *Romantyzm i polityka.* Materiały i szkice. Str. 161. Grójec 1996.

SZELĄG (Zdzisław). *Póki my żyjemy.* Z dziejów mazurka Dąbrowskiego w latach 1980-1989. Str. 29. Grójec 1997.

TKACZYSZYN-DYCKI (Eugeniusz). *Liber mortuorum.* Str. 51. Stowarzyszenie Literackie Kresy, Lublin 1997.

NIEWIADOMSKI (Andrzej). *Prewentorium.* 21 wierszy i pół. Str. 51. Stowarzyszenie Literackie Kresy, Lublin 1997.

MICKIEWICZ (Adam). *Prelekcje paryskie.* Wybór. Seria: Biblioteka Polska. Tom I. Str. 238 Wyd. Universitas, Kraków 1997.

MICKIEWICZ (Adam). *Prelekcje paryskie.* Wybór. Seria: Biblioteka Polska. Tom II. Str. 312. Wyd. Universitas, Kraków 1997.

Przyszłość starych regionów przemysłowych w Europie. Przypadek Regionu Donieckiego na Ukrainie. Red. naukowa: A. Lach, Wł. Pańków. Str. 222. Wyd. Fundacja Edukacji Ekonomicznej. Warszawa 1998.

Histoire des idées politiques de l'Europe Centrale. Oprac. Ch. Delsol, M. Masłowski. Str. 603. Presses Universitaires de France, Paris 1998.

Encyklopedia Katolicka. Tom VII. Str. 1455. Wydawnictwo Naukowe KUL, Lublin 1997.

Tybet. Odcinanie głowy węża. Świadkowie. Fakty mówią za siebie. Str. 431. Wyd. Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Tybetu.

TOMALA (Robert). *Obejmując ciszę.* Str. 45. Polihymnia, Lublin 1997.

MOSTOWICZ (Arnold). *Ballada o Ślepym Maksie.* Str. 181. Biblioteka Tygla Kultury, Łódź 1998.

Drogi do Europy. Red. J. Krantz i J. Reiter. Str 221. Wyd. Centrum Stosunków Międzynarodowych, Warszawa 1998.

KUBIAK (Zygmunt). *Brewiarz Europejczyka.* Str. 258. Biblioteka *Więzi,* Warszawa 1998.

KUPPER (Eugeniusz). *Nieskończona podróż.* Str. 61. Wyd. „Marpress", Gdańsk 1996.

RASZEWSKI (Zbigniew). *Raptularz* 1968-1969. Str. 118. Wyd. ZNAK, Kraków 1997.

RASZEWSKI (Zbigniew). *Mój świat.* Str. 409. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997.

KIEŻUN (Witold). *Niezapomniane twarze.* Str. 174. Oficyna Wydawnicza Art-Studio'91, Warszawa 1997.

Dzieje wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej i zaprzyjaźnionych z nim stowarzyszeń 1957-1997. Red. A. Grocholski. Str. 70. Oficyna Wydawnicza SIGNUM.

Pomerania ethnica. Mniejszości narodowe i etniczne na Pomorzu Zachodnim. Red. M. Giedroyc, J. Mieczkowski. Str. 253. Wydawca: AMP Paweł Majewski, Szczecin 1998.

KOCÓJ (Henryk). *Francja a Konstytucja 3 Maja.* Obrady Sejmu Wielkiego w relacjach przedstawicieli Francji w Warszawie. Zagadnienia wybrane. Str. 447. Katowice 1997.

MIŁOSZ (Czesław). *Rodná Evropa.* Str. 277. VOTOBIA, 1997.

GOMBROWICZ (Witold). *Pornografie.* Str. 171. TORST, 1997.

GOMBROWICZ (Witold). *Ferdydurke.* Str. 280. TORST, 1997.

TOKARCZUK (Olga). *Prawiek i inne czasy.* Str. 269. WAB, Warszawa 1997.

TOKARCZUK (Olga). *Podróż ludzi księgi.* Str. 215. WAB, Warszawa 1997.

PROKOP (Jan). *Lata niby-Polski.* Literatura – stalinizm – mity polityczne. Str. 146. Wyd. VIRIDIS, Kraków 1997.

PROKOP (Jan). *Sowietyzacja i jej maski.* PRL w latach stalinowskich. Str. 160. Wyd. VIRIDIS, Kraków 1997.

DŁUSKI (Stanisław). *Dom i świat.* Str. 92. Wyd. Przedświt, Warszawa 1998.

OBERLÄNDER (Marek). *Wystawa malarstwa 27 X 1997 - 20 II 1998.* Str. 55. Galeria in spe, Warszawa 1998.

BARTZ (Brunon). *Idea wielokulturowego wychowania w nowoczesnych społeczeństwach.* Str. 184. Instytut Technologii i Eksploatacji, Radom 1997.

JEZIOROWSKA-WRÓBEL (Elżbieta). *Córka czarownicy i diabła.* Str. 167. Wyd. PiT. Kraków 1996.

ŁĘCKI (Krzysztof). *Zinstytucjonalizowane formy komunikowania o literaturze.* Socjologiczna analiza zjawiska Św. Gombrowicz. Str. 215. Wyd. „Śląsk", Katowice 1997.

Marzenia, sny, przeczucia... Träume, Vorahnungen... WIR. Edycja Literacka nr 4, 1997, Str. 344. Wyd. Polsko-Niemieckie Towarzystwo Literackie, Berlin.

Jan Cybis 1897-1972. Retrospektywa grudzień 1997 – luty 1998. Katalog. Str. 398. Wyd. Galeria Sztuki Współczesnej Zachęta, Warszawa 1997.

RADZYMIŃSKA (Józefa). *Pamiętnik sprzed istnienia.* Str. 140. Oficyna Literacka Patria, Warszawa 1998.

KOREK (Janusz). *Paradoksy paryskiej „Kultury".* Ewolucja myśli politycznej w latach 1947-1980. Str. 366. Almqvist & Wiksell International, Stockholm 1998.

Polonica zagraniczne. Bibliografia. 1991. Str. 320. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1998.

NOWAK (Stanisław). *Wiersze. Kontynuacja.* Str. 158. Wyd. Łuk, Białystok 1998.

WIATR (Jerzy J.). *Słowenia: przykład udanej transformacji.* Str. 38. Zeszyt 2. Instytut Badań Społecznych i Międzynarodowych Fundacji im. Kazimierza Kelles-Krauza, Warszawa 1998.

SCHAFF (Adam). *Czego nauczył mnie krach realnego socjalizmu?* Str. 53. Zeszyt 1. Instytut Badań Społecznych i Międzynarodowych Fundacji im. Kazimierza Kelles-Krauza, Warszawa 1998.

Księga Jubileuszowa na 125-lecie V Liceum Ogólnokształcącego im. Augusta Witkowskiego w Krakowie. Str. 269.

Polski Słownik Biograficzny. Silberschein Adolf – Skaradkiewicz Patrycy. Tom XXXVII/4, zeszyt 155. Str. 481-658. Instytut Historii PAN, Warszawa-Kraków 1997.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

3.6.98
Komisja powołana przez Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne w Warszawie przyznało tegoroczne nagrody Konkursu im. Jan Józefa Lipskiego za rozprawy magisterskie z zakresu humanistyki i nauk społecznych. Nagrodę I-go stopnia otrzymała Marta Młodkowska z Uniwersytetu Warszawskiego, dwie równorzędne nagrody 2-go stopnia otrzymali Mariusz Jastrząb z Uniwersytetu Warszawskiego i Jacek Karaszewski z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy. Wyróżnienia otrzymali: Paweł Czapczyk z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Arkadiusz Mazurek z Uniwersytetu Gdańskiego, Anna Piłaszewicz z Uniwersytetu Białostockiego i Piotr Wierzbik z Uniwersytetu Śląskiego.

10.6.98
Znany pisarz białoruski Sokrat Janowicz otrzymał nagrodę za rok 1997 ministra spraw zagranicznych za upowszechnianie kultury polskiej za granicą.

11.6.98
Profesor Jerzy Kłoczowski, dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie, otrzymał doktorat *honoris causa* na Uniwersytecie „Akademia Mohylańska" w Kijowie.

25.6.98
Została otwarta w Krakowie wystawa bogatej kolekcji sztuki polskiej i zagranicznej, dużej części zbiorów rodziny Pusłowskich. W związku z wystawą ukazały się dwa piękne (dwujęzyczne) wydawnictwa bibliofilskie. Oba pod tym samym tytułem: księga-album autorstwa głównie Marii Rostworowskiej „Ksawery Pusłowski – czas nie stracony" („Time restored") i katalog wystawy. Malarstwo polskie reprezentują w kolekcji m.in. Jan Matejko, Józef Mehoffer, Olga Boznańska, Jacek Malczewski, Stanisław Moszyński i Walenty Wańkowicz. Malarstwo zagraniczne m.in. Lucas Cranach St., Jan Massys, Philips Koninck i Eugène Delacroix. Bogaty zbiór tkanin, rzeźb, porcelany i mebli dopełnia całości. Wystawa trwała do 31.8.1998.

27.6.98
Premier Jerzy Buzek przeznaczył 350.000 zł z rezerwy budżetowej na odbudowę klasztoru w Supraślu.

1.7.98
W Mińsku odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego d/s przeprowadzenia międzynarodowej konferencji naukowej „Adam Mickiewicz i kultury narodowe". Organizatorami konferencji są: Instytut Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi, Narodowe Centrum Naukowo-Oświatowe im. F. Skaryny, Instytut Polski w Mińsku oraz Federacja Instytutów Europy Środkowo-Wschodniej. Do udziału w konferencji zgłosiło się ponad 50 naukowców z Białorusi, Litwy, Polski, Rosji, Ukrainy, Francji i innych krajów. Uczestnicy konferencji będą pracowali w dwóch grupach: historycznej i filologiczno-kulturologicznej. Konferencja odbędzie się 8-9 września 1998 roku.

27.7.98
Zmarł w Waszyngtonie w wieku 59 lat Jacek Kalabiński, jeden z najwybitniejszych polskich korespondentów zagranicznych. W latach 90-tych był on korespondentem *Gazety Wyborczej*, a ostatnio *Rzeczpospolitej*.

28.7.98
Zmarł w Warszawie w wieku 74 lat Zbigniew Herbert, wielki polski poeta. Artykuł o jego twórczości zamieścimy w najbliższym numerze *Kultury*.

ZACHÓD

15.6.98
Na zebraniu Rady Powierników Fundacji „Polonia Aid Foundation Trust" w Londynie dokonano wyboru nowego powiernika w osobie Andrzeja Suchcitza. Ponadto wybrano na stanowisko wiceprzewodniczącego Zdzisława Jagodzińskiego.

20.6.98
Zmarła w San Francisco Hanna Gordziałkowska-Weynerowska „Kali", jedna z wybitnych polskich malarzy w Stanach Zjednoczonych.

29.6.98
W Musée-Galérie de la Seita odbyła się inauguracja wystawy rzeźb Ludwiki Ogorzelec z cyklu „Cristalisation de l'espace".

7.7.98
Zmarła w Stanach Zjednoczonych Halina Sukiennicka, adwokat i artysta-malarz. Zgodnie z jej wolą zwłoki zostały spopielone a prochy rozsypane po Oceanie Spokojnym, łącząc się z prochami jej męża Wiktora.

20.7.98
Na festiwalu teatralnym w Awinionie wystawiono fragmenty

„Dziadów" Adama Mickiewicza. Fragmenty te były czytane m.in. przez Andrzeja Seweryna i Michała Masłowskiego.

25.7.98

Zmarła w Rapperswilu (Szwajcaria) w wieku 87 lat Halina Zielińska. W czasie wojny współpracowniczka polskiego muzeum w Rapperswilu, po wojnie bibliotekarka w „Wolnej Europie" w Monachium, po czym znów w Rapperswilu, gdzie czynnie i honorowo działała w szwajcarskim Towarzystwie Przyjaciół Muzeum.

25.8.98

W Instytucie Polskim w Sztokholmie odbył się wernisaż wystawy malarki Janiny Jasińskiej Luterek. Wystawa będzie otwarta do 25 września br.

2.9.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu (rue Lauriston) prof. dr Andrzej Wiszniewski, Przewodniczący Komitetu Badań Naukowych, wygłosił odczyt na temat „Polska nauka od Chicago do Tobolska". Po odczycie odbyła się uroczystość wręczenia Dyplomów Honorowych Komitetu Badań Naukowych zasłużonym dla nauki i kultury Polakom mieszkającym we Francji.

Z ostatniej chwili

19.8.98

Zmarł w Piszu (Polska) w wieku 68 lat Kazimierz Dziewanowski – publicysta, działacz polityczny, uczestnik obrad Okrągłego Stołu, w latach 1990-1993 ambasador w Stanach Zjednoczonych. Ostatnio komentował wydarzenia międzynarodowe w gazecie *Rzeczpospolita*. ■ Zmarł w Ottawie (Kanada) w wieku 73 lat Adam Podgórecki – wybitny socjolog, współtwórca Instytutu Profilaktyki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego. W 1976 r. usunięty za prowadzenie „antypaństwowej działalności naukowej". Od 1977 r. pracował na uczelniach w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Holandii, ostatnio był profesorem Uniwersytetu Carlton w Kanadzie.

11.9.98.

W Centre du Dialogue w Paryżu Halina Sawecka – prof. literatury francuskiej oraz teatrologii na uniwersytetach KUL i Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie wygłosiła odczyt pt. „Przesłanie Claudela a teatr polski". Uprzednio w Centre du Dialogue (4.9.98) ks. prof. Marek Starowieyski wygłosił prelekcję „Pierwsi świadkowie – najstarsi pisarze chrześcijańscy z I i II w."

OŚWIADCZENIE

Polski Związek Ziemian w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych apeluje niniejszym do Sejmu Rzeczypospolitej o przyspieszenie procesów legislacyjnych, które doprowadzą do uchwalenia sprawiedliwej dla wszystkich zainteresowanych stron Ustawy Reprywatyzacyjnej. Uregulowanie spraw własnościowych w Polsce jest podstawowym warunkiem jej uczestnictwa w strukturach europejskich i światowych. Dziewięć lat czekamy już na ten akt sprawiedliwości dziejowej.

Delegat P.Z.Z. na Stany Zjednoczone
Józef Edward Kleszczyński

SPROSTOWANIE

Do mojego artykułu „Pod tryzubem" (*Kultura* nr 6/609 str. 96) wkradł się błąd istotny, bo zasadniczo zmieniający sens konstatacji. Cytuję fragment w jego właściwym brzmieniu:

„– Jak widzą swoje jutro Ukraińcy? Bliżej Rosji, czy Polski?

– I nie tu i nie tam – brzmi odpowiedź usłyszana w Instytucie Socjologii".

Brak tych dwu zaprzeczeń w opublikowanym tekście całkowicie przeinaczył intencje rozmówczyni. „I ne tu, i ne tam" orzekła Ukrainka. Abstrahując od realności, czy przynajmniej zasadności takiego stanowiska, nie jest odosobnione i jak to się mówi, daje do myślenia.

Anna STROŃSKA

Listy do Redakcji

4.8.98

Szanowny Panie Redaktorze,

Wbrew stwierdzeniu p. Berberyusz (str. 89, nr 7-8, 1998) Australia, oprócz „stanowych" (np. w Victorii), ma też ogólnokontynentalny, federalny Senat, który w swej obecnej kadencji odgrywa decydującą rolę w sprawach budżetowych i społeczno-legislacyjnych, jak np. dotyczących własnościowych praw Aborygenów.

Obecny prezydent Senatu, p. Margaret REID, odbyła wiosną 1997-go r. oficjalną wycieczkę do Polski (Warszawa, Kraków, Gdańsk), z której dała obszerne i bardzo rzeczowe sprawozdanie w odczycie, zorganizowanym w Melbourne (4.10.1997) przez Australijski Instytut Spraw Polskich.

Podróż p. marszałek Senatu, prof. Grześkowiak, była kurtuazyjną rewizytą w stolicy Australii, która przysporzyła jej okazji dla spotkań z przedstawicielami Polonii w Sydney i Melbourne.

Dodam tu, że p. Reid jest *spiritus movens* parlamentarnej grupy w Canberze, popierającej australijsko-polską przyjaźń.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku,

Andrzej S. EHRENKREUTZ

●

Stella Plage, 6 lipca 1998

Szanowny Panie Redaktorze

Bojąc się, że fakt spalenia w jednym tygodniu jedenastu kościołów katolickich (w tym niektórych zabytkowych) przez protestantów Północnej Irlandii mógłby ujść uwadze pana Pospieszalskiego, sugeruję artykuł w dziale „O religii bez namaszczenia". Rubryka ta wprawdzie dotyczy tylko Kościoła katolickiego (czy protestantyzm, judaizm, islam nie są religiami?), ale sądzę, że artykuł mógłby ukazać się w *Kulturze* tym razem o Kościele katolickim jako ofierze barbarzyństwa dokonanego przez „lepszą stronę".

Łączę wyrazy poważania

Józef KUROCZYCKI

●

Bruksela, lipiec 1998

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

W lipcowym numerze *Kultury* w „Notatkach Redaktora" przeczytałem wzmiankę o otwarciu nowego budynku polskiej misji przy Unii Europejskiej w Brukseli. Tak się zdarzyło, że byłem wśród gości w czasie uroczystego otwarcia tej placówki.

Na temat obrazu Starowieyskiego, który można by nazwać bohomazem – falującym między sztuką socrealizmu a gorszego gatunku sztuką neo-nazizmu z lat trzydziestych – chciałbym wiedzieć kto jest ekspertem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który decyduje o upiększaniu polskich placówek zagranicznych i komu należy powierzać tego rodzaju zlecenia, jak również jaką sumę polski podatnik musiał za to zapłacić.

Przytacza Pan słusznie uwagę wiceprzewodniczącego Komisji pana Van den Broeka, który zauważył napis pod obrazem przed próbą zamazania go i który w swym przemówieniu powiedział, że to nie „Polonia divina rapta per Europa profana", lecz na odwrót, że to „Europa rapta per Polonia". No trudno, jeżeli nam nie zależy na członkostwie we Wspólnocie Europejskiej, to nie warto było wydawać aż takich pieniędzy na budowę reprezentacyjnej misji.

W przemówieniach pana Ambasadora, jak również pana ministra Geremka, nikt nie zauważył obecności pana Jana Kułakowskiego, głównego negocjatora Polski ze Wspólnotą. A przecież to on na swym poprzednim stanowisku ambasadora przy Wspólnocie, rozpoczął i przez szereg lat prowadził rozmowy, które doprowadziły do stowarzyszenia Polski ze Wspólnotą Europejską.

Andrzej T. ROMER

●

19.7.98

Szanowny Panie Redaktorze

Niewątpliwie Pańskiego SMECZA produkcja, czasem cierpkawa, ale zawsze robi dobrze na trawienie. Czytelnicy to lubią, ja sam lubię.

Jednak trochę konwencji i Smecza obowiązuje, o czym jakby ostatnio zapomina lub mało dba.

W czerwcowym numerze żal słuszny wyraża (str. 87), że tak mało młode pokolenie wie czy nawet chce wiedzieć o historii kraju, że to MIESZKO I i koniec...

Ale jeżeli naszego tetryka to boli, to mnie dziwi, że on sam sobie trochę dozwala historycznej licencji, że pisze i poucza, jakoby od dwu stuleci NIE MIELIŚMY, RÓWNIE JAK DZIŚ, LUKSUSOWEJ SYTUACJI (str. 81).

1798 rok – to przecież były straszne lata! Już w 1797 r. ostateczna konwencja o rozbiorze Polski została podpisana. A dalej wstecz, jak słusznie podkreśla Kukiel „od zgonu Sobieskiego 1696, obce bagnety (no i pieniądze E.J.T.) rozstrzygają o tem, kto zasiądzie na tronie polskim". Później poniżające saskie czasy...

Potraktowanie płk. Kuklińskiego też dla mnie trochę nielojalne. Bo to niby zastrzega nasz Smecz, że być może... okrutnie krzywdzi pułkownika, niemniej stroi go trochę na dorobkiewicza (Całkiem zamożny Wallenrod), ustawia go obok Jaruzelskiego, że płacze, mówi nonsensy, no i przy GOŁOCIE pułkownik prezentuje się marnie.

A że wyrok śmierci, że stracił dwóch synów – to czemu, pyta Smecz NIKT nie rzucił snopa światła?

W sercu Warszawy przed niemal chwilą szefa policji utłuczono i nie ma SNOPA ŚWIATŁA! Tu też się podobnie zupełnie zdarzyło i w tym wolnym świecie zajęło tuzin lat, by dotrzeć do zbrodniarza. Przecież Smecz nie wczoraj się urodził – fakty są znane, ale dalej, wiadomo i wówczas fachowcy używali nie SNOPA ŚWIATŁA.

Trochę to dla mnie zgrzyta. Też myślę lapsus (str. 86) mówi – dla kościoła najważniejsze jest „prawo naturalne – czyli zmienne i niepewne"

NO, NO! *Natura non facit saltus*... a Francuzi po prostu mówią *lois naturelle, qu'on apporte en naisant,* albo krajowcy – *innate sense of justice human.* Pewno, że można to odrzucić; była taka ustawa zasadnicza PRL KONSTYTUCJA zmieniana bodaj 17 razy! Też *fundamentum regnorum*!

W tymże numerze Czesława Bieleckiego notatka słuszna i przykra. Jego imiennika J.K. Bieleckiego podobnie rozrabiano, zaś sam, aż w Düsseldorfie słyszałem o jego przedsiębiorstwie, jako o najsolidniejszym na Wybrzeżu.

Ten klimat, to jakby skażony tuman, który niestety zdaje się otaczać panią Berberyusz, kiedy pisze... nawet o buziach czy gębach pacjentów swej rzekomo odkażającej kuracji, ale kogo...

Ważne i ciekawe, że obok notatek Osadczuka, który jakby niechętnie i trochę przez ramię ogląda się na zamęt na Ukrainie, zawarł Pan znakomite, rdzenne i bardzo niepokojące uwagi p. Strońskiej, „Pod Tryzubem".

Nie ma tam wiele miejsca na polskie próby optymistycznej współpracy. Raczej głębokie, nie tylko gospodarcze zależności ku wschodowi, brak społeczeństwa obywatelskiego i „virus zrezygnowanego posłuszeństwa".

NO, NA TO Pan Redaktor (str. 133) nie może się w Rzeczypospolitej żalić. Dziś widziałem na TV z Kraju tysiące „walczących" z wicepremierem chłopów, a przecież byli niedawno tamże – rycząc – CHŁOPI DO BOJU... WAŁĘSA DO GNOJU!

Z głębokim szacunkiem

E.J. TOMASZEWSKI

P.S. To tak, żeby Pan wiedział, że opacznie może, ale czytamy nie tylko prenumerujemy.

●

Tel-Aviv, 5.07.98

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze

Nie zajmę Szan. Panu dużo czasu, natrafiłam jednak w naszej *Kulturze* na zdanie, które mnie tak boli, że po prostu muszę na nie zwrócić uwagę samego Redaktora.

Otóż w publikacji p. Anny Strońskiej „Pod tryzubem", *Kultura* nr 6/609, str. 99, autorka, opisując obecny Kijów napisała, cytuję cały akapit:

„Stok w zaułkach za wąskich, za pochyłych na swoje ciężkie, czynszowe kamienice. Kiedyś była to strona niespokojnego slumsowego folkloru. Stąd ostatnie pokolenia chałaciarzy przeszły za swoim pogrzebem 10 km do Babiego Jaru."

Właśnie to ostatnie zdanie w tym urywku jest straszne. Chałaciarze to pogardliwa nazwa Żydów, z powodu noszenia przez nich tradycyjnych – nie chałatów – lecz kapot. Żydzi nie „przeszli za swoim pogrzebem", ich gnano wśród bicia i strzelania na tę śmierć w Babim Jarze.

Anna Strońska nie ma krzty litości dla tych bestialsko zamordowanych ludzi, dlaczego tyle okrucieństwa?

Znam *Kulturę* dziesiątki lat i protestuję przeciwko takiemu słownemu okrucieństwu.

Łączę najserdeczniejsze życzenia dla Pana Redaktora

Z głębokim poważaniem

Anna ĆWIAKOWSKA

Hellerup, dnia 16 lipca 1998 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W b. ciekawym skądinąd artykule Anny Strońskiej „Pod tryzubem" (*Kultura*, nr 6/609) znajduje się na str. 99 zdanie: „Stąd

ostatnie pokolenia chałaciarzy przeszły za swoim pogrzebem 10 km do Babiego Jaru". Użycie pogardliwego określenia „chałaciarze" w tym tragicznym kontekście zaszokowało nas.

Jak ogólnie wiadomo, „chałaciarzami" nazywano pogardliwie Żydów ortodoksyjnych, używających stroju, którego głównym składnikiem był czarny chałat. Określenie to w kręgach antysemickich było również rozprzestrzeniane na wszystkich Żydów.

Jesteśmy pilnymi czytelnikami *Kultury* od 28 lat i, jak dotąd, nie zdarzyło się nam, by któraś z publikacji spowodowała u nas odruch protestu. Ceniąc wysoki poziom etyczny, który znamionuje Pana Redaktora piękne pismo, uważamy, że użycie tego słowa w tym przypadku nie licuje z duchem *Kultury*.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Felicja i Władysław HOLCMANOWIE

Mea culpa. Nie przyszło mi do głowy, że określenie „chałaciarze" odbierane jest tak boleśnie. Przecież można się z nim spotkać u pisarzy żydowskich, zaczynając od Izaaka Singera. W środowisku mojego dzieciństwa nie funkcjonowało. Tu użyłam go jako synonimu biedoty i wyróżniających się ubiorem ortodoksów. Od przykrych posądzeń niechże mnie osłoni garstka faktów. Jestem autorką scenariusza i dialogów do znanego również w Izraelu filmu „Jeszcze tylko ten las" i monodramu „Przyjechała Żydówka". W mojej ostatniej książce „Sennik galicyjski" sporo piszę o Żydach. I o zagładzie Żydów. Za publikacje służące – jak to określono – zbliżeniu naszych narodów, otrzymałam od Stowarzyszenia Żydów Kombatantów i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej medal poświęcony 50-tej rocznicy Powstania w getcie warszawskim. Żenuje mnie taka wyliczanka, ale jak inaczej przekonam p. Ćwiakowską, że da się we mnie znaleźć krztę litości?

Natomiast zupełnym nieporozumieniem są pretensje o to, że zamiast powielać wyświechtane zwroty, piszę o prowadzonych na śmierć w Babim Jarze, iż szli za własnym pogrzebem. No, ale nie tu miejsce na dysputy o słuchu literackim.

Anna STROŃSKA

Alicja T. Starczewska-Byrska, Nowy Jork – dol. 50,00 F. 300,00

Longin E. Sztachański, St. Petersburg (USA) – po raz 49-ty – dol. 20,00 ..... F. 120,00

Zamiast kwiatów na grób naszego Przyjaciela, Andrzeja Pleszczyńskiego, zmarłego 29.06.1998 w Santa Barbara – Zofia Koper, Arlington VA (USA) – dol. 30,00 ..... F. 180,00

Zamiast kwiatów na grób serdecznej Przyjaciółki Haliny Zielińskiej, zmarłej 25.07.1998 w Rapperswilu, zasłużonej na rzecz Polskiego Muzeum w Rapperswilu – Władysław Żeleński, Paryż ... F. 500,00

Zamiast kwiatów na grób Wilhelminy Skulskiej (Lutki), zmarłej 27.06.1998 w Warszawie – od Przyjaciół z Paryża ..... F. 200,00

Zamiast kwiatów na trumnę Hanki (Kali) Weynerowskiej-Gordziałkowskiej, zmarłej 20.06.1998 w San Francisco – Irena i Jerzy Szwede, Paolo Alot, CA (USA) – dol. 50,00 ..... F. 300,00

DZIĘKUJEMY

NOTATKI REDAKTORA 154

CI, CO ODESZLI

Piotr Wandycz: *Rowmund Piłsudski* 156

KSIĄŻKI

M. Broński: *„Panorama" Karla Dedeciusa* . . . 159
– *Nadesłane nowości wydawnicze* . . . 162

●

– *Wydarzenia miesiąca* 166
– *Z ostatniej chwili* 168
Józef E. Kleszczyński: *Oświadczenie* 169
Anna Strońska: *Sprostowanie* 169

●

A.S. Ehrenkreutz, J. Kuroczycki, A.T. Romer, E.J. Tomaszewski oraz A. Ćwiakowska, A. i W. Holzmanowie i A. Strońska: *Listy do Redakcji* 170

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3ème trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
		Ceny na rok 1998	
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 504 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
STO DWUDZIESTY PIĄTY

zawiera opracowania: A. Pospieszalski: ***Tło naszego dwutysiąclecia;*** **P. Mitzner:** ***Mój ojciec konspirator;*** **A. Grzywacz:** ***Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku;*** **I. Torbakow:** ***Swój czy obcy? Stereotyp Ukraińca w Rosji XVII-XVIII wieku;*** **F. Charwat:** ***Rok stosunków polsko-litewskich 1938-1939;*** **M. Siekierski:** ***Franciszek Charwat – nota biograficzna;*** **A. Dmuchowska:** ***Polska droga przez mękę;*** **P. Wandycz:** ***Nowe książki;*** **P. Niwiński:** ***„Pany i rezuny";*** **M.K. Dziewanowski:** ***Nowe spojrzenie na historię Europy;*** **T. Wyrwa:** ***Polacy o powojennej Europie na łamach*** **La France Libre; K. A. Kuczyński:** ***Rumuńskie lata płk. Józefa Becka;*** **A. Grzywacz:** ***„Studia Rzeszowskie";*** **T. Włodek:** ***Krzyżacy;*** **A. Micewski:** ***Bolesław Piasecki w 1968 roku*** **oraz LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 55 F

I.N. 93400 St Ouen – 3211 – 1998